PUNKT BARANA

ALEKSANDER SOWA

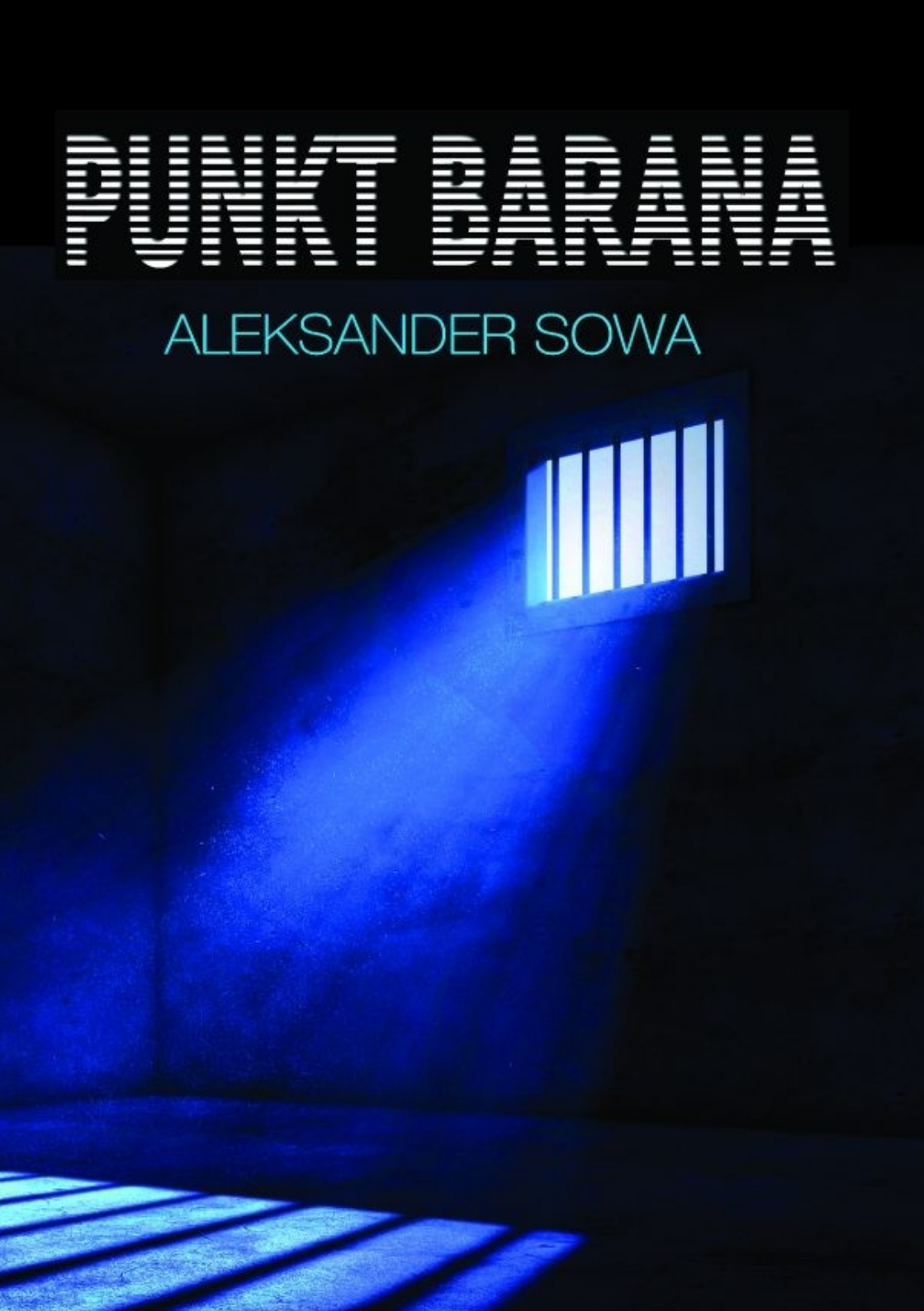

punkt barana

Aleksander Sowa

Dla najwierniejszej Czytelniczki, surowego krytyka, korektorki i niemieckojęzycznego konsultanta. A także dla doradcy, inspiracji i muzy. Najukochańszej Bince.

© Copyright by Aleksander Sowa 2017

Okładka i skład: Aleksander Sowa
Fot. Fotolia.com
Redakcja: Katarzyna Wróbel
Korekta: Bożena i Janusz Sigismund, Sabina Sagan
Konsultacja niemieckojęzyczna: Sabina Sagan

ISBN 9781370756568

darmowy fragment

--
Aleksander Sowa |
www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, sierpień 2017 r.

1

Noc przed Wigilią jest mroźna, jasna, bezwietrzna. Dzień był słoneczny i wraz z zapadnięciem zmroku zrobiło się zimno. Około północy słupek rtęci obniża się do siódmej kreski poniżej zera. Mężczyzna zatrzymuje samochód.

– Pan Markowski? – słyszy w słuchawce.

– A z kim rozmawiam?

– Pożegnać się chciałem.

– Nie bardzo rozumiem – odpowiada. – To chyba pomyłka?

– To nie pomyłka.

– Wobec tego słucham. O co chodzi?

– Spoczywaj w pokoju.

Zdumiony Markowski zastanawia się nad głupim żartem.

– Wal się, frajerze – mruczy pod nosem.

Jego myśli wracają do wieczornych wydarzeń. Dowiedział się, że go odwołają i delegują do USA. To niezbyt optymistyczna wizja, ale wyjazd dobrze mu zrobi.

– Przepraszam, ja do pana.

– O cholera! – wyrywa się Markowskiemu. – Ależ mnie pan przestraszył!

– Nie chciałem.

Markowski przekręca kluczyk w stacyjce. Silnik škody gaśnie. Rzuca spojrzenie na nieznajomego. Jest niewysoki, ma jasne włosy, kurtkę z futerkowym kołnierzem i rękawiczki z czarnej skóry. Wygląda jak glina.

– A o co chodzi?

– To zajmie sekundę. – Nieznajomy uśmiecha się, ale jego oczy są zimne jak u jadowitego węża.

– My się znamy? Obawiam się, że pan mnie z kimś pomylił. – Markowski uchyla drzwi i opiera dłoń na broni.

Kula pistoletu blondyna jest szybsza. Tłumik wycisza strzał. Zamek wyrzuca łuskę na dach samochodu z brzękiem, w ciszy ten dźwięk jest jak uderzenie w dzwon. Pewien bezdomny unosi głowę znad kontenera na śmieci. Spłoszony zabójca zakłada kaptur i znika między blokami. Rolex daytona na przegubie dłoni mężczyzny za kierownicą wskazuje trzynaście minut po północy. Na parkingu zapada cisza.

2

Emil poczuł to nagle. Owo niespodziewane, lecz dobrze znane, silne przeczucie, że za chwilę coś się stanie, wydarzy, zmieni. Po kręgosłupie przebiega mu dreszcz. Nie ma czasu na rozmyślania. Udając, że śpi, przez szparki powiek rejestruje ruch. Chwyta nadgarstek napastnika. Przytrzymawszy za przegub, wymierza sierpowy. Ostrze upada. Szczęka niedoszłego zabójcy przyjmuje kolejne ciosy. W celi zapada cisza.

– Mów, kto ci to zlecił?

– Ja sam.

– Gówno sam! – Chwyta współwięźnia za włosy. – Mów prawdę. – Chodnik tłumi uderzenie głowy o beton. – Mów, bo cię zajebię, gnido.

– Nie mogę!

Pięść przestawia szczękę skazańca. Zza sunących wolno po niebie chmur widać cieniutki księżyc. Niedoszły oprawca pluje krwią zmieszaną ze śliną. Mocne szarpnięcie za włosy unosi mu głowę. W blasku księżyca ukazuje się zakrwawiona twarz.

– Mów. – Emil przykłada zaostrzoną łyżkę do szyi obitego. – Bo zaraz zdechniesz.

– Wiesz przecież, że jak się przypucuję, to po mnie.

Emil puszcza włosy nieszczęśnika. Ten, sapiąc, zwija się w kłębek i jęczy. Chwilę później słyszą plusk. Narzędzie niedo-

szłej zbrodni ląduje w otworze służącym pięciu skazańcom za toaletę.

– Wiem i mam na to wyjebane. – Błyska zapałka. – Mów.

Chmury zakrywają księżyc. Zaciętą twarz oświetla czerwony ognik papierosa. Ciasną, śmierdzącą męskim potem celę wypełnia mroźne powietrze zmieszane z zapachem palonego tytoniu.

– Emil – płaczliwie tłumaczy się ten na podłodze – wiesz, jak to jest. Kazali mi. Jakbym tego nie zrobił – mówi, wycierając krew z wargi o rękaw koszuli – to byłoby już po mnie.

– Gówno mnie to obchodzi.

– Jak Boga kocham.

– Nie bluźnij. Lepiej się zamknij.

Zapada cisza. Bicie ich serc wraca do normalnego rytmu. Słychać pociąganie nosa. Potem i to cichnie. Zza okna docierają, stłumione murami, odgłosy miasta.

– Emil? – odzywa się trzeci głos. – Kopsnąłbyś żaru, co?

Pod okno podchodzi trzeci osadzony, mijając niedoszłego zabójcę. Usta Emila pomiędzy porcjami wydmuchiwanego dymu wykrzywia uśmiech. Gdyby było tam jasno, dostrzegliby w tym sentyment. To w pewnym sensie jego ostatni papieros. Nie ma w nim żalu, jest za to obietnica nowego.

– Masz.

– Wszystkie?

– Jutro będę miał nowe.

Osadzony niecierpliwie zapala. W świetle zakratowanego okna dostrzegają drugi ognik. Obdarowany zaciąga się z przyjemnością.

– Powiedz, czemu się nie przyznałeś, za co cię wciągli?

– A ty, Kasior, co? – odzywa się jeszcze jeden więzień. – Popierdoliło ci się w główce? Z chwastem będziesz nawijał?

Z mendą? Kumpla pod celą szukasz? Do reszty ci się popierdoliło? – dochodzi z łóżka pod drzwiami.

– Ty, kurwa, Świeżak, w nawijkę się nie wpierdalaj! – Odpowiedź przychodzi natychmiast. – Masz swoje kojo, to uderzaj w kimę. – Ognik kieruje się w stronę Świeżaka. – Chyba że chcesz, to mogę cię przejebać. I tak ci po rajtach pojadę, że ci się odechce. Co?

– Uwagę ci zwracam, bo widzę, że z mendą palisz.

– Nie wkurwiaj mnie! Żenić bałach możesz starej, nie mnie! Cynkwajs mam pod gałą! Już chyba zapomniałeś, co? Kminy nie masz skręconej, to się nie wpierdalaj.

– Dobra już, dobra.

– Zamykaj ryj! I nie zapominaj, żem git multirecydywa! Bo mnie pienisz. Jeszcze trochę, to pod fleki pójdziesz.

– Już się kitram.

– I szamot trzymaj.

Pozostali trzej zachowują milczenie. Wiedzą, że ono jest dobre. Pozwala przeżyć. Miało tu dojść do zabójstwa, więc w razie jakichkolwiek pytań jednogłośnie przyznają, że spali jak przedszkolaki i żaden z nich nic nie widział ani nie słyszał.

– Widzisz, Kasior, tym się różnimy, że ja garuję za darmo, a ty za coś.

– Niewinny! Jak wszyscy tutaj.

– To moja ostatnia nocka, to ci mogę powiedzieć. Psem byłem dwadzieścia lat. Na emeryturę miałem iść. Podskoczyłem za wysoko i pajdę mi ożenili. Za cienki byłem. Dostałem zarzuty.

– Jak?

– Po prostu. Jak się chce psa trafić, to kij się znajdzie. Policjant to szmata, każdy chce go ujebać. Przełożeni, ludzie na ulicach, tacy jak ty, prokuratorzy, sędziowie. Wszyscy. A że wtedy się klika u władzy zmieniła i do koryta doszła Chrze-

ścijańska Unia Jedności, to mnie załatwili. Dostałem dyscyplinarkę za przekroczenie uprawnień. A potem wrobili mnie jeszcze w łapówkę.

– Po co? Przecież i tak już miałeś wagę, no nie?

– Ale mógłbym iść na emeryturę, a tak już nie.

– Czemu?

– W psiarni jest, że łapiesz pajdę za łapówkę, to emeryturę tracisz.

– Wiesz, kto cię wrobił?

Emil zaciąga się. Wydmuchawszy dym, gasi papierosa.

– Pewnie ci – odpowiada, patrząc na księżyc – co mnie nadali tej gnidzie na podłodze.

– Żałujesz?

– Czego?

– No tego, żeś garował?

– A ty, żałujesz, że garujesz?

– Ja to co innego.

– Co innego? – powtarza z ironią Emil. – Chuja, a nie co innego!

– Przecież jesteś niewinny.

– A ty żałujesz, że nie jesteś niewinny?

– Ja to co innego.

– Gówno, a nie co innego. To samo. Siedzimy tu razem. Sramy, jemy i skaczemy do gardeł. I nieważne, czy powinienem tu być, czy nie. Istotne, że tu byłem. I tego nic nie zmieni. To jest jak pocisk. Wystrzelonej kuli nie można cofnąć. Ona leci i niszczy to, co napotka.

– Coś w tym jest.

Kasior zastanawia się nad słowami Emila. Ten były glina dostał wyrok, ktoś chce go zabić. Pewnie jeszcze spróbuje, nie dziś, ale tam, na wolności. Szkoda, bo chociaż pies zaw-

sze będzie psem, to ten jest charakterny bardziej niż niejeden git.

– Co zrobisz?

– Dobre pytanie.

– Masz kogoś tam? – Wskazuje głową świat za kratami.

– Nikogo.

– Nie pierdol, nikt nie jest samotną wyspą, jak pisał poeta.

– Widzę, że czytać zacząłeś. Masz rację, ale sam jestem – odpowiada Emil, zaciskając zęby.

– A wapniaki, brat, siostra?

– Rodzice pomarli, brata mam, ale daleko.

– To może ci pomoże?

– Sam będę musiał sobie pomóc. Nie trzymamy kontaktu.

– Najważniejsze, że jutro się wyklepujesz. Wiesz, menda jesteś, ale widać, że gość omega i charakterny. Szkoda, że na psa poszedłeś. Mógłbyś dużo zdziałać. – Kasior urywa. – Ja, wiesz, od bajtla bujałem. Pośmigałem po mieście. Tyle że zawsze się kurwa znajdzie, co się rozpruje. Frajer mi zjechał po kosie. I mam piętnastka. Przynajmniej wiem, za co garuję, ale ty? Teraz czeka cię wolność. Musisz planetę przygruchać. Będzie ci żreć dawała, a szpary nie poskąpi. Jak mnie wypuszczą, to do kretowiska niezwłocznie uderzę świnię od zakrystii wydymać. Nawet, kurwa, najgorszą gruzinkę albo plantówkę nielatę.

– Możesz się na harem pofatygować – odzywa się głos spod drzwi.

– Kurwa, jak Boga kocham, Świeżak, zaraz ci przypierdolę!

– Widzisz – wzdycha Emil, nie zwracając uwagi na Świeżaka. – Nie mam do czego wracać.

– Nie nawalaj. Każdy ma. Wracasz na wolność. Tylko to się liczy.

Zapada cisza. Spojrzenie Emila wędruje w stronę okna. Księżyc wychodzi zza chmur i oświetla pooraną bruzdami twarz. O czym były policjant myśli, nie sposób odgadnąć. Choć na ośmiu metrach kwadratowych spędzili tu lata, nigdy tego nie potrafili. Emil dziś, tak samo jak pierwszego dnia, gdy stanął w drzwiach z mandżurem, pozostanie zagadką. Tyle że dowiedzieli się prawdy.

3

Andrzeja Kamińskiego pierwszy dzień w Polsce wita niepogodą. Siódmego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku na warszawskim Okęciu wieje na tyle mocno, że pilot walczy ze sterami, by posadzić białego tupolewa Tu-154 na pasie.

– Życzę miłego pobytu nad Wisłą.

– To pani ostatni lot dzisiaj?

– Tak.

– W takim razie – Kamiński dodaje z rozbrajającym uśmiechem – ja życzę miłego wieczoru.

– Bardzo dziękuję. – Dziewczyna zatrzymuje wzrok na mężczyźnie dłużej niż zwykle. – Choć wątpię, aby to było możliwe – dodaje.

– Dlaczego?

– Z taką aurą? – Stewardessa przewraca oczami. – To niemożliwe.

– Ach, rozumiem – odpowiada pasażer. – Proszę pamiętać, że aurę można uprzyjemnić.

– Widziałam, że pan czytał. To pana sposób?

– Jest całkiem skuteczny.

– Zdradzi pan, jaka książka tak pana zajęła?

Kamiński się uśmiecha. Dziewczyna widzi rząd prostych i białych zębów. Wyjmuje z niewielkiej torby *Buszującego w zbożu* Salingera.

– Jest niezła.

– Nie czytałam.

– Polecam.

– Jak tylko znajdę czas. Z moją pracą to niełatwe.

Kamiński spogląda na dziewczynę i zakłada czapkę. Dziewczyna odwzajemnia uśmiech. Jest bardzo ładna.

– Z tym może być trudno. – Wskazuje głową to, co się dzieje na zewnątrz. – Chyba zbliża się koniec świata.

Za oknem deszcz wiruje w dzikim tańcu ze śniegiem. Stewardessa kiwa głową. Kamiński już zauważył, że nie nosi obrączki. Ona zwróciła uwagę na błękitne oczy, kanciastą brodę i jasne, krótkie włosy. Jednak najbardziej interesują ją jego plecy.

– Chociaż z drugiej strony – przystojniak się odwraca – skoro mówi pani, że skończyła pracę, a pogoda nie zachęca do spacerów, to napijmy się gorącej herbaty.

– Interesująca propozycja.

– Porozmawiamy o literaturze – dodaje. – Mam nadzieję, że się pani nie obrazi na tak niemoralną propozycję? – Mruga okiem.

Nie zdziwił się pogodą. Zna polski klimat. Przygotowano go na warunki, jakie tutaj panują, już dawno. Zresztą przygotowano go na wiele.

– Chętnie – odpowiada dziewczyna. – Tym bardziej że w herbacie nie ma niczego niemoralnego.

– To zależy.

– Od czego?

– Co do niej dodamy.

Przeszywa ją dreszcz podniecenia. Kamiński jest ogromny. Ma sporo ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu – myśli – a z tak szerokimi barkami waży pewnie dużo ponad sto kilogramów.

– Racja.

– Zatem?

– Może odrobina rumu?

– Gdzie na panią czekać?

– Proszę się odprawić. Spotkajmy się – stewardessa spogląda na zegarek – za pół godziny.

– Gdzie?

– Pod tablicą odlotów.

– Zatem do zobaczenia.

Pasażer waży sto dwanaście kilogramów. Mierzy sto dziewięćdziesiąt sześć centymetrów. Choć rok urodzenia z dokumentów się zgadza – Kamiński urodził się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym – stało się to nie w Warszawie, ale w Murmańsku. I wbrew temu, co twierdzi jego paszport, nie wydała go Polska Rzeczpospolita Ludowa, ale Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

4

Nadkomisarz Franciszek Mreges pomyślał, że gałęzie lip pomiędzy budynkami z żelbetu sprawiają na tle nieba upiorne wrażenie. Spokojne blokowisko rozbrzmiewa teraz urywanymi rozmowami, których strzępki powietrze niesie dalej niż zwykle. Nikomu z zebranych na miejscu zdarzenia ludzi nie chce się spać, mimo że to najlepsza do tego pora.

– Cześć. – Podaje rękę policjantowi w czarnym mundurze. – Co wiadomo?

– Pół godziny po północy, panie kapitanie, dyżurny z KRP II odebrał zgłoszenie, że zastrzelono tutaj człowieka.

– Daj spokój z panowaniem. Powiedziałeś: „zastrzelono”?

– Tak. – Z ust aspiranta wydobywa się para. – Dyżurny powiedział dosłownie, że przy Rzymowskiego, w samochodzie, jest ktoś zastrzelony.

– Anonim?

– Dopiero ustalają, skąd dzwonił zgłaszający.

– Uhm?

– Przyjechałem tu dziesięć minut później. Znaleźliśmy go, ale czynności medycznych nie podjąłem, widać dlaczego.

Franz spogląda na zwłoki. Jest szczupłym mężczyzną, który dużo pali. Mimo pięćdziesiątki na karku, siwych skroni i zbyt często zmęczonej twarzy, kobiety wciąż zwracają na niego uwagę. Zupełnie inaczej niż on.

– Masz rację. Widać dlaczego.

Denat siedzi za kierownicą. Czaszka w górnej części jest rozerwana, a twarz pokrywa zakrzepła krew i mózg. Franzowi wydaje się, że zna ten samochód. Fotograficzna pamięć to jego dar – jeśli zobaczy coś lub kogoś, zawsze o tym pamięta.

– Wezwałem lekarza. Zabezpieczyliśmy teren – tłumaczy aspirant. – Na koniec zrobię notatkę. Dyżurny wezwał grupę i was.

– Skąd wiedzieliście, w którym on jest samochodzie?

– To przypadek. Kociarstwo zauważyło łuskę na dachu. – Aspirant wskazuje dwóch młodych policjantów.

Mreges spogląda na samochód. Faktycznie na dachu škody superb leży łuska. Technik oświetla ją fleszem. Drugi zabezpiecza odciski palców z klamek. Jeszcze jedna zarwana noc, która zbliży mnie o jeden dzień do emerytury – myśli z ironią glina.

– Jacyś świadkowie?

– Na razie nic.

– Nikt nic nie słyszał?

– Wszyscy śpią. – Aspirant wskazuje okna w bloku. – Tam gdzie pali się światło, wysłałem patrol pieszy. Nikt nic nie słyszał ani nie widział.

– Nic dziwnego, jest po pierwszej. – Franz wyjmuje paczkę gauloise'ów. – A monitoring? Nie wiem… Cokolwiek?

Wokół są bloki, trawniki, parking, kilka pustych ławeczek, śmietnik i rachityczne, bezlistne drzewa. Żadnej stacji paliw, warzywniaka, hipermarketu, nic. Nawet osiedlowego sklepu. Tylko konary, przypominające Franzowi wyciągnięte ku księżycowi w niemym geście rozpaczy poskręcane ramiona i palce.

– Nie ma kamer.

– Uhm, tak właśnie, kurwa, myślałem – mówi z papierosem przyklejonym do wargi. – Niech pieszy zrobi z rozpytania notatkę. U kogo byli i czego się dowiedzieli.

– Szczyńść Boże, panie komisarzu! – odzywa się większy o głowę od Franza i aspiranta z patrolu mężczyzna.

– No, szczęści nam jak…

– Roboty się nam przed świntoma nazbierało, co?

Policjant z patrolu jest zaskoczony. Franza gwara kolegi dawno przestała dziwić. Aspirant sztabowy Jacek Hanysiewicz, dla większości Hanys, pochodzi z Bytomia. Jest policjantem, który raczej milczy, niż mówi. Raczej twierdzi, niż przypuszcza, a nade wszystko „wie" przed pozostałymi.

– Się nam, kurwa, nazbierało – wzdycha Franz.

– Nielegalny ubój?

– Na zawał to nie wygląda. Zadzwoń na grzyba, trzeba tu wszystkich: proroka, lekarza i czarną karetkę.

Hanys resztkę siwych włosów co trzeci dzień ścina elektryczną maszynką razem z zarostem. Także postura grizzly sprawia, że wygląda bardziej na typka z izby wytrzeźwień niż glinę.

– Zwierzynę trzeba na Oczki zawieźć. – Franz pociera zapalniczkę o nogawkę. – Do zimnego chirurga, póki jeszcze telewizyjne kurwiszony się o odstrzale nie dowiedziały.

Po dwudziestu latach Mreges nienawidzi pracy. Jest zmęczony. Nie ściganiem bandziorów, ale policją. Tym, że musi wykonywać głupie rozkazy. Zmęczył się statystyką i tym, że nie ma znaczenia, jakie policjant ma wykształcenie czy kwalifikacje, bo i tak za koneksje dostaje się stopnie i grupy zaszeregowania.

– I tak jeszcze chwila – zaciąga po śląsku Hanys – a zaraz tukej jakoś frelka z mikrofonem bandzie.

Hanys nie wyzbył się tego, że czasem mruknie coś gwarą. Nie dlatego, że nie potrafi mówić jak warszawiacy. Dawno już się tego nauczył, po prostu wtrąca coś czasem od siebie, kiedy sytuacja na to pozwala.

– Wiem o tym. Nie musisz mnie drażnić. – Franz wciąga dym w płuca.

– Coś mi tu kadzi. I to mocno.

– Co? – Franz odejmuje papierosa od ust.

Gwara Franzowi nie przeszkadza. Większość słów rozumie. Tak jak teraz wie, że zaraz zjawi się jakaś panienka. Myśli gliniarza zaprząta to, że wóz z trupem jest znajomy.

– Jeszcza nie wiem – stwierdza Hanys, uważnie obserwując miejsce zdarzenia. – Furmanka jakaiś kadząca je.

– A co tu może śmierdzieć? Delikwent dostał kulkę z procy i się zwinął. Nikt nic nie słyszał i nie widział, bo myśliwy pewnie użył tłumika. „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie”. Dziady, kurwa, część druga. Mickiewicz na Mokotowie.

– Nie o tym godom.

– No to o co ci chodzi?

– Badnij. – Hanys wskazuje denata. – On też ma procę.

Policjant z patrolu oświetla wnętrze pojazdu latarką. Sześcioro oczu wędruje za snopem światła. Prawa dłoń denata rzeczywiście trzyma broń.

– Hanys, stary jesteś, ale oczy masz zajebiste. Faktycznie.

– Co to? – Hanysewicz puszcza uwagę mimo uszu. – Rewolwer?

– No, rewolwer. Dziki Zachód nam się z Warszawki zrobił, cholera jasna.

– Gówno, nie dziwoki zachód. Życie to nie łestern.

– No nie, ale sam widzisz.

– Kto dzisio łu nos mo takom klamkę?

– Może to gazówka?

– Panowie – wtrąca się aspirant z patrolu – to nie gazówka. – Znam tę broń.

Kryminalni spoglądają na policjanta w mundurze. Obaj niejedno już widzieli, więc patrzą na mundurowego z oddziałów prewencji bez zdziwienia, tylko z wyczekiwaniem.

– Jestem instruktorem strzelectwa – mówi patrolowy. – To polski rewolwer.

– Polski? Za brązowych butów – dodaje z namysłem Hanys – niektórzy mieli łu nos naganty.

– To jest gward.

– Co to jest gward? – dopytuje się Franz.

– Faktycznie milicja używała naganta. Potem przyszły tetetki, peszelaki i P-83. W latach dziewięćdziesiątych biurwy w Pentagonie wpadły na pomysł, aby wyposażyć nas w rewolwery krajowej produkcji. No i Wifama wyprodukowała to cudo. – Aspirant wskazuje głową samochód.

– Nie wiedziałem, że w ogóle robiliśmy rewolwery. Przecież to jest Mokotów, a nie jakaś pieprzona Arizona, Meksyk czy Teksas.

– Raczej jakaiś Alaska. – Hanys dmucha w skostniałe dłonie. – Mrozu już prawie dziesięć stopni.

– Jest zima, Hanys, to jest zimno. Takie są prawa natury.

– Zechce się pan, panie komisarzu, grzecznie odpierdolić? Trza się za robotę chycić.

Franz się uśmiecha. Lubi poczucie humoru poczciwego Ślązaka i jego gwarę na zawołanie.

– Wyprodukowano ich dwa tysiące – ciągnie aspirant. – Kaliber trzydzieści osiem Special. Trafiło ich do nas pięćdziesiąt sztuk.

– Czekaj, czekaj… – przerywa Franz. – Dostawali go najwyżsi oficerowie?

– Konkretnie ruchacze.

Hanys spogląda na denata. Zerka na samochód. Patrzy na numer rejestracyjny. Wyjmuje telefon, odchodzi, tak aby nie było słychać rozmowy, i dzwoni.

– No, bo coś właśnie kojarzę.

– Ateciaki mieli astrę trzysta pięćdziesiąt siedem na nabój Magnum…

Miejsce zdarzenia jest zakryte parawanem. Świecą mocne lampy. Policjant z grupy otwiera drzwi. Inny sięga dłonią w rękawiczce do marynarki. Franz uważnie śledzi ruchy mężczyzny. Napis „technik kryminalistyki” fosforyzuje na plecach funkcjonariusza.

– Franz!

– No?

– Wiesz, czyja ta furmanka?

– No?

– Nie zgadniesz.

Księżyc wychodzi zza chmur i oświetla mieszaninę krwi, mózgu, strzępków skóry i włosów zamiast głowy. Technik

wyjmuje z portfela denata plastikową kartę. Rozpoznają dobrze znaną gliniarzom legitymację.

– Ożeż kurwa! – Technik patrzy na trupa.

– Aleśmy trafili.

– Na co? – dopytuje się Hanys. – Na co trafiliśmy? Franz? Słyszałeś?

– Tak, kurwa, słyszałem – odpowiada, wskazując kawałek plastiku.

5

Franz parkuje na Międzynarodowej. Spluwa na chodnik, zatrzaskując drzwi. Krótki spacer w kierunku alei Waszyngtona. Rzut oka na przystanek po stronie parku Skaryszewskiego. Krótka wymiana spojrzeń. Mężczyzna w czarnych dresowych spodniach z paskami Adidasa na lampasach. Kaptur ciemnoszarej bluzy zarzucony na głowę. Franz idzie dalej, informator odczekuje, dyskretnie rozgląda się i rusza za gliną. Za portiernią Zakładu Sieci Kanalizacyjnej Franz zatrzymuje się, wyjmuje gauloise'y. Mężczyzna w kapturze podchodzi i odpala glinie.

– Dzięki – mówi Franz. – Aleś się odpierdolił.

– Czego chcesz?

Mreges uważa, że podstawowym narzędziem pracy policjanta kryminalnego są kontakty. Lepiej, żeby służyły dłużej, dlatego nie eksploatuje nadmiernie tego źródła informacji.

– Nie można grzeczniej? Nie widziałem cię kilka miesięcy.

– Wal się.

– Tak bez gry wstępnej to ja nie chcę – odpowiada.

Franz wie, że bez kontaktów nie ma informacji, a bez nich nie ma efektywnej pracy operacyjnej. W przypadku zabójstwa komendanta nie wystarczy złodziejaszek okradający sta-

ruszki pod Jarmarkiem Europa. Zresztą Stadion Dziesięciolecia to historia.

– Czego chcesz?

– Słyszałeś, że nasz generał dostał kulkę?

– Myślisz, że mieszkam w cholernym Zimbabwe albo Burkina Faso, komisarzu Mreges? Nasze miasto to nie pieprzona Kinszasa. Jasne, że słyszałem.

– Mordeczkę to zawsze miałeś nie od parady. To trzeba ci przyznać, ale akurat Kinszasa jest w Kongo – odpowiada Franz.

Mężczyzna wie, że informacje zawsze wypływają ze świata przestępczego. To oznacza kontakty z bandytami różnego rodzaju: złodziejami, porywaczami, łapówkarzami. Praca gliny kryminalnego to kontakt z najgorszymi mętami tego świata, wszystkimi za wyjątkiem jednych. Franz nie współpracuje z zabójcami.

– Dzwonisz do mnie, żeby rozmawiać o geografii? Człowieku! Wiesz, ile ryzykuję, spotykając się z tobą?

– Zamknij się – cedzi przez zęby Franz. – Szmatą jesteś i tyle. Chodzisz po wolności tylko dlatego, że na to pozwalam.

– Nie jestem jakimś kibolem z Legii, ale…

– Nie panikuj. Telefon, z którego dzwoniłem, jest bezpieczny. A tutaj, w tak pięknych okolicznościach przyrody każdy może się spotkać.

Park Skaryszewski o tej porze roku niezbyt pasuje do tego określenia. Drzewa są smutne, ogołocone z liści, pokryte ptasimi odchodami. Pomiędzy gałęziami głośno kraczą odpowiedzialne za to gawrony. Informator Franza jest jednym z wielu. Współpracuje z policjantem, ponieważ ma w tym interes.

– Ciekawe, czy tak samo pierdoliłbyś na moim miejscu?

– Ale nie jestem na twoim miejscu.

– Skończyłeś? Czego chcesz?

– Co wiesz o kropnięciu el komendante?

– A co mam wiedzieć? Nic!

– Nie wkurwiaj mnie! I mów wszystko, jak na spowiedzi. Bo jeden mój ruch i otwieram teczkę, a potem idziesz pierdzieć w pasiaki za te fury. A jak się twoi byli koledzy z Pruszkowa dowiedzą, że jesteśmy kumplami, to jak wyjdziesz z ancla, czeka cię to samo co komendanta.

– Wiem niewiele.

– Mów, co wiesz.

– Twój były szef zadarł z kimś bardzo wpływowym.

– Z kim?

– Tego nie wiem. Może z wami? Sam wiesz, że spotykał się ze śmietanką. Generałowie, ministrowie, stara gwardia. Psy, legia, polityka. No i chłopcy z miasta.

– Jaka stara gwardia?

– Przecież co i rusz jeździł na Wilanów. Każdy to wie.

– Ja nie wiedziałem.

– I dlatego jesteś zwykłym kryminalnym, panie komisarzu, a nie naczelnikiem swojego wydziału albo szefem garnizonu.

– Morały mi będziesz prawił?

– Kumpli tam miał – odpowiada wtyka – co go po plecach klepali i w górę pchali.

– Myślisz, że nie wiem, jak się w psiarni generałem zostaje? Konkrety.

– Przed śmiercią był na imprezie u jednego starego ubeka.

– Mów dalej.

– Na imprezie było sporo ludzi. Senatorowie, ministrowie, mój szef także. Trochę bandytów. I pierwszy zastępca. Cała ta banda to polityczno-korytowy układ.

– I co?

– Była gadka, że komendant się zmieni, że za bardzo podskoczył i musi iść w odstawkę.

– Czemu?

– Zbyt ambitny.

– I co?

– I jego zastępca powiedział mu, żeby się nie spinał, bo dostanie przeniesienie.

– No to niewiele mi powiedziałeś.

– Mówiłem, że mało wiem.

– Coś mi się zdaje, że grasz ze mną w chuja…

– A pozwolisz dokończyć?

– Zamieniam się w słuch.

– Jest większy układ, ale ja naprawdę jestem za krótki. Wiem, że to jakaś stara gwardia. Mają wszystko w garści: was, wojsko, służby specjalne i połowę parlamentu. Nie mieszają się do biznesu, bo ich interesuje polityka, ale kilku biznesmenów, no i chłopaków z miasta robi dla nich. Robi niewyobrażalne pieniądze.

– Na czym?

– Podejrzewam, że chodzi o ustawiane przetargi…

– Mnie nie interesują twoje podejrzenia. Od podejrzeń to ja jestem. Mów, co wiesz. Nazwiska słyszałeś?

– No.

– No to na co czekasz?

– Szczygiełczyk, Poll, Dryja, Lipski, Antonowicz.

– Antonowicz? Ten Antonowicz?

– Zdzisław Antonowicz z Chrześcijańskiej Unii Jedności. Zresztą połowa tej partii tam była.

– A Lipski? Kto to?

– Jego nie znam. Kiedyś był senatorem.

– A chłopaki?

– Z miasta?

– A co, z dupy? No jasne, że z miasta. Którzy?

– Kirkir, Alek i Wołowina.

– Dobra – i co?

– Generał odkrył coś, co mu się nie spodobało. Chciał sprawę rozwiązać.

– Rozwiązać?

– No tak. – Kapuś wzrusza ramionami. – Rozwiązać. Tyle się dowiedziałem, ale nie wiem, co to znaczy.

– A skąd ludzie starej gwardii się o tym dowiedzieli?

– Nie wiem. Słyszałem tylko, że oni mają wszędzie swoich. Wiesz, to nie jest jakaś banda dresów albo chłopaki z miasta. Są naprawdę wpływowi, ale w skali europejskiej, a nie na Polskę czy jakieś miasteczko jak Warszawka. W sprawę zamieszany jest jeszcze jakiś zakon.

– Zakon?

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Były też gadki o specjalach, abwerze, człowieku pod żyrandolem. Tak naprawdę to chuj wie, o co w tym chodzi.

– Co jeszcze?

– Więcej nie wiem.

– To spierdalaj.

Franz patrzy w oddalające się plecy. Zaniepokoiło go, co kapuś wyśpiewał. Nigdy nie wiadomo, co taki naopowiada. Może zmyśla? Najbardziej zastanawiające jednak, że użył słowa „zakon", oznaczającego Biuro Spraw Wewnętrznych. Nazwiska, które podał, też niezbyt napawają optymizmem.

6

Choć Emil często wyobrażał sobie tę chwilę, czekał na nią niemal każdego dnia, to teraz wszystko pozostało takie jak wcześniej. Pierwsze krople roztrzaskują się, kiedy gad otwiera drzwi aresztu na Białołęce przy akompaniamencie pisku

nienaoliwionych zawiasów. Spojrzenie wstecz na ordynarną bramę w zgniłozielonym kolorze. Przy krawężnikach błotnista maź. Asfalt brudny i krzywy. Znienawidzona żółta farba ścian i elewacji. Na ulicy nic się nie zmieniło. Ani jednego przechodnia, jeden zaparkowany samochód, chlapa i szarzyzna.

– No w mordę – mruczy, stawia kołnierz i rusza. – Nareszcie.

Po kilkunastu krokach słyszy rozrusznik samochodowy. Chwilę później przy chodniku pojawia się znajomy kształt. To mini cooper w czarnym kolorze.

– Cześć.

– Cześć – odpowiada, nie zwalniając kroku.

– Co tam masz?

Emil przystaje. W rękach niesie karton z depozytem. Nachyla się i spogląda do wnętrza. Za kierownicą siedzi trzydziestolatka z dredami w kolorze rdzy. Jest blada, piegowata, ubrana kolorowo. Z kolczykami w nosie, brwiach, brodzie i w uszach wygląda niczym amerykańska hipiska.

– Gdzie?

– Tam – Ruda wskazuje brodą. – W kartonie.

– Nic.

– Co tam masz? – W jej głosie nie ma miejsca na sprzeciw. – Mów!

Ich spojrzenia się spotykają. Taksują się wzrokiem jak bokserzy na ringu przed starciem. Mężczyzna zastanawia się, kim jest ta mała. Ta zaś czeka na reakcję. Wreszcie mężczyzna uśmiecha się, bo upór w zielonych oczętach wydaje mu się uroczy.

– Nic.

– Jak nic?

– No, nic.

– To znaczy co?

Chuda, ważąca nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów dziewczyna odzywa się do byłego gliny z ponaddwudziestoletnim stażem, nakazując mu bezwzględne posłuszeństwo. Mówi do kryminalisty po kilku latach odsiadki jak do gówniarza. Do tego, który skasował mafię, przy której gang pruszkowski to banda gimnazjalistów palących fajki za rogiem na długiej przerwie. I to wszystko na absurdalnym tle murów największego aresztu śledczego w Europie.

– Wszystko – odpowiada wolno.

– Wszystko?

– Tak – cedzi przez zęby Emil. – Wszystko.

– To wskakuj. Powinieneś mnie poznać.

– A kim ty jesteś?

– Wsiądziesz, czy będziesz stał w tym deszczu jak ciul jakiś?

Emil spogląda na ciemniejące w deszczu drzewa. To smutne miejsce przez tę pogodę staje się jeszcze bardziej ponure. Były więzień nabiera powietrza i zatrzaskuje drzwi samochodu od środka.

– Dobry wybór.

– Nie miałem wyboru.

– Nie kłam. Wybór jest zawsze, komisarzu.

Ten zaś zastanawia się, o co może chodzić tej małej. Czuje się nieswojo, choć nie ma w nim strachu. Samochód rusza energicznie, a ruda wskazuje radio.

– *Don't worry about a thing* – docierają do ich uszu słowa – *'cause every little thing gonna be all right*. – Nadal nie wiesz, kim jestem?

Emil milczy. Nie ma pojęcia, kim jest ta dziewczyna, skąd wie, kim on jest, i czego ona chce. I w dupie ma Boba Marleya, reggae i piosenki o tym, żeby się nie przejmować.

– Lejce zapnij.
– Andżelika?
– Możesz mówić Andżela. Powiedziałam: zapnij pasy.
– Tylko tyle?
– A co chcesz więcej?
– Wszystko.

Jej wzrok spotyka się z jego spojrzeniem. Dziewczyna zaciska usta, aby się nie roześmiać, ale starania nie są skuteczne. Tym bardziej, że Emil łobuzersko odchyla głowę i demonstracyjnie zapina pas. Dziewczyna zerka w lusterko, zmienia bieg i pruje przez pustą ulicę, rozchlapując kałuże.

– Jak wszystko – mówi, włączając odtwarzacz – to dobrze trafiłeś.

Z głośników płyną niepasujące do tej pogody słowa: *Rise up this mornin'. Smiled with the risin' Sun.*

7

Po południu w żółtym gmachu Komendy Stołecznej w Warszawie naczelnik zwołuje odprawę. Nie dla całego Wydziału Kryminalnego, nawet nie dla Referatu Przestępstw Przeciwko Życiu i Zdrowiu. W obskurnej świetlicy w Pałacu Mostowskich zbiera się Sekcja Zabójstw, nazywana w branży wydziałem iks. To kilku najbardziej balansujących na krawędzi prawa gliniarzy, jakich widziała policja po upadku komuny. Kiedyś mieli tu Wydział ds. Zabójstw, ale to, że w stolicy wskaźnik zabójstw spadł o połowę, komuś przeszkadzało. Wydział wcielono więc do kryminalnego i teraz, jeśli zachodzi potrzeba, do zabójstw dochodzą pobicia, bójki, gwałty i rozboje. Tę czarną robotę odwalają Franz i jego ludzie: Ruda, Karlos i Hanys. Ostatnio dołączył Nowy.

– Wiem, panowie, że jesteśmy przed Wigilią – zaczął naczelnik. – Też mam rodzinę. Wiem, że pracujecie od kilkuna-

stu godzin bez przerwy, ale ustalenie okoliczności śmierci Markowskiego to priorytet.

– Czyli, panie majorze – odzywa się Franz – trup komendanta to nie to samo co bezdomny?

– Nie wiesz, jak jest firmie?

– Służba dla polityki i statystyki, a naszym celem dobre wyniki.

– W młodego się bawisz, czy chcesz mnie wkurwić?

– To tylko żarcik. – Mreges macha ręką.

– Dobrze wiecie, jak jest – rzuca naczelnik. – Polityka w państwie prawa. Moich dowódców naciskają, moi dowódcy naciskają, a ja was proszę…

– Oho! – Hanys szepcze do ucha Nowemu. – Sraczka w sztabie jak chuj.

– …zróbcie wszystko, co potraficie. Ustalcie, co się da. Ma być zrobione. Zespół prasowy też mnie naciska. Nie wiedzą, co mają powiedzieć prasie.

– Będzie zrobione. – Franz kiwa głową. – A medialni niech powiedzą to, co zwykle. Czyli nic. Pilna robota zrobiona. Zwłoki u zimnych chirurgów. Oględziny zrobione. Ślady zabezpieczone. Kulka wysłana do CLK. Łuska też. Czekamy na billingi. Przesłuchaliśmy już kilku ludzi. Gadaliśmy nawet z ucholami.

– No i?

– Lepiej, żeby pan major nie wiedział.

– Mów.

– Sprawdziliśmy logowania komórki Markowskiego w BTS-ach. Wychodzi, że około dwudziestej pierwszej Markowski pojechał do Zatoki Czerwonych Świń. Dowiedzieliśmy się, że na imprezę do Tadeusza Szczygiełczyka. To emerytowany dyrektor Departamentu Studiów i Analiz Minister-

stwa Spraw Wewnętrznych w czasach Polski Ludowej. Generał brygady. Hanys u niego był.

– I co?

– Stary cwaniak siedzi jak trusia – odparł osiłek. – Pedzioł, że bez adwokata gadał nie będzie.

– Wiemy, że było tam kilkunastu ludzi – ciągnie Franz. – Wychodzi, że to tam widziano go po raz ostatni. Nie licząc dworca.

– Dowiedziałem się – dodaje Hanys – że Markowski nie pił, bo o północy matulę odebrać miał z Centralnego.

– Co?

– Miał matkę odebrać – tłumaczy naczelnikowi swojego wydziału Franz.

– I co?

– Przejrzeliśmy monitoring. Faktycznie przed północą zjawił się na dworcu, ale pociąg miał opóźnienie, więc Markowski postanowił wrócić do domu. I na parkingu dostał czapę.

– Masz coś jeszcze?

Franz spogląda na Hanysa, przenosi wzrok na Rudą i Karlosa. Nowy nie patrzy w ogóle. Widać, że Franz nie bardzo chce się podzielić jeszcze jedną informacją.

– Na imprezie – patrzy w twarz przełożonego – zebrało się towarzystwo.

– A możesz, kurwa, jaśniej?

– Nie chce pan tego, panie majorze, wiedzieć – wtrąca się Hanys, który jest najstarszym stażem policjantem w wydziale i może sobie pozwolić na taką uwagę.

– Dobra, spotyka się z tym Szczygiełczykiem – odpowiada naczelnik, łypiąc na Franza okiem. – Z kim jeszcze?

– Na razie wiemy – wzdycha Franz – że oprócz generała i jego żony był tam niejaki Edward Lipski z kierowcą.

– Kto to jest?

– Kiedyś był senatorem. Stracił immunitet i siedział, ale krótko. Uniewinniony. Teraz eurodeputowany. Oficjalnie biznesmen, ale to kanalia.

– Za co siedział?

– Zamieszanie w przemyt dużych ilości sufitówki z Holandii.

Naczelnik ujmuje brodę w dłoń w geście zakłopotania. To, co usłyszał, nie brzmi zbyt obiecująco.

– Nie mamy na to jeszcze dowodów – dodaje Franz – ale ten Lipski to nie jedyny bandyta w towarzystwie. Byli tam Wołowina, Kikir i Alek. Oprócz tego na imprezę przybył pierwszy zastępca.

– Co? Poll tam był?

– Tak.

– No to, kurwa, zajebiście. – Naczelnik chwyta się za głowę. – Niech się tylko gazetowe kurwiszony dowiedzą!

– Była tam też jeszcze kierowniczka izby dziecka. Mężatka, dwoje dzieci. Dziewczynka trzy latka i syn starszy. Chodzą słuchy, że popuszcza szpary Pollowi. No i że ma rozkaz przeniesienia do Głównej.

– Dobra. – Major próbuje się pozbierać. – Oni widzieli komendanta ostatni raz, tak?

– Prawdopodobnie.

– No to, kurwa, pięknie. To jest sprawa dla BSW. Będzie smród!

– Markowski dowiedział się, że zwolnią go ze stanowiska i dostanie oficera łącznikowego w Stanach.

– Uhm. Od kogo?

– Od generała.

– A skąd stary ubek wiedział takie rzeczy? Przecież my o tym nie wiemy! To są informacje zastrzeżone dla grubych ryb.

– No właśnie. Może lepiej tego nie ruszać? – Franz palcem wskazuje swój nos.

– Cholera – niecierpliwi się major. – To i tak jest śmierdzące. Łby się posypią. Zakon się przyjebie i będzie afera. Musimy robić, jak w książce jest napisane, słyszysz?

– To nie wszystko, panie majorze – dodaje Franz. – Markowski zlecił rozpracowanie pewnej grupy. Jeszcze nie znam konkretów. Na razie trop prowadzi do Ministerstwa Finansów i… do nas.

– Do policji?

– Mam wrażenie, że zero-jeden coś odkrył.

– Co?

– Na mieście mówi się, że ustawiane przetargi na zakup sprzętu dla nas.

– Jaja sobie robisz?

– Nie. Podobno przebąkiwał, że to ujawni.

– Teraz pasuje. Mordochlap mógł szkodzić, to go ktoś kropnął – kwituje major. – Franz, do roboty. Zróbcie, co jest do zrobienia, i odbój. Napisz raport i idźcie do domu. Ktoś przecież musi zarżnąć karpia.

8

Inspektor Jan Poll spieszy korytarzem w czeluściach gmachu przy Rakowieckiej na „osobiste zaproszenie pana ministra". Nie dość, że rozmowa przy cholernym dębowym stole na wysoki połysk, to jeszcze te kurwiszony – myśli z niesmakiem o prasie Poll.

– Panie dopomóż – sapie, wchodząc po schodach. – Choćbym kroczył ciemną doliną, zła się nie ulęknę, bo jestem w tej dolinie najtwardszy – mruczy jak modlitwę.

Tusza pierwszemu zastępcy komendanta głównego policji nie ułatwia sprawy. Gliniarz ma metr dziewięćdziesiąt cen-

tymetrów wzrostu. Waży sto trzydzieści sześć kilogramów. Szczerze powiedziawszy, wolałby stanąć i oświadczyć w błyskach fleszy i światłach kamer, że sprawa jest rozwiązana. Tego jednak nie powie. Za to będzie musiał stwierdzić, że w tej chwili nic nie ma. Że policja nic nie ma. A policja w tej chwili to on.

– To egzekucja.

– A jakieś szczegóły?

– Jeden strzał, wystarczyło. Śmierć na miejscu – referuje zastępca.

– Świadkowie?

– Nikt nic nie widział.

Inspektor Jan Poll ma czterdzieści dziewięć lat. Jego staż służby to trzydzieści dwa lata, z czego siedem w milicji. Nazywany jest knurem. Prywatnie żonaty, ma dorosłą córkę. Żony nie kocha, zresztą z perspektywy czasu nie ma wątpliwości, że ożenił się dla kariery. Co ciekawe, z tego powodu z Pollem spotyka się jego kochanka.

– Uhm – zamruczał złowieszczo minister. – Nikt nic nie widział. Czyli nic pan nie ma. – Minister Antonowicz wpatruje się w policjanta.

– To trudna sprawa. – Poll prostuje się za stołem. – Mamy do czynienia z zawodowcem.

– Skąd pan to wie?

– Nikt nic nie słyszał, czyli tłumik. Jeden strzał. Znaleźliśmy… – wylicza policjant – badaliśmy… – Poll stara się używać czasowników.

– Widzę, że chwytami rzeczników prasowych podkreśla pan, że w tej sprawie policja coś robi?

– Zaangażowałem się w tę sprawę – tłumaczy się jak dziesięciolatek przy ułamkach Poll. – Objąłem ją osobistym nadzorem.

– Panie inspektorze, jestem ministrem spraw wewnętrznych. Wiem, co oznaczają takie slogany. Wykonał pan jeden, może dwa telefony do podległych i tyle.

– Ależ!

– Nie o to chodzi. Wiele jestem w stanie zrozumieć. – Antonowicz macha ręką. – Tylko proszę powiedzieć, co nam te pana działania dały?

Policjantowi zasycha w gardle. Trzęsącą się dłonią nalewa wody do szklanki. Gabinet wypełnia cisza. Słychać tykanie stojącego pod ścianą zegara. Polla nawiedza myśl, że jeśli teraz nie awansuje na pierwszego policjanta w Polsce, to nie zostanie nim nigdy.

– Potrzebuję ludzi, specjalistów. A skąd mam ich wziąć? Młodzi są do niczego, a starzy poodchodzili na emerytury.

– Możliwe, możliwe – odpowiada minister. – Tyle że nam to dalej nic nie daje.

– Nie rozumiem.

– Panie komendancie, powiem bez ogródek: gówno mnie to obchodzi.

Zastępca wpatruje się w szklankę. Nie spodziewał się takiej riposty. Kiwa głową. Na jego czole pojawiają się kropelki potu.

– Sprawę przejęła Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. – Minister przeszywa mundurowego wzrokiem. – Pan mi mówi, że to egzekucja, tak?

– Tak, panie ministrze.

– Więc niech pan posłucha. Pełni pan obowiązki poprzednika. Tutaj jest rozkaz. – Rzuca dokument na biurko. – Ja mówię, że to samobójstwo. Tak stwierdza Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Prokurator generalny jest tego samego zdania. Czy pan mnie rozumie?

– Nie.

– To niech pan czyta. – Przed policjantem ląduje teczka.

Dokumenty opatrzone są klauzulą „ściśle tajne”. Dotyczą sprawy zabójstwa.

– Na głos – dodaje minister.

Pełniący obowiązki komendanta głównego policji czuje, że krawat zaczyna go dusić. Sięga jeszcze raz po szklankę, ale niewiele to daje. Czuje, że każdy por tłustego ciała wypełnia pot. Koszula przylepia się do pleców. Gliniarz z utęsknieniem myśli o chłodzie za oknem.

– Śmierć nastąpiła w wyniku strzału z osobistej broni służbowej nadinspektora Markowskiego, to jest ze znalezionego na miejscu zdarzenia rewolweru Gward, kaliber trzydzieści osiem Special, seria broni FB numer siedemnaście sto siedemdziesiąt cztery, rok produkcji: tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty. – Poll przerywa, unosi zdziwiony wzrok w kierunku ministra.

– Dalej.

Policjant patrzy na ministra. Ten zaś zachęcająco kiwa głową. Niedowierzanie ustępuje temu czemuś, co nazywamy brakiem wyboru. Gliniarz zaczyna rozumieć, że to może być jego ostatnia szansa.

– W bębenku wyżej wymienionej broni stwierdzono brak jednej sztuki amunicji. Na broni oraz amunicji znaleziono wyłącznie odciski palców denata.

– Czy pan rozumie?

– Rozumiem – odpowiada uprzejmie policjant. – Ale mamy tutaj, panie ministrze, niekonsekwencję – dodaje ze świadomością, że największym niebezpieczeństwem w karierze mogą być nieodpowiedzialne wybory. – Na dachu samochodu znaleziono łuskę. Technicy ją sfotografowali. To nie przejdzie.

– Dobrze, że pan o tym wspomina. Pańscy ludzie nie dopełnili obowiązków.

– Co?

– Niech pan siada, do cholery! Zresztą nie tylko oni, bo także pan nie wywiązał się z tego, co do pana należy.

– Tak jest!

– Pańskie uchybienia wyjaśnimy w drodze postępowania dyscyplinarnego. Znajdziemy powód braku odpowiedniego nadzoru nad pana policjantami. Biuro Spraw Wewnętrznych rozpoczęło śledztwo.

– Co pan sugeruje?

– Proszę się uspokoić i słuchać. Na zdjęciach z oględzin widać przedmiot na dachu samochodu. To prawdopodobnie łuska, ale nie została włączona do materiału dowodowego. To będzie przedmiotem postępowania.

– Rozumiem.

– Byłem zdania, że sprawę powinno przejąć Centralne Biuro Śledcze – wyjaśnia minister. – Niestety, nie udało mi się obronić swojego stanowiska.

– Ach tak.

– Ze zgromadzonego przez was, a następnie przez ABW, materiału nie wynika, że przedmiot na zdjęciach przypominający łuskę nią jest. Czy pan to rozumie? – dodaje z nieznacznym uśmiechem minister.

– Tak.

– Dobrze. W tym świetle stwierdzono to, co pan był łaskaw odczytać.

– Rozumiem, przyjąłem – odpowiada służalczo Poll.

– Doskonale. Opinia publiczna zostanie poinformowana. Oczywiście jedynie w części przeznaczonej dla niej. Jestem zdania, że spełniał pan powierzony przez naród obowiązek

najlepiej, jak pan potrafi. Dlatego też postępowanie zostanie zamknięte i nie wykaże uchybień.

– Rozumiem.

– Ale pańscy ludzie – minister rozkłada ręce – sam pan rozumie, prawda?

– Tak jest.

– Zakończymy tę sprawę pomyślnie. Proszę pamiętać, że będę musiał powołać nowego komendanta głównego.

– Oczywiście.

Po wyjściu policjanta minister naciska pomarańczowy przycisk telefonu i łączy się z sekretariatem.

– Dla nikogo mnie nie ma – informuje asystenta. – Proszę nie przeszkadzać – mówi, po czym podchodzi do obrazu *Gęsiarka*.

Pod obrazem Antoniego Gramatyki zręcznie zamaskowano sejf o dziesiątej klasie odporności na włamania. Minister wpisuje sześciocyfrowy kod. Alarm łączący sejf z komórką Biura Ochrony Rządu zostaje dezaktywowany. To na wypadek fizycznego lub elektronicznego przełamania zabezpieczenia i otwarcia sejfu, jak wyjaśnił Antonowiczowi wprowadzający go tutaj porucznik. Teraz pozostaje kluczykiem otworzyć calowej grubości drzwiczki ze stali, pod którymi w specjalną klawiaturę dotykową należy wpisać kod. Ekran uaktywnia się dopiero po włożeniu i przekręceniu w prawo, a następnie w lewo kluczyka HSL.

Po kilkunastu sekundach Antonowicz wyjmuje czarną cienkościenną walizkę z tytanu zabezpieczoną sześciocyfrowym szyfrem. Walizka jest pełna najtajniejszych w kraju dokumentów.

9

Hanys wyciąga się na skrzypiącym krześle przed kineskopowym monitorem i splata dłonie na karku. Siedzi przed chłopakiem z miasta. To jeden z pomniejszych gangsterów, ale mający kontakty z poważnym półświatkiem. Z boku usadowił się aspirant Radosław Ryży. Ich twarze są zmęczone, szare, zupełnie inne niż przesłuchiwanego, który ostentacyjnie żuje gumę.

– Nie będę gadał z tobą, człowieku! – słyszą. – Nienawidzę was i tak zostałem wychowany. Ten, kto z wami trzyma, jest na ulicy zawsze przegrany. Wyciągacie mnie, kurwa, na środku miasta z samochodu! Bez nakazu, bez słowa, przy rodzinie. Co wy sobie myślicie? Możecie się, kurwa, żegnać z robotą.

– Słuchaj uważnie, ciulu jeden, bo daję ci szansę. Jesteś gotowy?

– No?

– Nie no, tylko „tak, panie władzo”! Ewentualnie „proszę pana”, jak już taką odrazę do nas czujesz.

– Taką mamy tradycję, żeby jebać policję!

– Zamknij się, skurwysynu. – Dźwięk dłoni uderzającej w policzek ucina hip-hopowe rymowanki. – Słyszysz? – Sekundę później pada następne uderzenie.

Widok zdziwionej twarzy uderzonego jest bezcenny, ale strachu także. To nie Ślązak uderzał. „Służbowy liść” jest sprawką aspiranta Radosława Ryżego.

– Jebać możesz swoją starą, gnoju – mówi Ruda. – Z nami grzecznie.

Zupełnie inne niż przed sekundą, przestraszone spojrzenie rzucone na dłoń Hanysa, wielkości łopaty do węgla, wystarczy, by natychmiast wykluczyć pomysły o stawianie się policjantowi, który przypomina niedźwiedzia.

– Chyba ty.

– Nie pyskuj! – Głowa gangstera odskakuje jak gruszka na siłowni.

– Znalazłem w twojej kielni worek z białym. – Ruda chwyta przesłuchiwanego za włosy i szepcze do ucha: – I to jest podstawa naszej rozmowy. Kumasz już czy inaczej mam ci to wyjaśnić?

– To nie moje!

– Dziwne.

– Ruda! Powiedziałem: dość!

– Dobra. – Ruda podnosi ręce i wraca na krzesło. – Rób swoje.

– Posłuchaj, szmaciarzu. – Ton Hanysa jest ochrypły, niski. – Gówno mnie obchodzi, czyje to, durniu. Będziesz pyszczył, to cię zawinę. Potem zważę ten gówniany proszek, a ten, co ci przyjebał – wskazuje Rudą – skrobnie protokół. Pijąc herbatkę, poczekamy na proroka. On cię pięknie obrobi. I będziesz miał w papierach nasrane tyle, żebyś był dobrze rozpoznawalny. Rozumiesz?

– No i?

– Dostaniesz zawiasy. W najlepszym razie. I będziesz jebał, tak, owszem, ale biedę. Bo kuroniówkę dostaniesz rok, a potem będziesz żył z zasiłku. Z wyrokiem nigdzie roboty nie znajdziesz. Nawet jako cieć na budowie, ciulu jeden.

– Chyba ty! Skargę na was napiszę.

– Zamknij się, bo nie skończyłem! Skargi możesz pisać. Pisz, najlepiej do konia na Służewcu. Wystarczy mój telefon, rozumiesz? Jeden, kurwa. Ty będziesz siedział na dołku, a ja wjadę ci na chatę, bo mam nosa, że chowasz tam więcej takich woreczków.

– Nic nie znajdziesz. Nie będziesz miał dowodów.

– Ich zbieranie straciło dla mnie sens, kiedy ty srałeś w pieluchy. Psem jestem, a nie policjantem. Jak chcę kogoś wsadzić, to wsadzam. Dowody znajdują się same.

– Nie możesz tak.

– Widzę, że od machania hantlami oleju ci we łbie ubyło i nie łapiesz szybko. Jak będę chciał znaleźć, to znajdę. – Głos Hanysa jest stanowczy, chrapliwy. – I znajdę tyle, że wystarczy, aby ci dupsko pękło pod celą na Białołęce.

– Co, podrzucisz mi?

– Powiedziałem, że znajdę. Moja sprawa jak.

– A w dupie cię mam.

– Chciałbyś, ale musisz poczekać. Nie jestem łatwy i bez gry wstępnej nie daję. I nie skończyłem. Oprócz ciebie wjadę na chatę do Aksamita. Do Moca i Stefańskich również. I nawet jak tam nic nie znajdę, to powiem, że ich sypnąłeś. Więc tak czy owak jesteś w głębokiej, czarnej jak u amerykańskiego prezydenta, dupie.

– Wal się.

– Zastrzelono komendanta głównego. Wyobraź sobie, że facet rozpracowywał bandę zajmującą się prochami na mieście. Pomyślałem, że wiesz coś o tym.

– Do czego pijesz?

– Do niczego. – Hanys wzrusza ramionami. – Grzecznie ci tylko mówię, że mam na ten temat kilka pomysłów. I jeden z nich jest taki, że kropnął go ktoś z twojej bandy, żeby bronić swoich interesów.

– Facet! Nie bądź śmieszny – odpowiada lekceważąco diler. – Nie będę z wami gadał. Po pierwsze, mam was gdzieś. Po drugie, chcesz gadać, to dzwoń do mojego adwokata. Po trzecie… – diler śmieje się w twarz policjantom. – …żeby mnie wsadzić, frajerze, musisz mieć dowody. Nawet jak mnie

zamkniesz, to za parę godzin i tak wypuścisz. Może mam coś za uszami, ale nie zajmuję się ubojami. To nie moja półka.

Policjanci wpatrują się w aresztanta. Ten po kilkunastu sekundach nie może znieść ich wzroku. Nagle otwierają się drzwi. Wchodzi elegancko ubrany, starannie ogolony, drobny mężczyzna. Jest opalony i ma czarne kręcone włosy.

– Pan posłucha. – Celuje w przesłuchiwanego piórem.

– Tak?

– Zatrzymujemy pana na czterdzieści osiem godzin. Jutro przyjedzie prokurator. Przedstawi panu zarzut z artykułu sześćdziesiątego drugiego ustęp jeden ustawy o przeciwdziałaniu narkomanii. Czyli posiadanie środków odurzających.

– Ale ja nic nie miałem! – wykrzykuje przesłuchiwany. – Co jest?

– Zamknij się! – Ruda wstaje z krzesła.

– Daj mu spokój. – Hanys podnosi rękę. – Wystarczy. Robimy, jak w książce jest napisane.

– Oprócz tego – dodaje człowieczek z piórem – zarzut z artykułu pięćdziesiątego dziewiątego tej samej ustawy. Czyli nielegalny obrót środkami odurzającymi lub substancjami psychotropowymi. Radzę zadbać o adwokata. Mamy tu dwa przestępstwa, za taki czyn grozi panu kara pozbawienia wolności od roku do lat dziesięciu. Istnieje również uzasadnione podejrzenie, że ma pan związek ze śmiercią Markowskiego.

– Co?

– Uważam, że będzie pan nakłaniał do składania fałszywych zeznań lub wyjaśnień inne zamieszane w tę sprawę osoby albo w inny bezprawny sposób utrudniał postępowanie. Podejrzenie o podżeganie do zabójstwa jest czynem…

– Co?

– …jest czynem zagrożonym karą do dożywocia włącznie. Grożąca panu kara wymusza potrzebę zastosowania aresztu celem zabezpieczenia toku postępowania.

– Słucham? – Gangster zdaje się nie wierzyć. – To jakieś nieporozumienie!

– Panowie, z mojej strony to wszystko – dodaje elegancik i zamyka drzwi.

Nowy patrzy szeroko otwartymi oczyma przez lustro weneckie. Hanys czeka na dalszy ciąg. Prawie nie widać jego przymkniętych oczu. Do pomieszczenia, w którym Nowy przygląda się przesłuchaniu, wchodzi człowieczek z piórem. To Karlos, piąty policjant wydziału.

– Dobra, dobra – odpowiada tymczasem przesłuchiwany. – Możemy pójść na układ, ale…

– Zamknij się, do kurwy nędzy! – Głos Hanysa jest jeszcze niższy. – Dał ci ktoś głos? Jak powiem, że możesz mówić, to będziesz mógł. Na razie ja mówię. I żaden układ, kurwa. Rozumiesz?

– Tak.

– Posłuchaj, gnojku – wtrąca się Ruda. – Nie jestem od tego, żeby z takim gnojem jak ty negocjować. Jak mnie wkurwisz wystarczająco, to cię zastrzelę. Po prostu odjebię cię i tyle. Wiesz, co to kontratyp obrony koniecznej? Raport napiszę, że nóż miałeś i wszystko. I co mi, kurwa, zrobisz? Skargi będziesz w trumnie pisał?

Znów zapada kilkusekundowa cisza. Słychać tylko oddechy. Szparki w oczach Hanysa stają się jeszcze węższe, a oczy przesłuchiwanego jeszcze szerzej otwarte.

– Ruda! Zostaw nas.

Drzwi zamykają się za impulsywnym policjantem. Hanys przysuwa się do przesłuchiwanego. Nachyla się nad jego uchem.

– Nic ci dzisiaj nie zrobię – szepcze – ale ty zrobisz coś dla mnie.

– Tak?

– Zamknij się! Ja mówię. Odpowiadaj kiwnięciem pustym łbem, tłuku. Rozumiesz?

Osiłek kiwa głową.

– Dowiesz się czegoś, a potem nam tę informację przekażesz, tak?

Osiłek kiwa głową.

– Konkretnie przekażesz ją mnie. Rozumiesz?

Osiłek kiwa głową.

– Dobrze. Od tej chwili współpracujesz z nami albo idziesz siedzieć. Dyskretnie dowiesz się wszystkiego na temat zejścia komendanta. Zdasz mi relację. Co się na ten temat mówi na mieście, komu szkodził, kto go kropnął. – Hanys ścisza głos. – Słowem: wszystko.

– Ale jak? Przecież nie mogę pójść do was…

– Srak! – wybucha Hanys. – Tym się nie martw. Znajdę cię.

– Ale…

– Zamknij się, powiedziałem! Wyświadczysz nam tę przysługę albo zrobię z twoim interesem porządek. I nie tylko ja. Rozumiesz?

Osiłek kiwa głową.

– Burdele, dziwki, prochy, samochody, koniec z tym. Na nic nie będziemy przymykać oka. Uprzykrzymy ci życie, rozumiesz?

Osiłek kiwa głową.

– Dowiedz się wszystkiego na temat wypadku z komendantem albo czeka cię piekło. Powiesz mi, co chcę wiedzieć, to ci odpuszczę. Masz miesiąc. Jeśli nie zechcesz strzelać z ucha dla mnie, zrobimy piekło nie tylko tobie, ale w całej

branży. Będzie na mieście wojna totalna. Każdy glina uprzykrzy wam wszystkim życie, rozumiesz?

– Tak.

– Dobrze. Tylko nie rób mnie w chuja. Nie marnuj czasu. Nie potrzebuję wiedzieć pierdół, bo sam to mogę ustalić. Dowiedz się konkretów. Popytaj kolegów, szczególnie mądrzejszych.

– Jak się dowiedzą, to po mnie.

– To rób tak, żeby się nikt nie zorientował. Ostrożnie – radzi Hanys. – My farby nie puścimy.

– Jaką mam na to gwarancję?

– Taką, że możesz nam się jeszcze przydać. A twoje interesiki to pryszcz na dupie Rzeczypospolitej w porównaniu z odjebaniem pierwszego gliny w kraju. Rozumiesz już?

– Co z tego będę miał?

– Po pierwsze, twój odbyt nie zazna chuja. W każdym razie nie w anclu. Po drugie, dopóki będziesz podawał mi piłkę, nikt nie ruszy twojego interesiku. Chyba że odjebiesz nielegalny ubój albo jakąś grubszą aferę.

Osiłek kiwa głową.

– Chcę tylko wiedzieć, kto go zabił i za co. Co to za gość, jak się nazywa, czym się zajmuje. Wszystko! Postaraj się. Czy dokładnie zrozumiałeś moje słowa? – Hans kładzie akcent na słowo „dokładnie".

– Tak.

– No to spierdalaj.

– No, ale…

– Spierdalaj, powiedziałem! Już!

Gangster zbiega po schodach komendy. Nie oglądając się, wychodzi. Na ulicy oddala się szybkim krokiem. Rozgląda się, czy nikt go nie widział. Za rogiem wypuszcza głośno powietrze z płuc. Słysząc dzwonek telefonu, ociera pot z czoła.

– Halo?

– Lepiej zapisz ten numer, gnojku.

Przestępca drżącymi dłońmi zapisuje numer Hanysa. Ten zaś uśmiecha się i kładzie przed Nowym dyktafon z nagraniem przesłuchania. Wprawdzie to, co widział, nie miało wiele wspólnego z przesłuchaniem, ale Hanys uznał, że się przyda. Sprawie i Nowemu.

– Co to było?

– Potrzebujesz osobowych źródeł informacji. Właśnie zobaczyłeś jeden ze sposobów na ich pozyskanie.

– Po coś to nagrywał? Worka z siebie robisz? Bo nie kumam. A może dzieje się tu coś, o czym nie wiem?

Hanys spogląda na Nowego. Chłopak ma rację. Nagrywaniem, obserwacją, podsłuchami zajmuje się Wydział Obserwacyjno-Rozpoznawczy, w skrócie WOR. Policjanci Wydziału do walki z Przestępczością Przeciwko Życiu i Zdrowiu mają inne zadania.

– Idziesz na rozmowę z ucholem – rozpoczyna westchnieniem Hanys – to nagrywasz.

– Po co?

– Bo może figurant powie coś ciekawego.

– Ale i tak gadałeś z nim! Wiesz, co powiedział. I nie możesz procesowo wykorzystać nagrania.

– Nie mogę, ale przy strzelaniu z ucha może się coś wymsknąć. Ja też nie wszystko zapamiętam. Zgrywam i zawsze mogę do tego wrócić. Za jakiś czas to może być przydatne.

– Kurwa, ale tak, tak… – Nowemu brakuje słów. – Nie można tak, kurwa mać! Za ten cyrk, który tu odstawiliście, można wylecieć z roboty! Ty zastraszasz obywatela, Ruda go bije, a Karlos jakąś szopkę odpierdala!

– Tak to wygląda – odpowiada Hanys. – Staraj się nagrywać jak najwięcej.

– Po cholerę dawać prorokowi hak na siebie? Żeby mógł ci się dobrać do dupy?

– Wyjebane mam na to. Pięć dni mogę każdego podsłuchiwać, a nagrywać do woli. Potem materiały muszę zniszczyć.

– I co? Może zniszczysz to nagranie?

– Zniszczę niezwłocznie, jak zajdzie potrzeba.

– Hanys, przecież to jest nielegalne!

– No i co? Podjebiesz mnie?

– No nie! Pojebało cię?

– No, jak nie? Przecież uzyskałeś wiedzę o przestępstwie. – Hanys patrzy w twarz Nowemu. – Twoim obowiązkiem prawnym, służbowym oraz moralnym jest jego ujawnienie. Jeśli tego nie zrobisz, nie dopełniasz obowiązków.

– Hanys, daj spokój, przecież jesteśmy kumplami.

– Coś ci powiem, śpiku jeden. Dla mnie nie istnieją pojęcia „legalne" i „nielegalne". Nie ma niczego takiego jak prawo. Działamy na jego granicy i trudno wyczuć, po której jest się stronie. Zostaje tylko robota. Trzeba ją odjebać i nie można się pomylić. A wiesz czemu?

– Nie.

– Bo giną ludzie. Masz tyle służby co oranżada gwarancji, możesz nie wiedzieć. Dlatego zapamiętaj, co ja, stary chuj, ci mówię. Gadasz z ucholem – nagrywasz. Gadasz ze świadkiem – nagrywasz. Gadasz z prorokiem – nagrywasz, z komendantem – nagrywasz, z naczelnikiem naszego wydziału – nagrywasz. Z kimkolwiek, kurwa, gadasz, wszystko nagrywasz. To policja, tutaj nie ma znaczenia, czy to jest legalne czy nie, rozumiesz?

– Tak.

– Chuja – mówi, wyjmując z kieszeni pluskwę. – Ale zaraz zrozumiesz. – I ku zdziwieniu Nowego podłącza dyktafon do

komputera. Przesuwa kursor na linii czasu, podkręca potencjometr podróbek i wlepiając spojrzenie w Nowego, podaje słuchawki.

– „Hanys, daj spokój. Przecież jesteśmy kumplami".

– Hanys, po co ci to?

– To paszport do świata prawdziwych glin. Nic z tym nie zrobisz, będziesz sprawcą przestępstwa. Jeśli jesteś gnidą, mamy na ciebie haka.

– Do dupy z taką robotą. – Nowy odkłada słuchawki. – Na dzielnicy mogłem zostać.

– Mogłeś, ale zamarzyło ci się być kryminalnym, to jesteś. Nie wiem, skąd się wziąłeś, ale pewnie masz plecy.

– Oszalałeś?

– W dupie to mam. Nie wierzę, że nikt cię nie pchnął. Jak zechcesz, to powiesz, przy wódce. Jak nie chcesz, twoja sprawa. A na razie…

– …nie lubisz mnie?

– Nie lubię i ci nie ufam. Nie miej mi tego za złe. Taki jestem. Siebie też nie lubię i też sobie nie ufam. Ty jesteś nowy, nie znam cię. Pokażesz się z dobrej strony, to będziesz git. A na razie weź się do roboty. – Policjant klepie Nowego w plecy. – Patrz, słuchaj, a wiele się możesz nauczyć. Już wiesz, jak wygląda twój gość. – Hanys wskazuje pokój za lustrem. – Moją, Rudej i Karlosa mordę już zna. Twojej nie. Pochodzisz za nim. Zobaczymy, gdzie pójdzie.

10

Emil obrzuca wzrokiem budynek. Wykwit twórczości socjalistycznej rzeczywistości. Piętrowa kostka z płaskim dachem z papy i garażem w piwnicy. Z zapuszczonym ogrodem przypomina byłemu glinie dziuplę złodziei samochodowych.

Trudno uwierzyć, że mieszka tutaj ktoś taki jak dziewczyna za kierownicą.

– Jesteśmy na miejscu – mówi. – To tutaj.

– Jedź dalej.

– Co?

– Rób, co mówię. Jedź.

Andżela redukuje bieg i dodaje gazu. Mini cooper przyśpiesza w strugach deszczu. Emil tymczasem wpatruje się w lusterko.

– To twoja meta?

– Mieszkam tam.

– Jesteś zameldowana?

– Tak.

– Samochód przerejestrowałaś?

– Tak.

– Aha – mówi Emil.

– Co aha?

– Masz jedno czy dwa wejścia?

– Dwa.

– Drugie jest od ogrodu?

– Chcesz mi go skopać?

– Nie chcę, żeby skopał go ktoś inny. Zauważyłaś ten wóz za nami?

– Czarna beemka?

– Zatrzymasz się na mój znak. Wysiądę. Potem zawrócisz. Trzysta metrów od domu masz Biedronkę, prawda?

– No i?

– Zaparkuj najbliżej wyjścia. Weź parasolkę, schowaj ją pod kurtkę. Wbiegnij do sklepu. W środku otwórz parasol i wyjdź. Idź do domu. Spokojnie, wolno. Odwiedzę cię. Masz kawę?

– Mam.

– A mleko?

– Też.

– Nie bierz moich rzeczy. – Mężczyzna rzuca kurtkę na papierowy worek.

– Jasne, ale pozwól, że – dziewczyna skręca gwałtownie – akurat to zrobimy po mojemu.

Samochód na bruku wpada w poślizg. Zaskakuje to kierowcę śledzącego ich samochodu, ale nie ją. To kontrolowany manewr. Andżelika dodaje gazu. Wpada w wąską uliczkę, łamiąc zakaz wjazdu. Błyskawicznie redukuje bieg.

– Trzymaj się – mówi, wdeptując gaz. – Trochę zaszalejemy.

Jednokierunkowa ulica jest pusta. Samochód rwie do przodu. Kierowca BMW nie nadąża z reakcją. Klnie pod nosem. Jego samochód wyrywa z rykiem. Skręca w następną uliczkę. Hamuje przed skrzyżowaniem. Tymczasem wskazówka prędkościomierza w mini przesuwa się w prawo.

– Nie ma go.

– Zatrzymaj się, spacer dobrze mi zrobi. Ostatnio miałem mało ruchu.

– Uważaj na siebie.

– Uwielbiam spacery. – Emil zakłada kaptur. – Szczególnie kiedy dopisuje pogoda.

– Skąd wiesz, że mam parasol?

Mężczyzna znika w deszczu. Andżelika zerka w lusterko, ale nikogo nie widzi. Odwraca się, lecz za samochodem nie ma nikogo. Jak to możliwe? – myśli zdumiona. – Przecież nie mógł się rozpłynąć. W głowie wciąż słyszy krótkie, urywane słowa: „weź parasolkę", „zaparkuj najbliżej wyjścia", „odwiedzę cię". Chwilę potem przypomina sobie ten wieczór, kiedy pierwszy raz o nim usłyszała. Sekundę później dostrze-

ga wysuwające się zza rogu wąskie światła i długą, płaską maskę samochodu z biało-niebieskim logo.

11

W pierwszą noc po świętach Mreges nie może spać. Samotność chwyciła go w szpony. Za oknem leje. Przebudzona z zimowego snu mucha spaceruje po ekranie. Telewizor miga kolorowymi obrazami. Franz zamiast fonii wybiera piwo. Leżąc na kanapie, wpatruje się tępo przed siebie. Myśli o niej. Nagle uwagę policjanta zwraca pasek z wiadomościami na dole ekranu.

– Dotarliśmy do informacji – płynie z głośników, kiedy włącza głos – że policja wyklucza zabójstwo. Przyczyną śmierci komendanta głównego policji – mówi dziennikarz – było najprawdopodobniej samobójstwo.

– Uhm – mruczy Franz. – Jak chuj!

– Oddajemy głos rzecznikowi prasowemu.

Franz marszczy brwi. W wiadomościach pojawia się gładka twarz świetnie wyglądającego i wzbudzającego zaufanie policjanta w cienkich, drucianych okularach i o inteligentnym spojrzeniu. Rzecznik przechyla głowę, sygnalizując zainteresowanie.

– Ciekawe, co też nam nasz podpułkownik powie?

Rzecznik, w idealnie leżącym niebieskim mundurze, z naramiennikami młodszego inspektora, na tle logo policji, wygląda przekonująco. Franz podnosi butelkę do ust i zatrzymuje w pół drogi.

– Przez ostatnie dni policjanci pracowali intensywnie. Czynności, jakie przeprowadziliśmy, pozwoliły nam ustalić dokładny przebieg ostatnich godzin życia nadinspektora Markowskiego.

– Znamy przyczynę śmierci?

– Udało się ją określić.

– Co to było?

– Nadinspektor Markowski zginął od rany postrzałowej głowy.

– Wiadomość roku – mówi do telewizora Franz. – Przecież faceta z rozerwaną czaszką nawet pierwszoklasista odróżni od wisielca.

– Czy było to zabójstwo?

– Wykluczyliśmy zabójstwo jako przyczynę śmierci.

Franz odkłada butelkę. Sięga po pilota i podkręca głośność.

– Czy komendant się zastrzelił?

– Wszystko wskazuje, że zginął w nieszczęśliwym wypadku.

– W wypadku – powtarza. – Tego akurat się nie spodziewałem. Dobry jesteś – wyraża uznanie dla rzecznika, podnosząc butelkę. – Świetna legenda. I nawet ci przy tym brewka nie drgnie.

– Prasa spekuluje, że generał popełnił samobójstwo.

– Wykluczyliśmy to – odpowiada mężczyzna na ekranie. – Pan generał nie miał kłopotów, miał awansować. Nic nie wskazuje, że mógłby targnąć się na życie. Niemniej jednak, żeby wykluczyć jakąkolwiek stronniczość, okoliczności śmierci komendanta będzie dalej wyjaśniać Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Franz krztusi się piwem.

12

Nie znał rodziców. Prawdopodobnie zginęli w wypadku albo wyeliminowała ich władza. Stało się to jednak tak dawno, że w jego pamięci nie zostały żadne wspomnienia. Wychowywano go w sierocińcu w Murmańsku, gdzie skończył szkołę podstawową. W odróżnieniu od oświaty PRL, w Związku

Radzieckim podstawówkę podzielono na dwa etapy. Pierwszy trwał cztery lata. To wtedy, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, zdecydowano, że Iwan nie zostanie oficerem politycznym floty okrętów podwodnych, jak zakładano. Stało się tak ze względu na wzrost. Już jako dwunastoletni chłopak był za wysoki na podwodniaka.

W opinii kończącej szkołę zwrócono uwagę, że jest sprawny fizycznie, inteligentny i zamknięty, skryty, utrzymujący ludzi na dystans. Nie spoufala się z opiekunami. Jedyne kłopoty, jakie sprawiał, wynikały z faktu, że konflikty w szkole i sierocińcu rozwiązywał w szybki i brutalny sposób. Jego akta zawierały konkretne dane. Daty, powody, opisy zdarzeń i efekty: trzykrotne złamania ręki kolegom, złamanie obojczyka innemu, w sumie wybicie czterech zębów. Połamane żebra starszym chłopakom na zajęciach wychowania fizycznego, gdzie z sukcesami trenował pięściarstwo. Dwa medale, kilkanaście drugich miejsc. Jedno trzecie. To oraz fakt, że młody Iwan wykazywał ponadprzeciętne zdolności w dziedzinie języków obcych – szczególnie polskiego i niemieckiego – zadecydowało o jego przyszłości.

– Łączcie z towarzyszem pułkownikiem – powie pewnego dnia do telefonu szef XIII Departamentu w biurze nieopodal moskiewskiej obwodnicy.

Nikita Kuziczkin, spoglądając na malownicze wzgórza pokryte brzozowymi lasami, przez chwilę poczeka na połączenie z szefem Zarządu „S” – I Zarządu Głównego KGB, Marko Andopowiczewskim.

– Tak?

– Towarzyszu pułkowniku, przejrzałem teczki, wybrałem spełniających warunki – powie Kuziczkin. – Przeprowadziłem selekcję. Mamy odpowiedniego kandydata.

– Świetnie, przyślijcie mi jego teczkę.

– Tak jest!

Iwan właśnie przeszedł testy psychologiczne. W kosmodromie w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej, znanym bardziej jako Bajkonur, gruntownie go zbadano. Wykluczono jakąkolwiek chorobę wrodzoną czy najmniejszy choćby uszczerbek na zdrowiu. Iwan ma doskonały wzrok, żadnych złamań, prosty kręgosłup, wysokie wyniki testów wytrzymałościowych, dobry refleks i ponadprzeciętny iloraz inteligencji. I mieści się w charakterystyce zapotrzebowania.

– Wspaniale – mruknie Andopowiczewski, odkładając dossier Iwana. – Takiego było nam trzeba.

Kilka dni później zatwierdzi decyzję. Iwan zostanie skierowany do odpowiedniej rodziny zastępczej.

13

Pod parasolką dopada Andżelikę wspomnienie tamtego wieczoru. Siedzą na podłodze, piją wino z pękatych kieliszków. Mieszkanie oświetlają świece. W tle płyną nuty fortepianu, w którego klawisze uderza Ludovico Einaudi.

– Gratuluję pani – Andżela z błyszczącym wzrokiem unosi kieliszek – awansu.

– Awansu na piątą grupę zaszeregowania.

– Ku chwale ojczyzny!

– A w najbliższej perspektywie także na stopień aspiranta i możliwości dalszej kariery. – Letka stuka kieliszkiem w kieliszek Andżeliki. – A to oznacza pierwszą przekreśloną gwiazdkę. Może trafię do Szczytna?

– Jeszcze raz ci gratuluję.

– Dziękuję, kochanie.

Koniec z zapyziałym laboratorium kryminalistycznym komendy wojewódzkiej. Właśnie dostała rozkaz przeniesienia do Wydziału Kryminalnego.

– Mam coś dla ciebie – mówi Letka, przesuwając prezent. – Rozpakuj.

– Co to?

– Rozpakuj.

– Nie powiesz?

Pudełko jest długie i wąskie, starannie zapakowane. Rozerwawszy wstążeczkę i ozdobny papier, Andżelika wyjmuje piękny, trójkolorowy, rzecz jasna czerwono-żółto-zielony, parasol.

– Dziękuję.

– Podoba ci się?

– Będę go zawsze woziła w aucie. – Andżela dotyka dłonią policzka Letki.

Dziewczyny muskają się ustami. Cienie świec migoczą na ścianach.

– Opowiedz o nim.

– Och, wyjątkowy gość – zaczyna z wypiekami na twarzy Letka. – Niesamowity. Wdowiec od ośmiu lat. Prawie nikt go w fabryce nie lubi.

– Dlaczego?

– Czy ja wiem? – wzrusza ramionami. – Jest trochę dziwny…

– To znaczy?

– Wiesz, nie trzyma z nikim. Nie ma układów. A w fabryce bez układów ciężko. Ha! – Letka coś sobie przypomina. – Wiesz, co mi odpowiedział, jak go zapytałam o kolegów?

– No?

– W policji nie ma przyjaźni. Jeśli chcesz mieć w tej firmie przyjaciela, to pisz raport i bądź przewodnikiem psa. Bo przyjaciel u nas to wróg, który jeszcze się nie ujawnił.

– Osobliwe.

– Takie jak on. Nieufny, ostrożny, jakby żył obok. Facet jak duch.

– To znaczy?

– Jest, jest, jakby… – szuka słowa dziewczyna. – Jest absolutnie szary. Wiesz, jeden z tych, jakich mijasz każdego dnia na ulicy. Rozumiesz?

– Nie.

– Wydaje się bez znaczenia. Taki, co go trącisz gdzieś w pośpiechu, przez przypadek i nic nie powiesz. Potem tego nie pamiętasz i nie wiesz, czy się to zdarzyło.

– Jakby nie istniał?

– Właśnie. – Letka klaszcze w dłonie. – Dokładnie tak! Taki, że nawet gdyby krzyknął do ciebie, że mogłabyś przeprosić, nie zapamiętałabyś jego twarzy.

– Niezwykłe.

– Ani razu nie zauważyłam, jak wchodzi do laboratorium. Robisz coś, jesteś czymś zajęta i nagle on się pojawia. Czujesz papierosy, obracasz się i widzisz, że on sobie siedzi, patrzy i pyka tego swojego peta.

– To w ogóle możliwe?

– Możliwe? Kochana, kogokolwiek w fabryce byś zapytała, czy widział dzisiaj Emila, to zaraz każdy chwilę się zastanawia. Kiedyś zastanawiałam się, czy on nie zniknął na dobre – uśmiecha się dziewczyna – a świat jeszcze o tym nic nie wie.

– Niebywałe.

– Wyobraź sobie, jak mu to ułatwia robotę. Przecież jest niedostrzegalny. Gdziekolwiek by się pojawił, nikt nie zwra-

ca na niego uwagi. Przychodzi, przygląda się, zapyta o coś, a potem znika. Aż do czasu, kiedy odkrywa prawdę.

– Dziwne.

– Tak, dziwne. Tym bardziej że ludzie z fabryki niewiele o nim wiedzą. Mówi się, że jest alkoholikiem, ale nie wiem, czy to prawda. Nigdy nie czułam od niego alkoholu. Zresztą, czy on jeden u nas chleje? Po tym, co go spotkało, nie było mu łatwo.

– To znaczy?

– Nie mówiłam ci?

– Nie.

– Stracił żonę i córkę w wypadku. Zabił je kierowca ciężarówki. Chyba pijany.

– Smutne. – Andżelika przełyka wino. – Zastanawiałaś się, dlaczego cię wybrał?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

Wspomnienie ustępuje rzeczywistości, kiedy Andżela wkłada klucz do zamka. Przekręca i z cichym zgrzytnięciem mechanizmu dociera do niej, że tysiąc osiemset dni to nie cztery lata, ale niemal pięć.

14

Hanysa dopada rachunek sumienia. Dla takiego gliny jak on najgorsze są noce. Chciałby porozmawiać ze sobą. Wykaszleć to, co złego zrobiło się złym ludziom, aby nie zalegało w podświadomości, w głowie, na wątrobie czy w sercu, ale nie może. Za dnia krzyczy rozum, noc jest dla psiego serca.

– Co się dzieje?

– Nynać nie moga. – Dobrze wie, że żona dawno przestała się nim przejmować. – Nie troskej się.

Gdyby miał wybrać raz jeszcze: policja czy życie prywatne, wybrałby to drugie. A tak służba wybrała za niego. I zruj-

nowała mu małżeństwo. Nic nie ma w życiu za darmo i tę prawdę znają nie tylko kurwy, ale także złodzieje i policjanci. Zło wnika w świadomość. Jeśli raz spojrzysz w otchłań, stajesz się nią.

– Hanys? – Myśli przerywa telefon. – Budź się.

– Co jest?

– Ojczyzna cię wzywa!

– Robota jest? – Hanys podnosi się z łóżka.

Nikt nie lubi takich niespodzianek. Za kilka godzin będzie jasno i wszystko pryśnie. W ciemności widać i słychać najwięcej. W blasku latarni za oknem można dostrzec mżawkę.

– Nie.

– Jest za pięć czwarta! Dzwonisz, żeby pogadać?

– Nie budziłbym cię bez potrzeby.

– Nie spałem – odpowiada Hanys, spoglądając na ciało kobiety pod pościelą.

Policjant wie, że ona najpierw znienawidziła nocne telefony, potem się do nich przyzwyczaiła. Teraz są jej obojętne.

– Co się dzieje?

– Nie spałeś? O tej porze?

– Jakoś tak wyszło. Sam wiesz – odpowiada niechętnie Hanys. – Pić nie można, spania nie ma, myśli męczą. Lepszy jesteś?

Kobieta unosi się na łokciach i mruży oczy. Jej mina wskazuje, że jeszcze kilka zdań, a zaczną się kłócić. Hanysowi to niepotrzebne, wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Dobrze, że dzwonisz. Myślałem, żeby przyjechać, poprzeglądać papiery.

– Nie ma czego przeglądać.

– Co?

– To, co słyszałeś.

– A możesz jaśniej?

– Jak masz problem z uszami, to idź do laryngologa. Abwera położyła łapę na sprawę Markowskiego.

W słuchawce zapada cisza. Hanys doskonale ją zna. Doświadczenie podpowiada mu, że nie wróży ona niczego dobrego.

– Jaja sobie robisz? – Hanys kręci głową z dezaprobatą.

– Jutro sylwester, a nie pierwszy kwietnia. Podali to do publicznej wiadomości.

– Nie rozśmieszaj mnie.

– Według legendy stary sobie sam w łeb kropnął.

– Lepszy samobój niż nielegalny ubój.

– To wypadek z bronią.

Znów zapada cisza. Jest to jedna z chwil, kiedy okazuje się, że w powietrzu wisi coś, co pęknie. Hanys myśli nad słowami kolegi. Uświadamia sobie, że to wszystko źle wygląda. Spodziewał się tego, odkąd dotarła do niego informacja, z kim spotykał się generał.

– Jestem pod wrażeniem.

– Hanys, wiesz, co to oznacza?

Dla starego gliny jest oczywiste, że przejęcie sprawy przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego oznacza kłopoty. Glina zastanawia się, kto pociąga za sznurki.

– Wiem, Franz. Nie będziemy na drucie gadali. Chuj wie, czy nas nie nagrywają.

Hanys ma rację. Słoń ma ogromne ciało, siłę i grubą skórę. Sokół potrafi dostrzec to, czego nie dostrzeże inne zwierzę. Tygrys nie ma zasad i zabije każdego. Kot podkradnie się niepostrzeżenie i wydrapie oczy. Pies jest nieufny, podejrzliwy i ostrożny. Podejrzliwość jest cechą, która pomaga przetrwać. Hanys wpatruje się w światło ulicznej latarni. Na pooranej bruzdami twarzy widać opadające kąciki ust. Stary

glina ma wrażenie, że w zaparkowanym poza kręgiem światła samochodzie już od kilku dni ktoś obserwuje jego mieszkanie.

15

Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem. Dziewczyna zdejmuje buty, przemoczoną kurtkę i chustkę. Odkłada parasol. Wchodzi do środka. Kieruje się do łazienki. W drodze powrotnej serce wędruje jej do gardła.

– Chryste!

– W anclu mnie chcieli załatwić – Emil głaszcze kota – to za murami tym bardziej spróbują.

– Ale mnie wystraszyłeś! Jak się tutaj dostałeś?

– Powinnaś zainwestować w lepsze zamki.

– Są dobre.

– Powiedziałem lepsze.

– Marley się ciebie nie boi? – Dziewczyna wskazuje kota.

– A powinien?

– Nie lubi obcych. Zwykle jest agresywny. Raczej syczy, drapie i gryzie, niż się łasi.

– Widać zna się na ludziach.

Emil zwrócił uwagę nie tylko na zamki. Zdążył zauważyć książki. I nie jakieś tam pierdolenie o rozlanym jeziorze albo trzepotanie skrzydeł i anioły ze szkła, ale dobrze znane tytuły. Staremu psu rzuciły się w oczy: *Psychologia społeczna*, prawo karne, kodeks postępowania karnego i *Kryminalistyka*.

– Jesteś papugą?

– Nie interesuj się, robię różne rzeczy.

Emil zastanawia się. Rzuca okiem na sprzęt komputerowy, nie komentując jednak tabletu, palmtopa, laptopa, dwóch komputerów stacjonarnych i czterech monitorów.

– Kto to? – Wskazuje zdjęcie w ramce. – Mama?

– Mama, brat i ja. Zginęła w katastrofie w Lesie Kabackim. Miałam niecałe pięć miesięcy.

– Była stewardesą?

– To po niej mam talent do języków.

– Kto cię wychował?

– Babcia.

– A ojciec?

– Mówisz jak chłopiec, kiedy pyta, jak się robi dzieci.

– Weszło mi w krew. – Emil siada przy fortepianie.

Mężczyzna ogląda instrument. Uderza palcem w klawisz. Fortepian wydaje wyraźny, czysty ton. Emil zamyka oczy. Tak dawno nie grał.

– Ojca nie znałam – dochodzi z kuchni.

– Uhm.

Nuta jest hipnotyzująca. Ton powtarza się nieustępliwie, niczym rama, wewnątrz której jest coś opowiadane, wpisane w środek, zaszyte nićmi wspomnień. Instrument niesie melodię, balladę przegranego człowieka o pragnieniach, o tym, czego nie zrobił i już nie zrobi.

– Jest rozstrojony.

– Nie jest mój – opowiada dziewczyna. – Ja nie gram.

– To skąd go masz?

– Od zawsze tu był. Pytałeś o kawę.

– Tak. Z cukrem i mlekiem.

Kawa ze wszystkim, nie jak w anclu. Poczujmy smak wolności – myśli, grając dalej. On, siwiejący facet po przejściach, z zarostem koloru brudnego śniegu, gra balladę Nicka Cave'a jak małolat na ulicy, który zbiera na piwo.

– Wciąż palisz?

– Rzuciłem.

– Nie wierzę.

– Ja też. Rzuciłem, zamykając ostatnią sprawę. Choć nigdy mi się to nie udało.

– Z fajkami czy ze sprawą?

– Palę raz w miesiącu. – Spogląda w jej zielone oczy. – Jednego. Na koniec miesiąca. Paczka wystarcza mi na ponad rok.

– Dziś jest ostatni?

– Paliłem już, w nocy. Jeszcze pod celą.

– Powinieneś się ogolić.

– Nie mam zamiaru.

W powietrzu unosi się aromat kawy. Dziewczyna przygląda się mężczyźnie, o którym tak wiele słyszała, a którego nigdy nie miała okazji poznać.

– Skądś znam ten utwór.

– To znany kawałek.

– Gdybym usłyszała słowa, wiedziałabym czyj.

– Nie umiem śpiewać.

– O czym jest?

– Facet wyszedł tylnymi drzwiami. Trzyma pistolet kochanka żony. I nie wie co dalej. Był jej przyjacielem, kochankiem. Teraz stoi z dymiącym gnatem na drodze, którą kiedyś przyjechali.

– Dlaczego to grasz?

– Bo czuję się tak samo.

– Co zamierzasz?

– Kupię gitarę. Będę grał na ulicy. Zajmę się zbieraniem puszek, makulatury, butelek, złomu czy innego badziewia. Może zarobię na bułkę i apap.

– Boli cię głowa?

– Wszystko mnie boli. Boli mnie, że straciłem cztery lata. Rozumiesz?

– Tak.

– Tylko ci się wydaje.

– Nie przyszło ci na myśl, ważniaku, że ja mogę mieć własny ból? – Andżelika patrzy rozpalonymi oczyma, po czym podchodzi do mebli i ociera łzę. – Pamiętam, jak opowiadała o tobie. Narzekała, że siedzi w AFIS-ie i daktyloskopuje, a ty jesteś taki ciekawy.

– Potrafiła w stogu siana znaleźć DNA traktorzysty.

– Co?

– I to zgniłego.

Dziewczyna marszczy brwi, wziąwszy w dłoń zdjęcie. Uśmiecha się ciepło. W uśmiechu są opanowane, skrywane głęboko wspomnienia. Te, na które pozwalamy sobie od czasu do czasu, w samotności, w ukryciu. Sięgamy do nich z przyjemnością.

– Wierzysz w życie po śmierci?

– W śmierć wierzę. Bo ją widziałem. Jak zwykłą rzecz – odpowiada Emil.

Zerka na zdjęcie. Przełyka ślinę i nie przestaje grać. Na fotografii Letka jest w czarnym, ćwiczebnym mundurze.

– Była wtedy sierżantem.

– Sztabowym – dodaje Emil.

– Możliwe. W każdym razie zaraz po awansie.

– Dostała go w lipcu. Potem powiedziała mi o tobie. Ciągle gryzła jabłka. Zapytałem ją, czy jest wegetarianką. – Wspomnienie rozdziela ból. – Powiedziała, że nie, ale jej dziewczyna owszem.

– Tak było. Wtedy nie jadłam mięsa.

– Jak się poznałyście?

– Na imprezie w Hell&Heaven. Wiesz, to taki nasz klub. To znaczy jest też hetero-friendly. – Andżela zawiesza głos. – Zresztą nieważne. Byłam tam i tyle. Eksperymentowałam z zielem. Piła przy barze. Podeszłam i zaczepiłam ją. Poznała,

że paliłam. Kiedy zapytałam ją, czym się zajmuje, odparła: „lepiej nie pytaj”.

– Dlaczego?

– Odpowiedziała, że nie chce mi robić kłopotu.

– Kłopotu?

– Powiedziała, że jesteśmy w miejscu publicznym. „No i co z tego?” – odpowiedziałam. „Nie chcę, żebyś się tutaj zesrała” – odparła. A potem przyznała się, że jest z policji. Była taka pewna siebie, towarzyska, otwarta i przebojowa. Nie mogła usiedzieć na miejscu ani sekundy.

– I te jej sprośne żarciki.

– No, bawiła mnie tym cholernie. To chyba tym poczuciem humoru mnie poderwała. Nigdy nie potrafiłam być taka otwarta. No i się zakochałam.

Emil się uśmiecha. Przed oczyma staje staremu glinie obraz ze szpitala, gdy pierwszym, co zobaczył po przebudzeniu, była jego partnerka w szlafroku pod oknem, na wózku inwalidzkim, z uśmiechem na ustach.

– Uratowała mi życie.

– Jak?

Emil przerywa grę. Bierze oddech i wspomina. Andżela słucha uważnie. Opowiada o pracy z nią, o ostatniej sprawie i o tym, jak i dlaczego poszedł siedzieć. Ze zdziwieniem odkrywa, że po latach to wszystko jest już wyblakłe, spłowiałe.

– Kto to był?

– Zadajesz kłopotliwe pytania, wiesz? Ta sprawa miała więcej zagadek niż sernik rodzynek.

– Najbardziej pamiętam jej oczy – mówi z żalem Andżela. – Kochałam ją – dodaje cicho. – Kochałam jak nikogo innego na świecie. Bardziej niż siebie.

Emil dostrzega, że Andżela patrzy cały czas na to samo zdjęcie. Dwie uśmiechające się i przytulone do siebie dziew-

czyny. Mężczyzna dopija chłodny płyn z białej porcelanowej filiżanki i jeszcze raz uderza palcami w klawisze. Ten sam ton. Ta sama piosenka. *We Came Along This Road*. Na podłodze leżą fotografie, strzępy poprzedniego życia. Jak martwe ptaki, które dawno temu połamały skrzydła i teraz już nie latają. Andżela wraca, niosąc dwie szklanki. Kieszeń w jej szlafroku obciąża butelka johnniego walkera.

– Masz.

– Nie chcę.

– No masz. – Dziewczyna podsuwa szklankę. – Nie wkurwiaj mnie.

– Czy wyglądam na diesla, żebym miał ropę pić?

– Czystą też mam.

– To przynieś.

Jego serce rozdziera ból, ale raz jeszcze może sobie pozwolić na powrót do tamtych chwil. Od jutra zaczyna od nowa.

Dziewczyna wraca z dwiema szklankami. Napełnia je wyborową i stawia na instrumencie.

– Tak jak chciałeś.

– A czemu dwie?

– Pierwsza – dziewczyna wychyla whisky – żeby nie słyszeć.

– A druga?

– Żeby nie zapomnieć. – Wypija, krzywiąc usta. – Mamy coś do zrobienia.

Emil trzyma szklankę. Spogląda na dziewczynę i uświadamia sobie, dlaczego czekała na niego pod anclem. Andżela opowiada. Emil słucha z zainteresowaniem. Kiwa głową, z rzadka zadaje pytania. Po kilku minutach, kiedy dziewczyna kończy opowieść, ogląda szklankę z wódką pod światło.

– Możemy się napić – odzywa się. – Ale za to, co opowiedziałaś, pił nie będę.

– Co?

– To, co słyszałaś – powtarza. – To nie dla mnie.

– Czekałam na to prawie pięć lat!

– To nie moja sprawa. Zrozum. Ona już mnie nie dotyczy. To, co się stało cztery lata temu, już było. Nie będę do tego wracał. Nie chcę i się do tego nie nadaję. Niczym nie zwrócimy jej życia. To się już stało.

Andżela wybucha płaczem, Emil przyciąga ją do siebie. Dziewczyna płacze głośniej. Były glina zaciska oczy.

16

Jego ojczymem zostaje dyplomata, macocha jest nauczycielką. Oboje są bezdzietni i na usługach KGB. Zostają oddelegowani do Warszawy. Iwan kończy szkołę podstawową, a potem liceum ogólnokształcące. W czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku jako jeden z najlepszych absolwentów zostaje bez egzaminów skierowany na studia w Moskwie, gdzie oczywiście nie trafia. Następne lata spędza w tajnej bazie we wsi Jurłowo, gdzieś na Syberii.

– Już jestem. – Dziewczyna podchodzi do czekającego na nią olbrzyma.

– O! Nawet nie zauważyłem, kiedy się pani zjawiła – kłamie. Dostrzegł jej cień w szybie.

– To co? Idziemy?

W restauracji zamawiają herbaty i po kieliszku koniaku. Iwan reguluje rachunek, zostawiając kelnerce niezbyt wysoki, ale stosowny napiwek. Czas mija im szybko.

– Andrzej.

– Tereska.

– Czym się zajmujesz?

– Jestem szpiegiem.

– Nie żartuj – uśmiecha się dziewczyna.

Odpowiada jej również uśmiechem, ale nie żartuje. Jego stopień w terminologii radzieckiej określa się jako *młodszyj lejtnant*. W PRL odpowiada to randze podporucznika. Tyle że od chwili, gdy znów znalazł się nad Wisłą, zapomniał o wszystkim. To nie problem. W akademii wywiadu, tak zwanej szkole czaru, przygotowano go do rozmaitych zadań. W tym do najważniejszych i delikatnych. A że podlega pod XIII Departament Zarządu „S", najważniejszym zadaniem mają być *mokryje dieła*, co tłumaczy się jako mokrą robotę.

– No dobrze, powiem prawdę.

– Słucham.

Dziewczyna usłyszy oficjalną wersję. Dla niej pozostanie doktorem języka polskiego i rosyjskiego z tytułem z Uniwersytetu im. M. Łomonosowa w Moskwie, pracującym jako tłumacz przy Ambasadzie ZSRR w Warszawie. Przecież Iwan nie może powiedzieć jej prawdy. A przez ostatnie kilka lat wyglądała ona tak: pobudka przed siódmą, spanie przed północą. Intensywny trening fizyczny i rozmaite sporty, szczególnie wytrzymałościowe. Bieganie, dużo biegania, wspinaczka, pływanie, skoki spadochronowe. Potem nauka w klasach językowych, ideologicznych oraz społeczno-politycznych. Zaawansowany trening strzelecki, szkolenie ze sportów walki, podstawy pirotechniki i minerstwa, prowadzenie samochodów, kryminalistyka, psychologia i działania operacyjne najróżniejszego typu. Nauka języków. Polski, angielski, niemiecki. Wszystko w celu przygotowania do kontroli nad służbami specjalnymi Układu Warszawskiego i skrytych działań na terenie PRL.

– Wyjdziesz za mnie? – zapyta ją pewnego dnia.

– Kochany – odpowie dziewczyna. – Pewnie, że tak.

Związek z nią nie był planowany, ale okazał się korzystny. Ustatkowane życie to najlepsza przykrywka dla agenta działającego na terytorium obcego państwa. Dzięki niej wykrycie śpiocha jest trudniejsze.

17

Umawiają się w ogrodzie zoologicznym. Franz przychodzi w porze karmienia. Poranek jest zimny, lecz nie pada. Glina jest ubrany w bluzę, z kapturem na czapeczce z daszkiem. Za murkiem, odgrodzone fosą i prądem, patrzą żółte, dzikie oczy. Przez chwilę jeden z samców zatrzymuje się i węszy. Franz poznaje ciężki krok z daleka.

– Coś się tak odjebał jak szczur na otwarcie kanału?

– *Canis lapus*. Wilk szary – mówi Franz. – Wiesz, że one dały nam początek?

– Przecież człowiek pochodzi od małpy?

– Nam, psom, Hanys, psom. Rozumiesz?

Wpatrują się w biegające zwierzęta. Choć tego wiedzieć nie mogą, obaj myślą o tym samym: wilki poruszają się dostojnie, na sprężystych łapach. Każdy z nich odgrywa w stadzie określoną rolę. Każdy ma miejsce wyznaczające kolejność jedzenia.

– To samotniki, lecz zimą zbijają się w sforę. Wiesz dlaczego?

– No?

– Razem łatwiej im przeżyć trudny czas. Sfora się chroni, ogrzewa i daje jedzenie. Identycznie jak u nas, w fabryce.

– Popatrz, gowiedniki, a mądre.

– Są do nas podobne.

– Co chcesz powiedzieć?

– Wiesz, ile zarabia teraz zomol po szkole?

– Dwa tysie?

– Dwa dwieście.

– Takie życie, Franz, nic z tym nie zrobisz.

– Wiem.

– Po co mi o tym mówisz? Przecież wiem, jak jest.

– A wiesz, ile Markowski miał uposażenia?

– Dychę?

– Czternaście tysięcy dwieście sześć złotych.

Hanys nie odpowiada, Franz zaciąga się kolejny raz. Wilki rozszarpują mięso. Obaj policjanci wiedzą, że dla firmy każdy z nich jest takim mięsem. Jeśli komuś zaszkodzą, fabryka ich połknie, strawi i wysra.

– Masz jakieś lewe kwity? – mówi Franz. – Coś, do czego można się przyjebać?

– Znasz mnie, porządek w papierach musi być.

– Niezależnie od ustroju. Wiem, Hanys, wiem. Ale porządek ostatnio był w PRL. W demokracji wszystko się pojebało. Trzeba bardziej uważać.

– Na co?

– Wiesz, jak wilki polują?

– W stadzie?

– Po sześć, osiem osobników, czasem więcej. Śpią w dzień, a nocą ruszają. Jednego dnia potrafią przebiec nawet sto sześćdziesiąt kilometrów. Stawiają łapy tam, gdzie zrobił to poprzednik. Dzięki temu trudniej ocenić, jak duże jest stado.

– Co chcesz powiedzieć?

– Byliśmy na miejscu i wiemy. Ktoś zdecydował, że ma wyglądać inaczej.

– To musiał być ktoś siedzący bardzo wysoko.

– Będziemy mieli kłopoty. Może trzeba będzie odejść.

– Mam wyjebane, za rok jebnie mi półwiecze. Emeryturę mam pełną. Mogę położyć blachę w każdej chwili.

– Nie pod kapelusz, ale w czarny worek.

Spojrzenie przeszywa Franza jak sztylet. Ślązak przypomina sobie nocny telefon i wrażenie, że ktoś go obserwuje. Obaj wiedzą, że te słowa nie są żartem. Wilki warczą na siebie, obnażając białe kły.

– Mam przeczucie, że będziemy musieli się teraz trzymać razem. Tak jak one. – Franz wskazuje wilki.

– Trzeba żarówkę zmontować. Chociaż flakon.

– Jeden nie ma sensu – protestuje Franz. – Ledwie się po zębach rozejdzie. Poza tym sprawa dotyczy nie tylko nas.

– Nowemu też chcesz powiedzieć?

– A co masz do niego?

– Jest u nas najkrócej – mówi Hanys. – Nic o nim nie wiemy.

– A co chcesz wiedzieć?

– Choćby to, jakie ma plecy.

– Może sam powie?

– Nie sprawdził się jeszcze. Nie ufam mu.

– I tak wszystko wie – zauważa Franz. – Nic przed nim nie ukryjemy.

– Zrobisz, jak uważasz. Jestem jednak zdania, że moglibyśmy być ostrożniejsi. Poczekajmy z nim trochę, szydło samo wyjdzie z worka.

– Sprzedałeś mu jakąś podpuchę?

– Przecież mnie znasz.

– Tak, Hanys, znam cię i właśnie dlatego teraz gadamy. Mamy ważniejsze sprawy. Potrzebuję wszystkich: ciebie, Karlosa, Rudą i Nowego. Trzeba ich wtajemniczyć.

– Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego? Dumas ci się włączył?

– Wolałbyś się pogryźć z jednym – wskazuje głową wilki – czy z wszystkimi? Zresztą, jak dobiorą mi się do dupy, to i ciebie chapną.

Największy wilk siada na tylnych łapach, unosi pysk i wyje. Dźwięk jest przejmujący. Napawa przerażeniem, choć obaj doskonale wiedzą, że teraz zwierzęta mogą tylko gryźć oddzielającą je od wolności siatkę.

18

W dwa tysiące czwartym roku Patryk Wołowski, pseudonim Wołowina, był rosnącym w siłę gangsterem. Zajmował się przemytem, wymuszeniami, handlem nielegalnym alkoholem. Współpracował z pewnym senatorem, zamieszanym w produkcję i handel amfetaminą. To Lipski wprowadził go na polityczne salony. Dzięki senatorowi Wołowski nawiązał kontakty wśród posłów, senatorów oraz polityków najwyższego szczebla. Bandyta kierował grupą przestępczą o charakterze zbrojnym. Jednak w lipcu tego samego roku aresztowano go na polsko-czeskim przejściu granicznym Głuchołazy-Mikulovice. Pogranicznicy przekazali gangstera do dyspozycji Prokuratury Wojewódzkiej w Opolu, która postawiła Wołowskiemu zarzut zorganizowania przemytu i wystąpiła o zastosowanie tymczasowego aresztu. Adwokat Wołowiny dostarczył sfałszowane zaświadczenie lekarskie, na podstawie którego gangster został zwolniony z Aresztu Śledczego w Opolu przy ulicy Sądowej 2. Jednak stało się tak dopiero po interwencji pewnego wpływowego polityka.

– Kojarzysz panią prokurator?

– Jasne, szefie.

– Zrobisz jej prysznic. – Gangster wydał potem polecenie swojemu cynglowi. – Odpowiedni dla niej. Rozumiesz?

W marcu dwa tysiące piątego roku, na ulicy Reymonta w Opolu do kobiety, która postawiła zarzuty Wołowskiemu, podchodzi mężczyzna i oblewa jej twarz kwasem solnym. Dla policjantów, sędziów oraz prokuratorów i polityków w całej Polsce to znak, że z Wołowiną się nie zadziera. Do Niemiec jednak te znaki nie docierają. Dwa lata później Wołowina zostaje aresztowany w Hanowerze przez niemiecką policję.

– Nic z tym nie można zrobić?

– Oficjalnie nie – odpowie jeden z najbardziej wpływowych polityków. – Musisz zostać skazany.

– A nieoficjalnie?

– Dostaniesz wyrok w zawieszeniu. Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Podejmiesz współpracę.

Po zeznaniach Wołowiny policja ma pełne ręce roboty. Wołowina wyjeżdża do Austrii. Stamtąd, dzięki przyjacielowi z senatu, może prowadzić przestępcze interesy nie tylko na terenie Polski, ale także Austrii, Niemiec i Czech.

– Słuchaj – powie na tarasie mieszkania Wołowiny w Wiedniu Lipski – potrzebuję posprzątać. Pomożesz mi?

– O kogo chodzi?

– Jest jeden pies – odpowie Lipski, pijąc martini. – Strasznie mi bruździ.

– Rozumiem.

– Przemyślisz to?

– W końcu mam u ciebie dług, prawda?

– Przyjaciele mają wobec siebie przysługi.

– Skoro on bruździ tobie – stwierdzi gangster – przeszkadza i mnie.

Kilka dni później od strzału w głowę zginie przypadkowy mężczyzna. Będzie bardzo podobny do policjanta, na którego senator dał zlecenie. Tymczasem w Polsce zacznie się bardzo dużo dziać.

– Mamy wojnę – usłyszą policjanci na zwołanej w KGP odprawie. – To wojna zorganizowanych grup przestępczych.

I ona absorbuje Wołowinę. W przejściu podziemnym przy hotelu Marriott zginie szef grupy zajmującej się kradzieżami luksusowych aut. Następny ma być były minister sportu, któremu Wołowina pożyczył pieniądze. Minister jest ranny, przeżywa, jego życiu nic nie zagraża. Kilka dni później w Wiedniu zostaje zastrzelony osiemnastoletni ochroniarz Wołowiny. Gangster wpada we wściekłość.

– Wszyscy mają być wyeliminowani!

– Tak jest, szefie – odpowiada jego prawa ręka. – Zadbam o to.

– Zapamiętaj. Wszyscy!

W ciągu następnych miesięcy zginie kilkunastu największych gangsterów w Polsce. Wśród zabitych będą nazwiska policjantów, urzędników, sędziów i polityków. Wołowina oszczędzi dwóch ludzi: Kikira i Alka. Niestety, wielki przyjaciel Wołowiny, senator Lipski, zostanie aresztowany. Wołowina wróci do Polski. Przez następne cztery lata zacieśni kontakty. Przeniknie do najważniejszych ludzi w kraju, co pozwoli mu zejść z drogi przestępczej i stać się legalnym biznesmenem. Po kilku miesiącach doprowadzi do oczyszczenia Lipskiego z zarzutów. Kilka wysokich łapówek sprawi, że do więzienia trafi ktoś inny. W chwili kiedy zostanie zamordowany komendant główny, Wołowina, Alek i Kikir będą najbardziej wpływowymi „biznesmenami” w kraju. Wraz z kilkoma ważnymi politykami stworzą największą grupę przestępczą w historii Rzeczypospolitej Polskiej.

– Polska jest nasza – powie Wołowski w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia w restauracji Cosa Nostra. – Nasza, Kikir! Mamy wszystko!

– Tak, mamy wszystko – powtórzy Kikir. – Więc napijmy się za to.

– No to siup. – Alek wzniesie toast nie tylko z Kikirem i Wołowiną.

Za to samo napije się prezydent Warszawy, senatorowie, posłowie, ministrowie. Strzeżony lokal będzie pękał w szwach od osobistości. Jednak to niczego nie zmieni. Wobec śmierci wszyscy są równi.

W tę sylwestrową noc przyjdzie lekki mróz. Jasny księżyc poprawi widoczność. Alkohol osłabi instynkt samozachowawczy Wołowiny. Łysy tłuścioch, pachnąc najlepszymi perfumami, w garniturze za trzy tysiące dolarów, obżerając się kawiorem zapijanym szampanem, będzie się bawił w najlepsze. Tymczasem dla mężczyzny w białej furgonetce to, że kończy się rok i wraz z nim odejdzie jeszcze jeden człowiek, jest zabawne. Około północy zadzwoni do Kawki. Taki pseudonim nosi dwudziestosześcioletnia dziewczyna, luksusowa prostytutka, która bawi się w doborowym towarzystwie.

– Wyjdziesz z nim przed lokal.

– O której? – zapyta dziewczyna.

– Zadzwonię do ciebie.

Zielony świat widziany przez noktowizor zawsze wydawał się zabójcy sprawiedliwy. Odcień jednego koloru sprawia, że pozostałe barwy tracą znaczenie. Nieśmiałe szarości i bezwstydne, wyzywające czerwienie albo róże zrównują się wobec oka.

– Jak ze śmiercią – mruczy, wpatrzony w sylwetki wychodzących z lokalu, mężczyzna. – Ona nie uznaje tego, kim jest ofiara, liczy się wyłącznie kres życia.

Zabójca najbardziej lubi strzelanie z dystansu. Choć *Snajperskaja Wintowka Dragunowa* to starsza broń niż fiński *Sako TRG* albo niemiecki *PSG*, on używa właśnie tego karabinu.

– Kawka?

– Tak?

– Poproszę na dwór – usłyszy dziewczyna.

Luksusową kurwę skusiła zaliczka. Dwadzieścia tysięcy w gotówce to sporo pieniędzy, nawet dla dziewczyny sprzedającej ciało w cenie dwóch tysięcy za noc.

– Zapraszam na zewnątrz – powie dziewczyna. – Zaraz będzie pokaz sztucznych ogni.

Strzelec zaparkował ukradzionego volkswagena transportera nieopodal. Samochód jest biały, bo to najpopularniejszy kolor tych aut. Tablice rejestracyjne należą do innego białego transportera. Strzelec lokuje się w przedziale ładunkowym. Celuje przez uchylone okno.

– *Da swidania* – warczy po rosyjsku – *moj drug. Spi spokojno* – dodaje, odpychając natrętne myśli, i naciska spust.

Karabin wypluwa pocisk. Nikt nie usłyszy strzału w chwili, kiedy na niebie malują się tysiące kolorowych pióropuszy, a miasto huczy od petard i sztucznych ogni. Snajper, wolno wypuszczając powietrze, powstrzymuje się od mrugnięcia. Nieraz powtarzał tę czynność na strzelnicy. Nie szkolono go w strzelaniu precyzyjnym, ale przy odrobinie chęci można wiele osiągnąć. Szczególnie kiedy kocha się broń.

– Paf – szepcze, gdy dziesięciogramowy pocisk trafia w klatkę piersiową oliwkowego człowieczka. – Dobranoc.

Wpatrzone w celownik optyczny oko zamyka powieka, po czym zabójca uważnie rejestruje opierający się o samochód cel. Wołowina próbuje utrzymać równowagę, ale osuwa się

na chodnik. Dziewczyna, krzycząc histerycznie, świetnie gra. Wybucha panika. Łuska upada na podłogę furgonetki.

Morderca odczekuje. Chowa łuskę. Światła zapala za rogiem, tak aby nikt nie dostrzegł samochodu. Odjeżdża wolno, nie wzbudzając podejrzeń. Nawet gdyby został zatrzymany przez patrol, w kieszeni ma ubezpieczenie. Na Pradze wrzuca łuskę do kratki ściekowej, potem rozkłada broń i przenosi ją do mieszkania. Dwa dni później wyjeżdża samochodem do Wawra. Choć kierował w rękawiczkach, wyciera kierownicę i porzuca samochód.

19

Kilkaset kilometrów dalej od Andżeliki i byłego gliny człowiek z przeszłości Emila odbiera telefon. Kierowca bmw przekazuje kilka krótkich zdań. Rozmówcy się one nie podobają. Kiedy Emil z Andżeliką przyrządzają obiad, człowiek ten postanawia podjąć ostrzejsze środki.

Emil obudził się z bólem głowy. Wczoraj nie wypili wiele, lecz ta odrobina zmieszana ze wspomnieniami wystarczyła. Za oknem pada. Mężczyzna, jak co rano, robi sto pięćdziesiąt pompek w trzech seriach przerywanych seriami po pięćdziesiąt brzuszków. Chwilę później wychodzi skryty pod parasolem. Trudniej go będzie rozpoznać. Rozmawia z bratem przez publiczny telefon, następnie rezerwuje autobus na fałszywe nazwisko.

– Ranny z ciebie ptaszek. A jest sobota.

– W anclu mnie przyzwyczaili. Potrzebowałem zadzwonić.

– Telefon jest tutaj. – Dziewczyna wskazuje aparat.

– Wolałem z budki.

– Boisz się, że podsłuchałabym rozmowę?

– Boję się, że mógłby podsłuchać ją ktoś inny. Przy okazji załatwiłem też bilet.

– Wyjeżdżasz?

– Zamierzam.

– Dokąd? I po co?

– Po nowe życie. I jak najdalej.

– Można i tak – odpowiada rozbawiona. – Ale czy to nie ucieczka? Jeśli teraz uciekniesz, zawsze będziesz uciekał.

– Dostanę kawy?

– Słuchaj, naprawdę mi na tym zależy. Wiesz przecież, kim jest dla mnie Letka.

– Była! – Emil potrząsa dziewczyną. – Letka była, do kurwy nędzy! Już jej nie ma! Tak samo jak wszystkiego, co było. Spróbuj to zrozumieć. Zacznij żyć na nowo! Ja tak właśnie zamierzam.

Po obiedzie nadchodzi czas pożegnania. Emil odrzuca propozycję odwiezienia.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada. – Przejdę się.

– Aura nie zachęca do wędrówek.

– Po latach w klatce każdy spacer jest przyjemny. Wierz mi.

– Skąd wiedziałeś, że mam w samochodzie parasol?

– Dostałaś go na urodziny. Nie wierzyłem, że nie zabrałabyś go na spotkanie z kimś takim jak ja.

Andżelika ociera łzę. Emil się uśmiecha, przyciąga dziewczynę i przytula. Dziewczyna słyszy bicie serca i czuje zapach skórzanej kurtki.

– Jak ty?

– Kimś z przeszłości.

– Gdybyś potrzebował pomocy – szepcze – wal jak w dym.

– Dbaj o siebie.

– Odezwij się, gdybyś zmienił zdanie.

– Odezwę się, jak się ogarnę. Zostawię ci namiar – mówi, stawiając kołnierz.

Niewiele to daje. Emil, odkąd skończył pięćdziesiątkę, nieustannie marznie. Kilka minut później, przemykając jak cień zaułkami, wchodzi w arkady, gdzie słyszy muzykę. Po kilku następnych krokach dostrzega młodzieżowca z gitarą.

– Gdzie byłeś, gdy kradli mi samochód? – śpiewa młodzik. – Przecież po to jesteś, abym wiedział, co to spokój. Może dla zabawy w tym samym momencie męczyłeś dzieciaki za brak dokumentów?

Emila dotykają te słowa. Zwalnia, przystaje, odwraca głowę. Patrzy na sączącego jad w rytmie drgania strun młodzieńca.

– Powiedz, ile chcesz pieniędzy, aby mogło być w końcu inaczej? – Refren przebija się przez ulewę. – Gdzie byłeś, gdy kilku tępych gnoi kopało mnie na ulicy? Może bez powodu w ciemnej bramie katowałeś z kolegami człowieka?

Na ustach byłego gliny pojawia się gorzki uśmiech. W witrynie widzi własne odbicie. Ponad dwadzieścia lat służby, setki zamkniętych bandziorów – myśli. – Praca w nocy, w niedziele, w święta. Bezpowrotnie stracone zdrowie, stres, zmęczenie. Spojrzenia tych, którzy wiedzieli, że jest policjantem.

– Ożeż w mordę! – przywołuje we wspomnieniach miejsca, w których musiał bywać. – Gdzie byłem?

Rozmowy z gruźlikami, chorymi na żółtaczkę, zarażonymi HIV, w smrodzie ekskrementów. W mieszkaniach, w których potrzeby załatwia się do wiader, bo smród nie ma znaczenia i liczy się dach nad głową, ciepło, alkohol lub narkotyki. Wspomina ludzi, o których gówniarz nie ma pojęcia. Zdegenerowane towarzystwo gwałcicieli, morderców, złodziei, kapusiów, sprzedajnych gliniarzy i kurew, których filozofią życia jest pieniądz.

– Powiedz, ile chcesz pieniędzy, aby mogło być inaczej? – słyszy przez deszcz.

Pieniędzy – myśli. Przecież nigdy ich nie miał. Mieli je ci, których zamykał, a prorocy i sędziowie ich wypuszczali. Co gówniarz wie o śmierci albo kalectwie? Co wie o rozwodach, alkoholizmie, depresji, rozpaczy? Co wie o policjantach niemających pojęcia o pracy, ale umiejących pouczać innych, przyznawać nagrody i wszczynać dyscyplinarki? Co on wie o przełożonych, którzy są skurwysynami? Co wie o polityce, która kształtuje policję. Wreszcie, co wie o Letce?

– Gdzie byłeś, gdy gwałcili moją dziewczynę? Dlaczego cię nie było?

– Broniłem takich jak ty – mówi, ruszając.

Co za głupi kraj. Co za głupi ludzie. Gdyby ktoś chwycił gnojka za kołnierz, krzyczałby wniebogłosy, wzywając policję, ale teraz… Nie ma sensu o tym myśleć. Za pół godziny odjadę, a za następne dwanaście będę daleko, w zupełnie innej rzeczywistości. Rozpoczynam nowe, lepsze życie.

W autokarze łapie się na przyzwyczajeniu. Zajmując miejsce, zapamiętuje twarze. W jednej typuje tajniaka. Tak, z pewnością mężczyzna siedzący w trzecim rzędzie to funkcjonariusz. Emil obstawia Straż Graniczną. Po chwili uśmiecha się, przecież to go już nie dotyczy. Za szybą mija pięknie oświetlone miasto. Zapada zmrok. Kołysanie i szum silnika usypiają mężczyznę. Sen jest twardy i realny. Emil jest młodym gliną. Jest z nim przyjaciel ze szkolenia podstawowego. To z nim pracował w patrolu. Szukają na targu maszyny do pisania.

– Sprawna jest? – pyta sprzedawcę przyjaciel.

– Jak najbardziej.

– A ile za nią?

– Trzysta – mówi handlarz i bacznie się im przygląda.

– Dobra, bierzemy.

– Panowie to z policji, co?

– A skąd to panu przyszło do głowy? – pyta Emil.

– Panie, a kto dzisiaj kupuje maszyny do pisania? Nikt ich już nie używa. Tylko policja, bo u nich bieda. Pieniądze idą na ustawiane przetargi. Ostatnio słyszałem, że latarki kupili. Wiedzą panowie, ile za jedną?

– Ile?

– Dziewięćset! Panie, dziewięć stów za latarkę? Przecież ludzie tyle emerytury po czterdziestu latach pracy dostają. Co ma taka latarka, telegazetę, do cholery?

Emil się uśmiecha, bo wie, że wszystko, co sprzedawca mówi, jest prawdą. Dobrze, że handlarz nie zna szczegółów innych zakupów wyposażenia dla służb.

Sen jest realny, a mimo to twarz przyjaciela z fabryki jest zamazana. Tak jakby go nie było. Głos pilotki budzi Emila. Jadą niemiecką autostradą, która gdzieś go prowadzi. Były glina zakłada słuchawki, zamyka oczy, dochodzą go dźwięki *Stairway to Heaven* Led Zeppelin.

20

Nieoznakowany szary fiat bravo skrywa trzech policjantów. Mimo że jadą do zabójstwa, nie włączają sygnałów uprzywilejowania. To nie ma sensu. Warszawscy kierowcy, słysząc syrenę i mrugające sygnały, zerkną w lusterko, ale widząc, że to nie karetka ani strażacy, nie ułatwią policjantom przejazdu.

– Stadion Dziesięciolecia – mówi Franz – zanim go zamknięto, opanowali Azjaci i Ormianie.

Zajmuje przedni fotel pasażera, tradycyjne miejsce dowódcy. Z tyłu, za przyciemnionymi szybami, lokuje się Hanys. Kierowcą, co oczywiste i zgodne z falą, jest Nowy. To właśnie jemu należy wyjaśnić historię Kikira.

– A ruscy?

– Ruskich prawie nie było. Białorusini, Ukraińcy, ale też się nie liczyli. Najważniejsi byli Ormianie i Kitajce. Żółci handlowali podrobionymi ciuchami, tandetnymi butami, nielegalnymi programami, alkoholem, a Ormianie resztą.

– To były duże pieniądze?

– Wystarczające, aby ktoś chciał położyć łapę. A Ormianie kulturowo mają to do siebie, że płacą za „opiekę".

– I wtedy pojawił się Kikir?

– Nie do końca. Bo on nic nie robił.

– Jak nic?

– Jego narzędziem był telefon – mówi Franz. – Ormianie płacili, ale innych trzeba było przekonać. Zbieranie haraczy, pobicia, przypalanie żelazkiem, porwania. Krótko mówiąc, przekonywanie do płacenia należało do ludzi Kikira, on dowodził.

– I co?

– Trwało to latami i nikomu nie przeszkadzało: Kikir zapewniał swoim opiekę, a oni mu za to płacili.

– Do czasu – mruczy zza siedzeń Hanys.

– Pojawiły się niewyjaśnione zaginięcia – mówi Franz – które po kilkunastu dniach figurowały w naszych rejestrach już jako zabójstwa.

– Ktoś postanowił wejść na rynek?

– Brawo, Nowy, będą z ciebie ludzie! Ormianie płacili mu za opiekę. A tu trzodę mu ktoś wykańcza. Na coś takiego Kikir nie mógł pozwolić. Nie po to przez lata budował legendę.

– Co ty chrzanisz?

– Legendę bandyty – wyjaśnia Franz – buduje się na trupach. Przez konsekwencję i bezwzględność. Na to trzeba lat, brutalności i zdecydowania. Trzeba trzymać się zasad. Nieważne jakich, ale trzeba się ich trzymać. To budzi szacunek. Dla wielu Kikir był ważny, jak dobry wujek.

– Dobry dla swoich, bezwzględny dla wrogów?

– Uhm. Więc dopadł chłopaków, którzy zamierzali przejąć jego interes – mówi Franz – i zabijali Ormian. To byli nasi.

– Psiarnia?

– Nie, kurwa, Nowy, jaka psiarnia? Pojebało cię? Nasi, czyli Polacy, skup się.

– Dobra, dobra, nie skrzecz. Prowadzę.

– Zastosuj podzielność uwagi.

– Będziesz mi matkował czy skończysz?

– Rozprawił się z konkurencją szybko i krwawo. Hanys? – Franz się odwraca. – Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć – odpowiada ponuro.

To wtedy jego małżeństwo zaczęło się kończyć. Przez tę sprawę zaniedbał kobietę. Pracowali dzień i noc, bo trupy pojawiały się codziennie. Kiedy skończyli, było już za późno. Zrozumiał, że jest typowym gliną. A typowy glina to człowiek, który ma problemy z życiem prywatnym. Nie potrafi sobie go ułożyć, ponieważ bycie gliną do spraw zabójstw oznacza pracę, która się nie kończy.

– Nieźle – mówi Nowy, kręcąc głową. – W obcym kraju wygrać wojnę gangów. Trzeba być nie lada cwaniakiem.

– To nie koniec bajki o kopciuszku Kikirze. Po wojnie umocnił pozycję. Nic mu nie przylepiliśmy, choć nie powiem, były próby. Z wszystkiego się wymiksował, do niczego się nie przypucował. To nie on, on nic nie wie, on nie rozumie. A wtedy prorocy zaczęli rządzić, zamiast współpracować z psiarnią jak za starych czasów. Jeden z drugim sprzedajny skurwiel dostał hajc na chatę i nasz ciapaty stał się porządnym obywatelem, którego policja się czepia.

– Nie wierzę.

– My też nie wierzyliśmy – mruczy Hanys. – Ale taki mamy kraj.

– Do tego okazało się – opowiada Franz – że facet miał umysł stratega. Przewidział, że Ormianie i reszta znikną ze stadionu. Zaczął wchodzić w inne interesy. Umiał się układać z naszymi. Ożenił się z Polką, kupił dom, z czasem stał się legalny. I wtedy poznał Wołowinę. Zbratali się, bo ludzie Kikira odwalali czarną robotę, a Wołowina potrzebował cyngli. A że byli najsilniejsi, podzielili się rynkiem.

– Poza tym – wtrąca Hanys – w świecie przestępczym, jak w każdym zawodzie, jest konkurencja. Po co prać brudy swoimi rękoma?

– Co chcesz powiedzieć?

– Jeśli można pozbyć się konkurenta na podstawie donosu – tłumaczy Franz – to się tak robi. Po co ryzykować, że zlecenie zabójstwa się wyda?

– I nie trzeba – mruczy Hanys – wydawać pieniędzy ani liczyć się z odwetem. Rozumiesz?

– Pewnie.

– I tak powstał Kikir – wzdycha policjant na prawym fotelu.

– A to cwaniak – kwituje Nowy.

– Po śmierci Wołowiny zrobił się ostrożny. Bał się o życie. Wiedział, że może być następny – urywa Franz.

Rezydencja gangstera robi na gliniarzach wrażenie. Dom jest ogromny. Tak samo jak działka, na której go posadowiono. Asfaltową drogę zagradza policyjna taśma. Wokół porozstawiano kilkanaście oznakowanych pojazdów służbowych. Franz zauważa, że teren zabezpieczyli policjanci z oddziałów prewencji z Piaseczna.

– Niezły familok – mruczy Hanys.

– No, chatka na kurzej stopce – stwierdza Franz. – Jakbym *Dynastię* oglądał. Ciekawe, ile ma pokojów?

– Szesnaście – odpowiada Karlos, podając rękę. – Szesnaście, kurwa, pokojów. Zadzwonił anonim. Dyżurny wysłał tu patrolówkę. To, co zobaczyła dziewczyna po szkole ze starszym sierżantem, nie pozostawiało wątpliwości.

– Nie powinno się mówić „pokoi”?

– Nie mędrkuj, gówniarzu. To ja mam dwa dyplomy, nie ty. Jeden chuj zresztą. Jest siedemset pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni użytkowej, a ja mieszkam w dwóch pokojach, kurwa, czterdzieści dwa metry w wielkiej płycie – cedzi przez zęby Karlos. – I do tego basen, piętnaście metrów na osiem, kurwa!

– Co się pieklisz, Karlos – chichocze Franz. – Masz wannę w łazience?

– Prysznic mam! Wyjebałem ją, bo chciałem mieć więcej miejsca.

Policjanci z fiata uśmiechają się na tę ripostę starego gliny. Karlosowi jednak nie jest do śmiechu, bo poraził go luksus, w jakim pławił się bandyta. Poza tym musiał odwalić kawał roboty należącej do Franza. Wstąpił do policji późno, w wieku trzydziestu lat. Miał dyplom dziennikarstwa, drugiego magistra z filologii polskiej oraz nieobroniony doktorat z psychologii klinicznej. Jednak w policji nie miało to żadnego znaczenia. Zamiast pracować w Wydziale Komunikacji Społecznej, jako rzecznik prasowy komendy na ósmej albo dziewiątej grupie, to w kryminalnych „jebał za wszystkich na piątej za damski chuj” – jak zwykł mawiać. Gryzł się tym. Brał do siebie i pił. Kiedy wszystko zaczęło się w firmie psuć, o mało go nie zwolnili. Wtedy się zaszył.

– Dobra, mam to w chuju. Słuchaj, Franz… – zmienia temat – …czekamy na proroka. Przekazuję ci dowodzenie. Teren masz zabezpieczony.

– Widziałem.

– Karetki też widziałeś, ale pomoc nie jest nikomu potrzebna. Z gorylami już gadałem, z babą gadać się nie da. Lekarze są u niej. Nie ma jeszcze czarnych chirurgów, ale jadą. Sekcja wykaże, czy to Kikir, ale to tylko formalność.

– Trup?

– Nowy, z chuja się urwałeś? Wyleciał w powietrze. Pewnie, że trup. Z kierowcą i gorylami cztery. Zobaczycie sami, bo robota fachowa, że hej. Tylko z uwagą, bo technicy dopiero zaczęli zbierać ślady. I niech was ręka boska broni, żebyśmy coś zadeptali. Grupa już jest, robią swoje. Jest pirotechnik.

– Czekaj – mruczy Franz. – Czemu nie strzelał?

– Dom się nie nadaje na taką robotę – odzywa się Nowy.

– Przecież okna widać.

– Ale daleko i są słabo widoczne. Na pierwszy rzut oka – dodaje Nowy – to jakieś trzysta metrów. Ogrodzenie wysokie i sporo tu drzew.

– Szyby też pewnie pancerne.

– Macie rację – opowiada Karlos. – Są kuloodporne. Kikir zamontował je zaraz po kropnięciu Wołowiny.

– Przecież mógł go zdjąć przed domem?

– Nie mógł, Franz. Widzicie, całe, że tak się wyrażę „przed domem", jest z tyłu.

– Co?

– Raz, że bezpiecznie, dwa, że kameralnie. Tam jest tarasik, garaże, podjazd na samochody, miejsce na grill i ten, kurwa, jebany basen. Wszystko zasłonięte żywopłotami i budynkami.

– Nie mamy pewności – dodaje Nowy – że to robota tego samego gościa, który kropnął Wołowinę.

– No, nie mamy – odpowiada Franz. – Racja.

– A psinco – wtrąca się Hanys. – Mówię wam, że to ten sam rzezimieszek. I Wołowina, Markowski, i teraz. To jego sprawka.

– Skąd wiesz?

Spoglądają na Ślązaka, ale ten wzrusza ramionami. Wiedzą, że to, co mówi, jest prawdopodobne. To jednak tylko domysły, czyli za mało. Ich robota opiera się na faktach, a nie na domysłach.

– A miał inne wyjście?

– Nie bardzo – zabiera głos Nowy. – Strzelać nie mógł. Widzę, że jest monitoring, więc wejście też nie byłoby proste.

– Racja – przytakuje Karlos. – Jest monitoring. Właśnie go zabezpieczają.

– Świetnie – kwituje Franz. – Może coś będzie. Czyli dom to twierdza, strzelanie nie wchodzi w grę. Mam uwierzyć, że z tego powodu odpalił ładunek?

– Należało szukać innej możliwości – stwierdza Karlos.

– No, a normalne wejście?

– Wzmocnił obstawę.

– No i jest, jest… – dodaje Nowy – alarm zbliżeniowy.

– A ty co? Specjalista od ochrony fizycznej? – ruga Nowego Hanys.

– Wie się to i owo. Zresztą to widać. – Wskazuje detektory ruchu.

– Nowy ma rację. Na snajperkę jest źle. Jest obstawa, są psy, chyba z siedem czy dziewięć. – Karlos macha ręką. – Pal licho ile.

– Hanys – wzdycha Franz. – Co myślisz?

– Chałupa jak twierdza. Nie ma mowy o wejściu do środka i zrobieniu użytku z broni krótkiej. W pojedynkę to byłoby ryzykowne.

– Czyli działał sam?

– Prawdopodobnie.

– Uhm – drąży dalej Franz. – To nie był też ktoś z jego kręgu, bo wtedy nie byłoby problemu z wejściem.

– Ale musiałby pozabijać wszystkich. Nie wiadomo, czy to by się udało. Zresztą i tak nagrałby się na monitoringu.

– Racja. – Franz drapie się w brodę. – Czyli odpada. Faktycznie wygląda na to, że jedyną możliwością, jaka wchodziła w grę, było wyeliminowanie go poza domem.

– Nie uwierzycie, gdzie umieścił ładunek – mówi Karlos.

– No?

– W koszu na śmieci.

– Nie wierzę – mruczy Hanys.

– Mówiłem. Posłuchajcie. Śmieciarze przyjeżdżali tu dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i w czwartki.

– Co jest dzisiaj? – pyta przytomnie Nowy. – Czwartek?

– Czwartek. Nie przerywaj. Wieczorami, w niedziele i środy, goryle ofiary wystawiali metalowe kubły ze śmieciami przed wyjazd.

Spojrzeli w miejsce eksplozji. W promieniu kilku metrów nie pozostało nic z wyjątkiem czerniejącej wyrwy. Widzą fragmenty asfaltu, gruzu, ziemi i kawałków blachy. Murek od kamiennego ogrodzenia na odcinku kilkunastu metrów nie istnieje. Dziesięć metrów od wyrwy w asfalcie na dachu leży wrak spalonego samochodu za parawanem.

– Czyli obserwował go – mruczy Franz.

– Na pewno – odpowiada Hanys. – Trzeba się popytać, może ktoś zauważył coś nietypowego.

Wszyscy spoglądają na Nowego.

21

Kilka dni później się ociepla. Mróz ustępuje mżawce. Minutę po dwudziestej trzeciej czarna terenówka na granicy przy-

czepności wjeżdża z Alej Ujazdowskich w Belwederską. Za terenówką pędzi porsche 911. Jego kierowca na wysokości Ambasady Federacji Rosyjskiej wciska gaz, aż silnik ryczy na wysokich obrotach. Kierowca radiowozu, widząc to, chwyta kluczyk.

– Gdzie! – słyszy. – Spokój!

– Ze sto dwadzieścia sypali! – odpowiada posterunkowy za kierownicą.

– Złoty pięćdziesiąt mieli. Piętnaście lat jestem ruchaczem, radar mam w oczach.

– No to czemu…

– Robotę musisz szanować – poucza młodego policjant Wydziału Ruchu Drogowego. – Inaczej nie tylko emerytury nie dożyjesz, ale nawet służba stała ci nie stuknie. Na nowych zasadach już się przyjąłeś?

– Dwadzieścia pięć lat pracy i wiek ponad pięćdziesiąt pięć lat. – Policjant zapisuje numer rejestracyjny we wkładce do notatnika służbowego.

– O, ja pierniczę. To tym bardziej musisz być ostrożny. Musisz przewidywać i nie pchać się w gówno. Sam widzisz, ile lat przed tobą. A jest coraz gorzej. Zobacz – policjant stuka zegarek. – Już dwudziesta trzecia, a kończymy o północy. Jeszcze dziesięć minut i możemy się kulać na rozliczenie. Kwitów masz ile?

– Siedem.

– No i fajnie. Ja mam dziewięć. To razem szesnaście.

– Dowód jakiś zabrałeś?

– Jeden.

– Ja mam jednego pijaka, no i kolarza.

– Tego, co zero dwadzieścia jeden wydmuchał?

– Nieważne, ile wydmuchał, jedynkę się wpisze i wynik będzie. Szesnaście kwitów, zatrzymany dowód rejestracyjny,

kierujący w stanie nietrzeźwym i rowerzysta na wykroczenie. Jest porobione.

– Co to znaczy?

– Stary nie będzie sapał. Zapamiętaj, mandaty są najważniejsze. A ty co? Chcesz gonić? Kijanką? Przecież to wóz drabiniasty w porównaniu z porszakiem. I to pod koniec zmiany? Tak się nie robi – ciągnie policjant w prawym fotelu. – Gonić możesz na początku służby.

– To może dyżurnemu? – Posterunkowy pokazuje notatnik. – Żeby blachy w eter rzucił?

– A co ci to da? Myślisz, że się ucieszy, jak mu roboty dołożysz? Raczej dobrze cię zapamięta, potem na jego zmianie nie odgonisz się od obsługi zdarzeń drogowych.

– Naprawdę?

– No i pomyśl, co zrobisz takiemu, nawet jak go zatrzymasz?

– No, że łamał przepisy…

– Przepisy? – Policjant poprawia brzuch znad paska. – Jakie konkretnie?

– Przekroczenie prędkości.

– Gostek ci powie: „jechałem pięćdziesiąt, panie władzo". Albo nawet, chuj, powie, że pakę dwadzieścia jechał. – Macha ręką. – I gówno mu zrobisz! Bo będzie chciał nagranie albo zdjęcie. Jak coś znajdziesz, to i tak odmówi przyjęcia mandatu. Będziesz się bujał po sądach. Na wolnym.

– No to co mamy robić?

– Jedź, kończymy robotę.

Radiowóz rusza z parkingu przy Rosyjskim Ośrodku Kultury i Nauki, a ścigające się samochody pędzą już w stronę mostu Siekierkowskiego. W terenówce jedzie Alek. Samochód prowadzi jego osobisty ochroniarz.

– Szybciej! Ciśnij, za nami jest!

– Cholera, szefie! – krzyczy ochroniarz. – Cisnę do dechy.

Aleksander Koblowski to znany bandzior. Do niedawna zajmował się głównie przemytem i handlem amfetaminą oraz kradzieżami luksusowych samochodów. Teraz jest biznesmenem. Ma restaurację i pensjonat przy trasie z Wyszkowa do Radzymina. Gości tam aktorów, muzyków i celebrytów.

– Wyprzedzaj – gorączkuje się gangster. – Wyprzedzaj teraz!

Ochroniarz zerka w lusterko. Prowadzi mercedesa ML pewnie i ostro. Ciężki wóz jest jednak tylko samochodem rekreacyjnym. Dziewięćset jedenastka z każdą sekundą rośnie w lusterku.

– Jak można było nie wziąć klamki!

– Mówiłem, wolne miałem mieć! To się nie przygotowałem!

– Odjebią nas! Nie chcę umierać. Na prawy, na prawy! W Czerniakowską! Wyprzedź. Wyprzedzaj, mówię!

Wycie czterolitrowego silnika odbija się od ekranów dźwiękochłonnych. Ochroniarz szarpie kierownicą. Samochód skręca. Uderza w niebieskie seicento.

– Spierdalaj!

– Wracaj! – wrzeszczy gangster. – Na prawy!

Terenówka skręca z lewego pasa. Samochód przejeżdża przed maską volkswagena golfa. Manewr zmusza kierowcę volkswagena do hamowania.

– I ogień! – krzyczy Alek. – Na pełnej kurwie! Jedź!

Silnik wyje. Wskazówka obrotomierza wędruje na czerwone pole. Za zakrętem niespodziewanie pojawiają się czerwone światła samochodu.

– Hamuj! – krzyczy gangster.

Ochroniarz wciska pedał. Samochód przechyla się na przednią oś. Wydaje się, że zdążą, ale rozlega się huk. Mer-

cedes zatrzymuje się na zderzaku alfy romeo przed nimi. Wybuchają poduszki powietrzne.

– Cholera.

– I tak już po nas! – mówi gangster.

Dobiega ich terkot pistoletu maszynowego. Sypie się szkło. Pociski dziurawią deskę rozdzielczą. Kierowca dostaje w plecy. Alek zakrywa głowę rękoma. Kolejna kula trafia ochroniarza w głowę. Dwie następne przebijają ciało gangstera.

Tymczasem patrol z Belwederskiej wpisuje mandaty do książki.

22

Ruda i Karlos muszą na miejscu rozpytać świadków. Pierwszym jest kierujący niebieskim seicento. Drugim kobieta z alfy romeo, na której zatrzymała się terenówka. Niewiele można zobaczyć. Jest ciemno i oprócz rozbitych samochodów, szkła i policjantów z Wydziału Ruchu Drogowego miejsce zdarzenia wygląda jak zwykła kraksa. Karlos podchodzi do kierującej z alfy, która rozmawia z ratownikiem na temat kołnierza ortopedycznego na szyi.

– Mam nadzieję, że szybko pani o tym zapomni – mówi do kobiety. – Dlatego chciałbym, jeśli pani pozwoli, już teraz porozmawiać.

– Już ze mną rozmawiali tamci panowie. – Kobieta wskazuje mundurowych. – Po co mam wszystko powtarzać?

Kobieta jest przed czterdziestką, zadbana i elegancka.

– To funkcjonariusze Wydziału Ruchu Drogowego – wyjaśnia uprzejmie Karlos. – Zajmują się sprawą od strony logistycznej. Mnie interesuje co innego.

– Tak? A kim pan jest?

– Pani wybaczy, najmocniej przepraszam. Podkomisarz Edward Węcel. – Policjant podaje rękę. – Wydział Kryminalny, Referat Przestępstw Przeciwko Życiu i Zdrowiu.

– Nazwa sporej długości.

– Bo i pracy jest sporo.

– Pan jest z policji?

– Tak.

– Nie wygląda pan.

– Cóż. Nie wszystko jest tym, na co wygląda. – Karlos okazuje legitymację. – Niestety.

– Gliniarz filozof?

– O wrażliwości dziecka.

– I może duszy poety?

– Dlaczego nie?

Jak zwykle ubrany jest nietypowo jak na gliniarza. Pod szarym płaszczem do kolan ma dość dobry garnitur, białą koszulę i krawat. Jest ogolony, a jego kręcone jak u Hiszpana włosy lśnią czystością. Tak samo jak skórzane brązowe buty, starannie dobrane do paska spodni i zegarka.

– Ponieważ, panie Węcel, dla mnie glina to glina.

– Szufladkuje pani ludzi.

– To łatwiejsze.

– Co pani widziała?

– Nic.

– To interesujące.

Kobieta tego nie rejestruje, ale policjant poprawia służbowego walthera P99 w lekkiej kaburze z cordury na szelkach pod pachą.

– Ciekawe, co by pan powiedział – odpowiada poirytowana – gdybym coś widziała.

– To co pani widziała?

– Usłyszałam huk. Poleciałam do przodu. Ci dwaj z terenówki uderzyli w tył mojej alfy, a potem usłyszałam strzały. Poczułam ból w szyi. Jakiś srebrny samochód odjechał z piskiem opon.

– To ciekawe.

– Dlaczego?

– Pamięta pani markę, twarz kierowcy, coś charakterystycznego?

– Nie.

– Gdzie pani jechała?

– Na zakupy.

– Przed północą? Jakiś konkretny zakup?

– Drogi panie, ktoś wjechał w dupę mojego auta i je rozbił. Mam naruszone kręgi. Zabito człowieka, drugi jest w ciężkim stanie, a pan mnie wypytuje o pierdoły? Może wino i papierosy. Albo prezerwatywy na spotkanie z kochankiem?

– Skąd pani wie, że ktoś w tamtym samochodzie nie żyje?

– A nie zapyta pan, czy mam kochanka?

– Pytam, skąd pani wie, że ktoś został zabity.

Kobieta nie wie, co odpowiedzieć. Jest zaskoczona. Mężczyzna, z którym rozmawia, jest zaskakująco uprzejmy. Trochę dziwny, ale nie ma już wątpliwości. To glina – i to inteligentny.

– Słyszałam, jak policjanci o tym mówili.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

– Wydaje mi się, że ten samochód, co odjechał z piskiem, był długi i niski.

– Ma pani na myśli jakiś sportowy wóz? – Karlos drapie się piórem za uchem.

– Bardzo możliwe.

– Czy coś jeszcze przychodzi pani do głowy?

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że kierowca miał zasłoniętą twarz. Myślę, że chodzi o czapkę z daszkiem i kominiarkę albo szalik. Szyba była otwarta. Samochód był prawie na pewno srebrny – mówi kobieta. – Jestem pewna.

– Coś jeszcze?

– Nie sądzę.

– Rozumiem, dziękuję. Bardzo pani pomogła – uśmiecha się Karlos.

Kobieta nieoczekiwanie czuje do niego nie tylko sympatię, ten gliniarz zaczyna być dla niej atrakcyjny.

– Gdyby coś się pani przypomniało albo zwróciło uwagę – Karlos podaje jej kartonik – proszę dzwonić.

Kobieta wpatruje się w niebieskie literki na gustownej, oszczędnej wizytówce, po czym rzuca zupełnie inne spojrzenie na Karlosa.

– To pana prywatny numer?

– Służbowy.

– Rozumiem.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję. Życzę wszystkiego dobrego. – Wskazuje piórem kołnierz ortopedyczny. – Szybkiego powrotu do zdrowia.

Kierująca od alfy romeo odprowadza nietypowego policjanta wzrokiem. Chwilę później Karlos jest już przy Rudej, który wpisuje coś do służbowego notatnika.

– I co masz?

– Dane tej, co z nią rozmawiałeś, chłopaka od seicento, no i wiem, że z Alkiem pojechali na Szaserów.

– Co ci powiedział twój gość?

– To miało wyglądać jak wyścig. Facet myślał, że to Frog albo inny idiota.

– A jak się puknęli?

– Tak jak ruchacz mówił. Najpierw terenówka uderzyła przy zmianie pasa w jego fiacika, a potem nie wyhamowali i wpakowali się w dupę tej twojej eleganckiej. Strzały padły z porsche. Numerów nie zapamiętał. Tyle, nic więcej. Ty co masz?

– Mniej więcej to samo.

– Dobra – mruczy Ruda. – To dzwonię do dyżurnego, niech puszczą komunikat na komisariaty.

– To nic nie da, ale dzwoń, bo nam postępowanie zrobią. Ja dryndnę do Franza, ucieszy się chłopina.

– Dziwne.

– Co?

– Samochody podziurawione jak sito, a żadnej łuski. Świadkowie gówno widzieli. Zobaczymy, co ustalimy.

– Kolejny fachowy ubój.

– Może któraś kamera ich złapała na stacji paliw?

– Znowu nudna robota. – Karlos robi kwaśną minę. – Niech Nowy się tym zajmie. A właśnie, czemu go dzisiaj nie ma?

– Nadgodziny wybrał. Natrzaskał ich w dzielnicy Kikira.

Kilka kilometrów dalej, przed wypożyczalnią w centrum, mężczyzna z porsche wyciera kierownicę i gałkę skrzyni biegów. Klamkę wytarł wcześniej, na pobliskim Orlenie. Zadbał o to, aby znaleźć się poza kamerami, bo wie, jak pracują gliny. Zaraz po strzelaninie wyzbierał łuski z podłogi i umył ręce. Przebrał się w toalecie, a czapkę i kominiarkę wyrzucił. Kiedy wysiadał z samochodu, zadzwonił jego telefon. Zakończywszy rozmowę, wytarł kluczyk i zwrócił samochód. Nawet gdyby gliniarze dotarli tutaj, nic nie ustalą. Mogliby znaleźć proch na tapicerce, ale prawo jazdy i dowód osobisty, którymi się posłużył, są fałszywe.

23

Nowy jest przemęczony. Od kilku dni dużo pracuje. Nie skarży się, bo zna realia. Najmłodszy musi odwalać najgorszą, najbardziej niewdzięczną pracę, niezależnie od rodzaju służby. W prewencji najmłodsi szlifują krawężniki, w ruchu drogowym zatrzymują pojazdy i kierują ruchem. W wydziałach kryminalnych rozpytują, wypełniają protokoły, sporządzają notatki i wiszą na telefonach.

– Co ustaliłeś?

– Koblowski jest właścicielem Agencji Ochrony i Detektywistyki „Pewniak".

– Kojarzę – odpowiada Franz.

– Niezły interesik. Mają kontrakty z Makro Cash & Carry Polska, Leroy Merlin, Intermarché. Ochraniają budowy autostrad, siedzą w większości banków, urzędów, sądów. Nawet szkoły mają.

– Czyli kasa?

– Dowiedziałem się, że zatrudniają ponad dwa tysiące ochroniarzy.

– Spory zakładzik.

– Ale nie tylko ochrona. Spółka ma fabryczkę ubrań roboczych, wytwórnię zniczy, sprząta i obsługuje monitoring. Połowa zatrudnionych to inwalidzi.

– Co? Inwalidzi w ochronie?

– Mają orzeczenie o grupie, dzięki czemu to zakład pracy chronionej.

– Czyli mniejsze podatki?

– Zwolnienie, z opłat też, preferencyjne kredyty, wsparcie z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych i dofinansowanie z Unii za miejsca pracy. Osiemdziesiąt procent pracowników to renciści, a reszta pracuje na zlecenia.

– Jaki to ma związek ze strzelaniną?

– „Pewniak” to spółka akcyjna. Alek założył ją z Wołowiną i Kikirem. Firma jest w porządku, ale na początku działalności działo się w niej nieciekawie.

– Czyli?

– Wygrywali lipne przetargi, ostro usuwali konkurencję i tak dalej.

– Ostro?

– Jak chcieli przejąć obiekt konkurencji, to ktoś napadał na pracującego tam ciecia. Dyskoteki szły z dymem albo banda kiboli urządzała w niej jatkę.

– No jasne.

– Po sprzątnięciu Wołowiny i Kikira Koblowski spotkał się z prezesem i radą nadzorczą. Nie powiedzieli, o czym rozmawiali. Sądzę, że o przyszłości agencji.

– No i?

– Spotkania nie planowano. Zastrzelony goryl Alka nie wziął klamki, bo Koblowski zadzwonił do niego wieczorem, jak tamten już miał wolne. Po spotkaniu zauważyli, że ktoś za nimi jedzie.

– Skąd wiesz?

– Wypytałem. Koblowski dzwonił do drugiego goryla. Żądał pomocy.

– Sprawdziłeś billing?

– Jest połączenie o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt. Ochroniarz nie kłamał. Logowanie na BTS-ach pasuje.

– Mówił coś jeszcze?

– Powiedział, że ktoś ich śledzi w srebrnym porsche.

– I co?

Nowy uśmiecha się do szefa. Wie, że ma coś jeszcze. Napawać się tą chwilą. Zaraz zabłyśnie przed dowódcą i może wreszcie bardziej go docenią.

– Co się tak cieszysz?

– Mam jeszcze coś.

– To mów.

– Logowania komórki Koblowskiego wskazały, jak jechali. Pomyślałem, że sprawdzę, czy jakaś kamerka na CPN-ie ich nie złapała.

– I co?

– I bingo! – Nowy podsuwa wydruki Franzowi. – Mam zdjęcia.

Policjant przygląda się trzem niezbyt wyraźnym zrzutom. Potem odkłada je i z wyrzutem spogląda na podwładnego.

– Faktycznie, porsche – i co z tego?

– Przy okazji wykreśliłem trasę ich przejazdu. Potem pofatygowałem się do dyżurnego miasta. Powiedziałem, jak sprawa stoi. Sprawdził logowanie się GPS-ów radiowozów o tamtej porze i trafiłem.

– W co?

– Jak jechali Belwederską, pod ruską ambasadą był partol.

– O proszę!

– Pofatygowałem się do nich. Pogadałem z nimi. Stary pamiętał, że jechała terenówka i porsche, posterunkowy miał zapisany numer rejestracyjny.

Komisarz Franz Mreges patrzy z uznaniem. Numer rejestracyjny samochodu, z którego strzelano, może być tropem. Jeśli uda się namierzyć właściciela, może wystarczy wejść delikwentowi na chatę, zbadać samochód i będzie można postawić zarzuty. Minęło już trochę czasu, ale ślady prochu na tapicerce na pewno pozostały.

– Mów.

– Wrzuciłem blachy do CEPiK-u – odpowiada Nowy.

Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców obejmuje dane o pojazdach, właścicielach, a także osobach mających uprawnienia do kierowania pojazdami.

– I co?

– Fura jest z wypożyczalni.

– Byłeś tam? – Franz unosi brwi.

– Tak, ale danych osoby, która wypożyczyła samochód, nie potwierdziłem.

– Bo takiej osoby nie ma?

– Właśnie.

– Przejrzałeś samochód?

– Nie było go. Został wypożyczony następnego dnia.

– Czyli nic nam to nie dało – odpowiada oficer.

To byłoby zbyt piękne, żeby mogło się zdarzyć – pomyślał zły na siebie Franz. Sprawca zamachu na Alka musiałby być idiotą, żeby zostawić takie ślady. A nic nie wskazuje, żeby był nieostrożny.

– Jak zdejmiemy odciski, będzie ich tak dużo – odezwał się do Nowego – że żaden sąd nam ich nie uzna. Odcisk palca w samochodzie, z którego strzelano, to nie dowód. Najwyżej poszlaka. Pewnie powycierał je, ale i tak trzeba to sprawdzić. Może się na coś przydadzą. Zajmij się tym.

– Tak jest.

– Odciski, ślady biologiczne, pirotechniczne. Wszystko, co uda ci się znaleźć. Zeznanie pracownika. Cokolwiek. Może samochód ma lokalizator GPS? Wiedzielibyśmy, gdzie jeździł. Byłoby pięknie. Ma być zrobione.

– Tak jest.

– Ustaliłeś coś w sprawie sąsiadów Kikira?

– Papiery są gotowe.

– Pytam, czy coś ustaliłeś, a nie czy zrobiłeś papiery?

– Wie pan, szefie, to osiedle bogaczy. Działki duże, ludzie skryci, większość zapracowana, nie siedzą w domu. Nikt niczego nie widział. Tylko jeden monitoring potwierdza to, co widzieliśmy tutaj.

– Żadnej twarzy?

– No, tak samo jak na filmie. Facet w kapturze, zamaskowany. Nie widać. Przyjechał raz i tyle. Pewnie wcześniej tam jeździł, ale nagrań nie ma.

– Jak nie ma?

– Nadpisują się przeważnie po tygodniu. Zresztą kto wie, czy nie obserwował tego domu, jeszcze zanim sprzątnął Wołowinę?

– Możesz mieć rację.

– Poza tym te kamery są do dupy albo to atrapy. Nałaziłem się, napytałem i gówno to dało.

– No, a samochód? Czymś tam przyjeżdżał?

– Blachy kradzione.

– Uhm. Dobra robota. – Franz klepie chłopaka w plecy. – Szukaj dalej. Ja się pofatyguję na nawijkę do gangstera. Zrobisz swoje, to odbierzesz nadgodziny na fikołki z lalunią.

24

Dwukrotnie ranny gangster trafia do Centralnego Szpitala Klinicznego MON w Warszawie, przy ulicy Szaserów, gdzie przechodzi skomplikowaną operację. Trzy dni po niej odzywa się prywatny telefon Franza. Prawnik Alka prosi o wizytę u klienta w szpitalu.

– Jak się pan czuje?

– Lekarze mówią – odpowiada Franzowi Alek – że stan się stabilizuje.

– To dobrze. Czegoś pan potrzebuje?

– Przydałaby się wasza ochrona.

– Może pan sobie wynająć firmę. Nawet własną. Z tego, co wiem…

– Proszę posłuchać. Ja nie żartuję.

Franz spogląda na leżącego w łóżku gangstera. Właściwie policjant ciągle łapie się na tym, że traktuje Koblowskiego, jakby nim był, a przecież teraz to nowobogacki, wpływowy biznesmen.

– Proszę się zastanowić – odpowiada. – Ktoś chciał mnie zabić. Pewnie spróbuje znowu.

– Policyjnej ochrony dać panu nie mogę, bo nie ochraniamy…

– …bandytów?

Król ulicy w pieluchach, srający ze strachu. Tak, gdyby mógł, powiedziałby gangsterowi prawdę. Jednak w czasach, kiedy każdy małolat może z ukrycia nagrywać rozmowy i telefonem za złotówkę robić filmiki lepsze niż Cameron, nie można. Kto jest chroniony… – przemyka mu przez myśl – …policjant czy bandyta albo nieuczciwy obywatel? Bandyta może wszystko, policjant nic nie może.

– …prywatne osoby, proszę pana. To miałem na myśli.

– Wiem.

– Więc nie rozumiem. Od tego są agencje ochrony. Tym bardziej że stać pana na to.

– Wejdę z wami w układ.

Franz nie wierzy. Jeden z najważniejszych przestępców w Polsce proponuje mu układ. Zwariował, bardzo się boi albo to podpucha. Może facet naprawdę nagrywa? Przecież to on chciał rozmawiać, sam zadzwonił. Doświadczenie oficera operacyjnego nauczyło Franza, że jeśli ktoś sam się dzieli informacjami, to są one bezwartościowe albo kapuś chce pieniędzy. Ostatnia możliwość to prowokacja.

– Nie bardzo rozumiem.

– Nieprawda.

– Zresztą, wie pan… – Franz błądzi wzrokiem po pomieszczeniu – to nie jest miejsce na takie rozmowy. Proszę wydobrzeć…

– Nie nagrywam pana. – Alek podaje policjantowi wizytówkę. – To jest numer do mojego prawnika. Proszę się z nim umówić. Jest wtajemniczony.

– Nie obiecuję. Proszę wracać do zdrowia.

– Komisarzu! W naszym świecie kierujemy się zasadami. Jedna z nich mówi, że szpital to ziemia niczyja. W takich miejscach się nie działa. Gwarantuję panu nietykalność.

– Co proszę?

– Ktoś strącił głowę waszego pierwszego. Teraz ktoś strzela do nas. Wy myślicie, że to my zatłukliśmy zero-jeden. Ja mówię, że nikt z naszych do was nie strzelał. Bez mojej wiedzy nic się nie dzieje. Rozumie pan?

– Wiem, co ma pan na myśli.

– Jest ktoś trzeci, poza układem. Zabił Wołowinę i Kikira, teraz poluje na mnie. Nie rozpętujmy wojny.

– O czym pan mówi?

– Pan wie.

– Co wiem? Kto do pana strzelał?

– Ktoś od was.

– Kto, do diabła, miałby to zrobić? Pan naprawdę oszalał.

– Przecież to gliniarz. Panie komisarzu, ja już nie mam wrogów. Pozbyłem się ich. Reszta to układ. Pan wie, o czym mówię. Jeśli nie wy, to jest ktoś trzeci.

Franz nie wie, co powiedzieć. Analizuje słowa gangstera. No jasne, mógł tak pomyśleć. Na mieście sprząta ktoś powiązany z policją.

– Tak jak powiedziałem – dodaje Alek – tutaj możemy porozmawiać.

– Do czego pan zmierza?
– Mam informacje na temat zabójstwa generała.
– Zamknij się! – nie wytrzymuje Franz. – Ochujałeś?
– Spokojnie, panie komisarzu, nikt mnie nie nagrywa.
– Ale mnie mogą nagrywać! – warczy glina.

25

Autobus pojawia się na Zentraler Omnibusbahnhof z opóźnieniem. Emil, wysiadając, słyszy *Knockin' on Heaven's Door* Boba Dylana. Zabiera bagaż i rusza. Kupuje kawę i czeka. Po pół godzinie postanawia zatelefonować.

– *Ja, hallo?*

– *Entschuldigen Sie mich* – odpowiada uprzejmie. – *Ich wählte die falsche Nummer*. – Nie tego głosu oczekiwał.

Sprawdza, czy wybrał właściwy numer. Wychodząc z budki myśli, że nauka niemieckiego w anclu się przydała. Kupuje plan miasta. Przechodzi przez Adenauerallee i mija Hotel Vilage oraz Novum Hotel. Dochodząc do Kirchenallee, obserwuje otoczenie. Parking przed dworcem jest pełen ludzi. Nikt go, poza kamerami, których jest tu wokół pełno, nie śledzi.

– Na parterze sześćdziesięcioletni Serb – powiedział wczoraj brat – ma podupadającą restaurację. W podpiwniczeniu jest pokój z aneksem kuchennym i łazienka, a tam ciepła woda i ogrzewanie.

– Wystarczy.

– Stary potrzebował forsy na operację biodra. Twoje mieszkanie sprzedałem za sto pięćdziesiąt tysięcy. To nam dało czterdzieści tysięcy euro.

– Uhm.

– Czterdzieści tysięcy euro to dobra cena, braciszku.

– Jasne. Dzięki.

– Masz tam wszystko, czego ci będzie trzeba.

– Świetnie się spisałeś. Dzięki.

– Do centrum masz niedaleko, a dzielnica nie jest zła. Czynsz jest niewielki. Jutro dam ci adres, klucze i dokumenty. Spotkamy się na dworcu.

– Uhm.

– W Hamburgu cię nie znajdą.

W pociągu, studiując plan miasta, ułożył plan dojścia pod poszukiwany adres. Zrobił to po części, aby nie sprawiać wrażenia obcego na ulicy, a także dlatego, by odpędzić natrętne myśli podpowiadające mu, że nieobecność brata na dworcu to nie przypadek. Po trzech kwadransach wysiada na odpowiedniej stacji. Trzy minuty później, widząc niebieskie światła radiowozów, techników w białych kombinezonach oraz ulicę zagrodzoną czerwono-białą taśmą, rozumie już, że został sam.

– O w mordę! – mruczy, skręcając w boczną uliczkę. – Kurwa, kurwa mać!

Oddala się szybkim krokiem, po czym siada na ławce i patrzy pustym wzrokiem. Tym razem śmierć przyszła niespodziewanie. Nie potrafili dopaść jego, dopadli coś cenniejszego – myśli, a w jego głowie pojawia się roześmiana twarz. Emil przypomina sobie charakterystyczny, głośny śmiech brata. Jak echo brzmią słyszane wczoraj słowa.

– Dasz sobie radę?

– Powinienem.

– Dbaj o siebie.

– Ty też, braciszku. Do jutra.

Po policzku płynie wielka jak groch łza. Odrywa się i rozbija na kurtce. Gdzieś w okolicy piersi. Tuż obok serca.

– Zapłacicie za to, skurwysyny. Pozabijam was, zatłukę jak szczury, rozdepczę. Przysięgam ci – mówi do siebie.

W jednej chwili spokój Emila zostaje zniszczony. Chęć odcięcia się od starego życia pryska. Były glina wie, że tego nie można wybaczyć. Nie można wybaczyć sobie. To moja wina – myśli, zaciskając zęby, ale zemstę trzeba będzie podać na zimno.

26

Miesiąc później czterdziestojednoletni pacjent wciąż leczy uszkodzoną tętnicę i żyłę ramienną. Leży sam w dwuosobowej sali na końcu korytarza na drugim piętrze. Ewa Ochman zaczyna dyżur. Idąc z wieczorną porcją leków, widzi nieznajomego w sutannie. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jest po dwudziestej pierwszej. Tymczasem po siedemnastej na oddział można wejść jedynie po okazaniu przepustki, legitymacji wojskowej, policyjnej albo skierowania lekarza. Czyżby któryś z pacjentów poprosił o posługę kapłana? Musiałby być umierający – myśli wpatrzona w sutannę. Tego duchownego jeszcze tutaj nie widziałam – przemyka jej przez głowę, gdy znajduje się tuż przed mężczyzną w koloratce.

– Szczęść Boże.

– Bóg zapłać!

Pielęgniarka jest zaniepokojona. Wprawdzie pracuje na tym oddziale zaledwie od trzech miesięcy, to szpital na Szaserów zna dobrze. Jest tu pielęgniarką, odkąd skończyła szkołę. I nigdy nie widziała tego księdza. Jest dla niej na tyle intrygujący, że zaczepia duchownego.

– Proszę księdza?

– Tak?

– Nigdy tu księdza nie widziałam. – Zerka z zaciekawieniem pod kaptur. – Czy ksiądz… – Nie kończy pytania, tracąc przytomność.

Przebrany za księdza otwiera drzwi sali, w której śpi Alek. Bezszelestnie wślizguje się do środka. Przez tę durną babę – myśli, wyjmując spod sutanny radziecki pistolet TT – nie mam czasu.

– Dziewczyny! – okrzyk na korytarzu budzi gangstera. – Pomocy!

– *Daswidania, moj drug*.

Lufa z tłumikiem kieruje się w stronę głowy gangstera. Palec w cienkiej skórzanej rękawiczce naciska spust. Pocisk mija skroń Alka o centymetr. Łuska upada z brzękiem. Pacjent rozpaczliwie się broni. Przerażony zasłania twarz rękoma.

– Pomocy! – krzyczy ktoś na korytarzu.

Drugi strzał, tym razem w korpus, jest celny, zaraz potem pada trzeci i czwarty. Kolejne łuski spadają na podłogę. Postrzelony próbuje się podnieść, lecz zamiast tego upada. Jasnoczerwona krew tryska z przestrzelonej tętnicy i oblewa ścianę.

– Ratunku! – charczy, rozmazując krew na płytkach, Koblowski. – Daruj! – Stara się ukryć pod łóżkiem.

Kolejna łuska z brzękiem odbija się od kafelków. Koblowski nieruchomieje. Zabójca skrywa broń pod sutannę, bez pośpiechu wychodzi, miękko zamykając drzwi. Zbiega po schodach. Dziewczyna pokrzyżowała mu plany. Zostawił ślady, ale najważniejsze, że wyeliminował cel.

– Co się stało? Dopiero zaczęłam dyżur – mówi pielęgniarka.

Odzyskała przytomność. Boli ją głowa. Półprzytomna dotyka skroni, na palcach ma krew. Wtedy uświadamia sobie, co się stało.

– Pchnął mnie na ścianę i upadłam.

– Trzeba zadzwonić na policję.

– I mówisz, że to ksiądz? – pyta któraś. – Na pewno?

– Miał przecież sutannę – wystraszona odpowiada koleżance.

W toalecie dwa piętra niżej morderca wkłada sutannę do plecaka. Zarzuca kaptur bluzy na głowę. Mijając portiernię, unosi dłoń w pozdrowieniu. Stróż kiwa ręką, nie odrywając wzroku od telewizora. Przecież facet to gliniarz. Bo to raz tutaj przychodzili? Kwadrans wcześniej zresztą pokazał mu blachę.

– Pamiętasz coś jeszcze? – pyta dziewczynę oddziałowa. – Twarz, oczy, głos? Cokolwiek, spróbuj sobie przypomnieć.

Przełożona pielęgniarek nie czeka na odpowiedź. Słysząc kroki na korytarzu, otwiera drzwi. Widzi biegnącego sanitariusza. Mężczyzna dyszy i jest przestraszony.

– Siostro! Szybko! – krzyczy. – Biegiem do jedenastki.

– Co się stało?

– Nie wiem! Ktoś nam chyba zastrzelił pacjenta.

27

Iwan przygląda się wnętrzu. Nie wchodzi, lecz uruchamia awaryjne zasilanie mieszkania energią elektryczną w centralce na ścianie przedpokoju. Czeka na aktywację systemów. Dopiero po ukazaniu się na monitorze obrazów z kamer zdejmuje buty i wchodzi. Jego mieszkanie jest bezpieczne.

Wybrał je nieprzypadkowo. Decydowała lokalizacja. Dwupiętrowa, odrapana kamienica o podwyższonym parterze na rogu ulicy się nadawała. Takie usytuowanie to możliwość obserwacji, a także oddalenie ewentualnych stanowisk strzeleckich od celu. Ostatnie piętro to prywatność i cisza. Spory zwis dachu poza obrys budynku utrudnia szturm na linach. Nawet gdyby się o to pokusili, zawisną metr od ściany. Grube, ceglane mury stanowią ochronę przed ostrzałem. Dają też inne możliwości. Pozwalają na zakamuflowany montaż pew-

nych elementów wyposażenia. Połączenie budynku z innymi daje szansę na ucieczkę. System zasilania monitoringu pozwala na jego działanie przez godzinę od wyłączenia prądu. Iwan dobrze wie, że od tego zaczyna się szturm oddziału antyterrorystycznego.

Rosjanin zrzuca ubranie na podłogę. Podchodzi do okna. Wygląda, kryjąc się za sosnowym słupem podtrzymującym dach. Obserwując ulicę przed kamienicą, uświadamia sobie, że bardzo lubi to miejsce. Pod stopami czuje gładkie dębowe deski. Tylko on wie, że pod nimi, w odpowiednich miejscach, ułożone są stalowe płyty. Dzięki nim nawet z broni maszynowej nie można przestrzelić podłogi. Sufit zabezpieczył tak samo. W razie szturmu można się będzie przemieszczać.

Przed wzięciem do ręki telefonu sprawdza działanie systemu antyinwigilacyjnego. Dwa akustyczne moduły przeciwpodsłuchowe zapewniają ochronę przed podsłuchami, pluskwami sejsmicznymi i laserowymi oraz, rzecz jasna, przed rejestracją dyktafonami oraz telefonami komórkowymi. Naciska pilota i zamontowane na oknach rolety z kevlaru się podnoszą. Są odporne na przebicie standardową amunicją karabinową stosowaną przez wojska NATO i radzieckim 7,62 × 54 mm jego ulubionego karabinu wyborowego SWD.

– *Zdrastwujtie, tawarisz* – mówi, uzyskując połączenie.

– Na chuj dzwonisz?

– *Izwinitie*, a bo to zabronione jest zadzwonić do przyjaciela? – odpowiada instynktownie, obserwując monitor.

– Zdurniałeś? Namierzą cię i oddział AT wejdzie z drzwiami na butach do nory, z której dzwonisz.

Iwan się uśmiecha. Rolety oprócz ochrony przed ostrzałem blokują próby podsłuchu. W razie zaistnienia takiej sytuacji informuje o tym wykrywacz. Iwan może dzwonić, ale namierzenie jego telefonu nie jest możliwe.

– Może się chcę na kielicha umówić? Szczególnie że jest okazja – dodaje. – *A kak dieła?*

– Jak leci? Na żarty ci się zebrało?

– A nie pytasz, co za okazja?

– No?

– Rocznica mojej służby u was – mówi głucho Rosjanin. – Ćwierć wieku. To kawał czasu. Może się ze mną napijesz?

– Nie piję – stwierdza rozmówca. – Zdrowie już nie pozwala.

– A szkoda, *moj drug*. Byłoby co opić.

– Powiedziałem, że nie piję.

– *Da, kanieszna*, nie ma za co. – W głosie Iwana pojawia się smutny ton. – Tyle lat dla was pracowałem i tak mi dziękujesz?

Po rozmowie Iwan wyłącza telefon, wyjmuje kartę i podchodzi do okna. Nim zbliży się do parapetu, rzuca okiem na monitor. To weszło mu w krew. Ma wgląd z dwóch kamer na klatkę schodową. Pozostałe cztery obejmują trzy ściany zewnętrze budynku plus widok na podwórze.

– *Da* – mruczy wpatrzony w ogień trawiący plastik w popielniczce. – Nic się nie zmieniło.

Prawda jest jednak zupełnie inna. Dostał zlecenie na rozmówcę, co oznacza, że wkrótce się spotkają. Cóż, pracował dla niego ćwierć wieku, a teraz wiatr powiał w drugą stronę. Myśląc o tym, wchodzi do łazienki, którą przekształcił w bunkier. Każdą ze ścian przed zabudowaniem glazurą, zaopatrzył w płyty pancerne. Tak samo stało się z podłogą i sufitem. Drewniane drzwi wyposażył we wkłady balistyczne z kamizelek kuloodpornych. Wszystko przygotował na czarną godzinę – gdy myślał o ewentualnej próbie likwidacji. Przed wejściem do mieszkania umieścił odpowiednie ładunki, więc próba sforsowania drzwi spotka się z fajerwerkami. Zażywa-

jąc długiej gorącej kąpieli myśli o tym, że zbyt długo nie sprawdzał, w jakim stanie jest jego wentyl bezpieczeństwa, jak nazywał w myślach nieczynny gazowy podgrzewacz. Zamaskował w nim starannie obliczony ładunek wybuchowy. Dziesięć sekund po aktywacji semteks wybuchnie, wybijając przejście do kamienicy obok. Musi sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na to, co może się stać każdej nocy. Tym bardziej że znów się obudził.

28

Ulica tapla się w błocie. Poruszanie się wymaga uwagi. Tymczasem podporucznik Piotr Zabawa stara się iść jak najszybciej. Pokryty skorupą topniejącego śniegu chodnik tego nie ułatwia. Nie pozwala Zabawie na ucieczkę. Śledzony stara się nie dać poznać, że spostrzegł śledzącego. W ten sposób ma szansę, by zniknąć.

Zimowe niebo ciemnieje. Mimo że kilkanaście minut temu minęła siedemnasta, jest już ciemno. Miasto nurza się w kolorowej tandecie witryn. Zabawa wchodzi do apteki u zbiegu ulic. W ten sposób zyskam na czasie – myśli, popychając okute stalowymi nitami drzwi z drewna. Zaczepia o futrynę walizką, zwracając tym uwagę klientów. Dzwonek obwieszcza wejście. Wraz z mężczyzną do apteki wdziera się zawodzenie wichury, zagłuszającej dźwięki z ulicy. Odgłos dzwonka zlewa się z klaksonem samochodu. Przybysz kurczowo ściska klamkę. Wygląda na zaskoczonego, jak gdyby niespodziewanie zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

– Zamyka pan, do cholery! – przekrzykuje wiatr tłuścioch po czterdziestce.

Przybysz wciąż stoi nieruchomo. Wreszcie pod naciskiem nieprzychylnych spojrzeń z trudem zamyka drzwi.

– Wietrzył nas będzie – mruczy ktoś pod nosem.

– I to w wichurę – wtóruje grubemu babsztyl z torbą zakupów. – Nic dziwnego, że tyle ludzi w kolejce. W taką pogodę wszyscy chorują – odpowiada ktoś inny.

Ludzie mruczą pod adresem Zabawy. Ktoś ostentacyjnie kręci głową. Ostatnia w kolejce dziewczyna obrzuca mężczyznę spojrzeniem pełnym dezaprobaty, ale jest w nim zaciekawienie. Z pewnością ma około trzydziestki – myśli – jest przystojny i blady jak ściana. Wygląda na studenta ostatnich lat, jak ona, albo – poprawia się w myślach – bardziej jak adiunkt.

– Prze… Przepraszam. Czy ktoś… Ktoś z państwa ma, ma… – jąka się. – Ma może chusteczkę?

Kilkoro oczu zwraca się raz jeszcze w kierunku jąkały. Od początku było w nim coś nienaturalnego. Wydał się dziwny, jakby kij połknął. Dziwak – myślą ludzie.

– Już panu daję. Chwileczkę. Mam gdzieś w torebce – odpowiada bez zastanowienia dziewczyna i rzuca z uśmiechem: – W taką pogodę trzeba sobie pomagać.

Pozostali również się uśmiechają. Nieoczekiwane zachowanie obcego rozładowuje atmosferę oczekiwania.

– Bardzo dziękuję.

Dziewczyna zerka zaciekawiona. Jest szczupły, wysoki i atrakcyjny. Nagle przybysz spogląda na zawartość chusteczki i dziewczyna odwraca wzrok z obrzydzeniem. Co za maniery – myśli wpatrzona w wystawę, kiedy ten znów zwraca uwagę.

– Pro… Proszę wezwać karetkę.

Spoglądają na niego: na płytkach, przy stopach mężczyzny, coś się pojawia. To czarna kropka. Zaraz dołącza do niej następna. A potem jeszcze jedna. Dziewczyna poznaje ten kolor, rozumie, musi rozumieć – nie tylko studenci medycyny

potrafią rozpoznać krew. Przybysz upada, w aptece rozlega się przeraźliwy krzyk. Czarna walizka wypada mu z ręki.

29

Emil spędza następne tygodnie na ulicach. Zaskakujące, jak szybko można wpaść w bezdomność i wykluczenie. Zarost na jego twarzy staje się dłuższy, tak samo jak włosy. Ubranie brudniejsze. Włócząc się po dworcach, noclegowniach i ulicach mężczyzna starannie unika narkomańskich i pijackich melin. Odkrywa to, czego nie dostrzegają turyści. Twarz europejskiego miasta portowego bez maski.

– Co się stało?

– Nic.

– Nieprawda – odpowiada Słowak, z którym trzyma się Emil. – Nikt nie zostaje bezdomnym bez powodu.

– Nie miałem powodu, miałem pecha.

Kiedy i inni pytają go, jak znalazł się na ulicy, rzuca tę samą, przygotowaną wcześniej odpowiedź.

– *Ich habe Pech gehabt.*

Sypia w pustostanach, żywi się w katolickich misjach, ośrodkach „Barka" oraz Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Rozmawia z ludźmi z ulicy: Kurdami, Słowakami, Turkami czy Niemcami, którzy byli kimś za Honeckera. Coraz lepiej operuje niemieckim.

– Kim jesteś?

– Człowiekiem poza nawiasem – odpowiada niezmiennie.

Dopiero teraz dostrzega wartość rzeczy, na które wcześniej nie zwracał uwagi: łóżko, ciepło, woda, świeży chleb. Bezdomność nie jest związana z posiadaniem dachu nad głową lub jego brakiem. Rozumie, że bezdomność to stan umysłu. Emil nie wybrał jej, ona wybrała jego. Nigdy nie był gwiazdą socjogramu, ale teraz, na ulicy, przestał już być potrzebny.

Niczym odchody. Potrzebny przestał być zresztą wcześniej, nim ruszył tamtą sprawę. Teraz jest tylko jeszcze jednym szczurem wałęsającym się w poszukiwaniu resztek jedzenia po ulicach miasta w obcym kraju.

Potrzeba nauczyła go szukać chleba. Zadziwiające, jaka przepaść istnieje między ludźmi zastanawiającymi się, co zrobić na kolację, a tymi, którzy myślą o tym, by zapełnić brzuch – myśli, wpatrując się w wystawę sklepu ze sprzętem AGD i RTV.

– Dziś Sąd Najwyższy orzekł – wybudza go z otępienia – że wyroki sądów okręgowego i apelacyjnego skazujące byłego senatora Edwarda Lipskiego na karę trzech i pół roku pozbawienia wolności – mówi prezenter z telewizora – to pomyłka polskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Pomyłka? – Wargi Emila poruszają się niezależnie od jego woli. – Pomyłka?

– Senatora pięć lat temu zatrzymano w związku z podejrzeniem kierowania zorganizowaną grupą przestępczą mającą zajmować się przemytem, produkcją oraz handlem amfetaminą. Sąd pierwszej instancji orzekł, że senator jest winny i skazał reprezentanta Mniejszości Niemieckiej w polskim senacie na karę więzienia. Wyrok się nie uprawomocnił. Po apelacji sąd uznał, że nie ma mowy o kierownictwie sprawczym byłego senatora i zmienił kwalifikację czynów na pomocnictwo.

– A gówno, nie pomocnictwo – mruczy Emil, nikt jednak nie zwraca uwagi na gadającego do siebie bezdomnego.

– Senatora uznano za winnego pomocnictwa w przestępstwie i skazano na trzy lata pozbawienia wolności. Z uwagi na stan zdrowia zdecydowano o warunkowym zawieszeniu kary.

– O w mordę, skurwysyn!

– Obrońcy senatora się nie poddali. Skierowano wniosek o kasację wyroku. Podważono dowody. Wyłączone ze śledztwa postępowanie przeciwko policjantom wykazało, że nadużyli uprawnień i dopuścili się korupcji.

– Jak chuj!

– Polskie prawo nie uznaje dowodów uzyskanych niezgodnie z prawem, w myśl tak zwanej doktryny owoców zatrutego drzewa. Senator Lipski, obecnie eurodeputowany, został oczyszczony z zarzutów. To ostateczna decyzja w tej sprawie.

Na ekranie pojawia się triumfująca twarz. Kamera się zbliża. Były policjant nie może patrzeć.

– A chuj z tobą! – Odwraca się i rusza. – Frajerze!

Jednak to Emil jest frajerem. To, co przed chwilą usłyszał, przygniata go niewidzialnym ciężarem, choć niewiele teraz zmienia. Przez następne tygodnie błąka się po chodnikach ubrany w łachy z pomocy społecznej, głodny, wychudzony i zaniedbany.

30

Zabawa nie czuje bólu. Jest ciepło, sennie. Piszczy w uszach jak kiedyś telewizory po zakończeniu programu. Wybucha muzyka. Czuje, jakby zapadał się pod podłogę. Słyszy niewyraźne głosy gdzieś wokół. Dopada go chór, tym razem bardzo wyraźny. Widzi siebie w drugim rzędzie, w mundurze ćwiczebnym dzień przed wyjazdem do Piły na szkolenie podstawowe w Szkole Policji.

– Służyć wiernie narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia… I wszystko znika. Zapada ciemność, by później w tunelu pojawiło się światło, zbliżające się i oddalające. Tak się więc umiera – myśli. Och, jak to boli. Powinienem myśleć

o Bogu, a nie o bólu – dociera do niego myśl i ktoś brutalnie wyszarpuje go na powierzchnię. Jakby schwycono go za ramiona i wyrwano spod podłogi. Otwiera oczy.

– Czy pan mnie słyszy? – krzyczy dziewczyna od chusteczek. – Co ci się stało? Odpowiadaj. Słyszysz mnie?

– Tak.

– Zaraz przyjedzie karetka. Na co jesteś chory?

– Nie jestem. Posłuchaj…

– Musisz powiedzieć. Co ci się stało?

– Masz! – Podaje jej karteczkę. – Weź walizkę i uciekaj.

– Jaką walizkę? Jesteś cukrzykiem? Ćpałeś coś? – Dziewczyna zerka na kawałek papieru z adresem. – Bierzesz leki? Skąd ta krew?

– Weź walizkę i uciekaj. Słyszysz?

– O czym ty mówisz, do jasnej cholery?

Wpatrzeni w tę scenę klienci apteki kiwają ze współczuciem głowami. Dziewczyna słyszy, jak szepczą, że chłopak bredzi. Nagle nad ich głowami odzywa się jakiś głos.

– Chyba chodzi mu o tę tutaj. – Grubas, który odezwał się pierwszy, kiedy Zabawa pojawił się w drzwiach, wskazuje niewielką płaską walizkę.

– Cholera, nie zdążyłem. – Zabawa sączy z ust krew ze śliną. – Weź to, weź walizkę i uciekaj.

– Oszalałeś?

– Nie oszalałem. Rób, co mówię.

– Jesteś ranny, zaraz tu będzie karetka. Potrzebujesz pomocy i bredzisz.

Zabawa sięga pod plecy. Dziewczyna patrzy na twarz pełną bólu, niczego nie rozumiejąc. Kiedy jednak widzi broń przyłożoną do czoła, wreszcie pojmuje.

– Rób, co mówię.

Chwilę później drzwi znów skrzypią, rozlega się głośny dzwonek. Na dworze nadal szaleje śnieżyca.

31

Ryszard Lipski, a raczej Richard Lipsky, bo takie nazwisko polityk ma wpisane w paszporcie, ostatnio rzadko bywał w swojej rezydencji. Obowiązki eurodeputowanego nie pozwalają na mieszkanie z dala od polityki. A dla Lipskiego polityka to teraz Bruksela, no i oczywiście Warszawa, nie zaś obrośnięty bluszczem dom z ogrodem nad jeziorem w lasach na Opolszczyźnie.

– A przy okazji – mruczy. – Potrzebowałbym twojej pomocy.

– W czym?

– Pamiętasz tego glinę, który kiedyś – nalewa policjantowi wódki – narobił nam tyle kłopotów?

– Nie bardzo.

– O mały włos mnie wtedy nie załatwił… Nie pamiętasz?

Kieliszki pokrywają się szronem. Lipski podjął Jana Polla w salonie. Wybrali na spotkanie Osowiec z kilku powodów, przy czym dla obu korzystne było spotkanie z daleka od dziennikarzy, wielkomiejskiego zgiełku i warszawskiego pośpiechu.

– Nazwisko mi uleciało, ale kojarzę. To stara sprawa.

– Fakt, minęło pięć lat.

– To ten glina z Opola?

– Tak.

– Jak mu tam było?

– Emil Stompor.

– Komisarz?

– Komisarz – wycedził przez zęby Lipski. – Psia jego mać! Facet już wyszedł z więzienia.

– I co?

– Boję się, że znów narobił nam kłopotów.

– Nam?

– A komu? Najpierw mnie, potem tobie. Zresztą jak chcesz, to mogę z tym iść dalej. Na przykład do ministra, pewnie mi nie odmówi…

– Dobra już, dobra. Dajże spokój. Napijmy się. – Zastępca unosi kieliszek. – Na zdrowie.

– Na zdrowie.

Milkną, zagryzając pieczonym combrem w pikantnym sosie z borowików.

– Przepyszny dziczek.

– Zajmiesz się tym?

– Czemuś nie zrobił z nim porządku, jak siedział? – mówi policjant. – Nie masz możliwości, żeby zorganizować taką sprawę? Jeszcze za kratkami. Tam łatwiej o takie rzeczy.

– Próbowałem, ale nie jest w ciemię bity.

– No, ale jak wyszedł, to z kimś się spotykał, co? Przecież rodzinę ma albo kumpli.

– Brata miał w Niemczech, ale sprawa nieaktualna. Rodziny nie ma. Ważne, że – Lipski przechodzi do rzeczy – facet zniknął.

– Jak zniknął?

– Rozpłynął się w powietrzu.

– To co, z lampy Aladyna wyskoczył? Musi gdzieś być!

– Wiem, że musi, ale nie ma. Zniknął, nie daje znaków życia. Nic. Wynająłem detektywa. Śledził go, sprawdził konta, Internet, linie lotnicze, autobusy. Długo szukał. Sporo kasy zapłaciłem i ani śladu. Nic, kurwa, nie ma go.

– Uhm.

– Słuchaj, Janek – zniża głos Lipski. – Taki facet nie znika. Był dwadzieścia lat gliną, a my zrobiliśmy mu koło dupy i jest nikim. Wie, że chciałem go posłać na tamten świat.

– No?

– Wie też, że śmierć brata to nie wypadek. Boję się, że się odnajdzie. I to w najmniej oczekiwanym dla nas momencie.

– Czyli się gdzieś ukrywa.

– To przecież byłby jakiś ślad u was. Ktoś musiałby go wrzucić na bęben.

– A ty co, do nas też masz dostęp?

– Mówiłem ci, że sporo mnie to kosztowało.

– Dobra, czego chcesz?

– Musisz zrozumieć – mówi Lipski. – Odebraliśmy mu wszystko, co miał. Jeśli będzie chciał wziąć odwet, to spróbuje. Jestem pewien. I do ciebie też dotrze.

– A co ja mu zawiniłem?

– A kto go z roboty wywalił? Przecież byłeś wojewódzkim w Opolu po tej aferze. Zwolniłeś go dla dobra służby, nim został skazany.

– Nie pamiętam.

– Myślisz, że on zapomniał?

– I co?

– I to, że teraz jesteś w Warszawie. Nie zapominaj, dzięki komu.

– Czy ja mówię, że zapomniałem?

– Trzeba z nim zrobić porządek.

– Co proponujesz?

– Mój detektyw ustalił, że spotkał się z tą dziewczyną. – Lipski podaje Pollowi zdjęcie. – Na odwrocie masz adres i nazwisko.

– Uhm.

– Podobno jest policjantką.

– O, to ciekawe. – Poll wyciera usta chusteczką. – A gdzie?

– Tego nie wiem. Po to mam ciebie. Detektyw stwierdził, że ona nie pracuje na ulicy.

– Niewiele.

– To jedyne, co mam.

– Trochę dziwne.

– Dlaczego?

– No, że ona jest policjantką. Po czymś takim zapomina się o ludziach, ale fakt, ludzie nie zawsze potrafią zapomnieć. Zobaczymy.

– Co zobaczymy?

– Pójdę z tym tam, gdzie trzeba. Mam dostęp do ludzi. Posprawdzają to i owo. Założymy podsłuchy wszystkim, z którymi mógł mieć kontakt, i na wszelki wypadek sprawdzi się połączenia internetowe. Coś wyjdzie. Jeśli facet żyje, namierzymy go – odparł Poll, przy okazji zastanawiając się, czego dowiedzieli się gliniarze z warszawskiego Archiwum X.

– Mam nadzieję. To co, jeszcze po jednym?

– Pewnie! – Poll kiwa głową, podnosząc butelkę. – Dzik palce lizać.

Dom niewiele się zmienił, jednak drzewa wokół urosły, bluszcz się rozrósł i najmłodsze pędy sięgnęły dachu. Gdzieś szczeknął pies, któremu odpowiedział inny, po czym ucichło. Ludzie nie przepadają za wychodzeniem z domów, kiedy za oknem mróz.

32

Mimo że termometr wskazuje temperaturę trzy i pół stopnia powyżej zera, komisarz Franciszek Mreges, wysiadając z ciepłego wnętrza fiata, czuje ziąb. Kieruje się w stronę dowodzącego zabezpieczaniem. Wiatr zacina śniegiem i deszczem.

– Melduję się – zaczyna policjant w czarnym mundurze – starszy aspirant…

– Dajże spokój. Franz jestem. Lepiej powiedz, co się stało? – Glina spluwa na mokry chodnik.

– Nie wiem – odpowiada aspirant. – Sraczka.

– A jakieś szczegóły?

– Trup miał gnata.

– Następny, kurwa, trup. Nigdy z roboty nie wyjdę.

– Umarzać trzeba.

– Co to za broń?

– Glock dziewiętnaście. I dwa magazynki. Sprawdzają, czy jest legalna.

– Cholera. – Franz unosi brwi. – To mi nie pasuje.

– Nie rozumiem.

– Warszawa to nie Waszyngton albo jakiś jebany Bronx, żeby nosić taką broń. Glock nie jest ulubioną bronią bandziorów. Chyba że tych z najwyższej półki. Była przeładowana?

– Tak.

– Co jeszcze?

– Świadkowie mówią, że niczego nie zauważyli. Śmierć niemal na miejscu.

– Co znaczy niemal na miejscu?

– Bo nie wiadomo, kiedy dostał. Dopiero ustalamy i rozpytujemy. Wychodzi, że wszedł do apteki postrzelony i padł.

Mreges spogląda na skrzyżowanie. Zwraca uwagę na okna. Zamiast cokolwiek powiedzieć, wyjmuje zapalniczkę. Pociera ją o nogawkę na udzie i po kilku próbach zapala papierosa.

– Wszedł tu postrzelony?

– Chyba tak. Świadkowie mówią, że jak padł, to potem przyłożył broń jakiejś dziewczynie i kazał jej uciekać z walizką. No i zwiała. Też bym tak zrobił. Zanim przyjechała karetka, umarł.

– Łuskę macie?

– Nie.

– Pocisk?

– Prawdopodobnie w ciele. Jest tylko rana wlotowa.

– O której to było?

– Po piątej.

– Po piątej? – powtarza Mreges, mrużąc oczy. – Skąd wiesz, że wszedł tu postrzelony?

– Nikt nie słyszał strzału.

– A ślady krwi?

– Są. Już zabezpieczone – odpowiada aspirant.

– Gdzie?

– Na kafelkach.

– A na chodniku? Na schodach? – dodaje z niechęcią Franz.

– Nie.

– Dokumenty ma? Portfel?

– Zabezpieczone.

Policjant odchodzi z papierosem. Przesuwa się ulicą w zamyśleniu. Niby pali, lecz przy okazji się rozgląda. Zatrzymuje się obok posterunkowego z ogniwa patrolowo-interwencyjnego. Stąd ma najlepszy widok na wejście do apteki. Oświetlony latarniami róg kamienicy, przy skrzyżowaniu ruchliwych ulic, trochę dalej plac – myśli – niezbyt dobre miejsce na strzelaninę. Ktoś z pewnością musiałby coś przecież zauważyć albo usłyszeć. Krew tylko w aptece. Czyli strzał musiał paść gdzieś przed wejściem, blisko – analizuje w myślach. Tymczasem radiowozy, policjanci, karetki pogotowia ratunkowego przyciągają gapiów. Mreges spogląda na nich. Patrzy, aż papieros nadpala już prawie filtr.

– Co o tym myślisz? – zagaduje posterunkowego.

– Nie wiem. Nie jestem stąd.

– A skąd?

– Z Piaseczna.

– No widzisz – uśmiecha się gorzko Mreges. – Mnie ściągnęli z dyżuru domowego.

– Służba.

– Służba. Masz rację.

Nagle ktoś z tłumu trzaska fleszem. Czyli już dojechali – myśli Mreges o dziennikarzach.

– Przydałoby się ich przegonić. Nic tu po nich.

– Tak jest!

– Co chcesz zrobić?

– Poinformować, że to zbiegowisko, i wezwać do rozejścia się.

– A jak nie pójdą?

– Nałożyć kwita.

– Uhm – mruczy Mreges. – Kwita.

Dziw bierze, że ustawa o policji nie zaczyna się od słów: „Tworzy się Policję jako umundurowaną i uzbrojoną formację służącą do grabienia pieniędzy od społeczeństwa z wykorzystaniem wszelkich dostępnych metod, z których najbardziej skuteczną jest mandat karny kredytowany".

– Kiedy skończyłeś szkołę?

– Melduję, że w styczniu.

– W styczniu mówisz? To posłuchaj. Jak tak zrobisz, to się odsuną, żebyś nikogo nie dorwał. Zrobisz z siebie tylko idiotę. Rozumiesz?

– Tak jest.

– A ja nie chcę, żeby tu łazili. I nie chcę, żeby robili z ciebie idiotę. Dziś zabezpieczasz miejsce zdarzenia. Może jutro trafisz na rejon ze znakiem stop, to nadrobisz mandaty.

– Tak jest, ale… To co mam zrobić?

– Patrz. – Mreges sięga do kieszeni na piersi i wyjmuje etui z czarnej skóry. – Szanowni państwo. – Podchodzi do taśmy odgradzającej gapiów tak, żeby widzieli legitymację. – Proszę się nie rozchodzić i przygotować dokumenty, najlepiej dowody osobiste. Za chwilę policjant za mną – pokazuje na krawężnika – państwa wylegitymuje. Potem wezwiemy panów i panie, spiszemy zeznania. Świadkowie będą potrzebni w sądzie.

– Nie patrz na nich. Pieprzona pogoda.

– Tak jest.

– I nie mów ciągle „tak jest”. Wkurwia mnie to. Nie jesteś w szkole.

– Tak je…

Policjant uśmiecha się, patrząc na speszonego młodzika. Też kiedyś był jak on – myśli. Najpierw prewencja, potem klepanie dochodzeń. Na oficerkę trafił tylko dlatego, że wytypowany kandydat złamał nogę. A w policji liczy się sztuka. Delegowany miał być jeden, więc ktoś musiał pojechać. I tak dostał pierwsze dwie gwiazdki. Tymczasem ludzie ukradkiem ulatniają się z miejsca zabójstwa. Żaden nie ma ochoty łazić po sądach. Przed upływem minuty za taśmą nie ma nikogo.

– Rozłażą się – odpowiada zarumieniony posterunkowy.

– Spieszmy się straszyć gapiów, bo tak szybko odchodzą.

– No widzisz. Patrz i się ucz. Wiecznie żył nie będę.

Detektyw omiata wzrokiem drzwi apteki, ale niczego nie zauważa. Ogląda się, po czym wchodzi do środka. Zwraca uwagę na dzwonek. Zatrzymuje się na chwilę, znów spoglądając za siebie, po czym przechodzi nad przykrytym mieniącą się złotym kolorem folią ciałem. Podchodzi do Rudej przy technikach.

– Macie łuskę?

– Nie.

– Tak myślałem – mruczy. – Sprawdziliście monitoring?

– Sprawdzamy.

– On wiedział – wskazuje ruchem głowy ciało – że ktoś chce go zabić.

– Dziwne. Skąd wiesz?

– Najbliższe dwa sklepy – wskazuje oddaloną o kilkadziesiąt metrów witrynę – to masarnia i z zabawkami. Po siedemnastej były zamknięte. Mógł wejść tylko tutaj. – Wskazuje szyld przy wejściu. Apteka jest czynna do dziewiętnastej.

– Może chciał kupić leki?

– To wygląda na kolejną robotę naszego zawodowca.

– Skąd wiesz?

– To egzekucja.

– Czemu tak myślisz?

– Ludzi tu pełno, a nikt nie słyszał strzału.

– Może przyszedł tu, bo postrzelono go gdzieś dalej – kombinuje Ruda. – A tutaj szukał pomocy? Do szpitala daleko. Ja w takiej sytuacji wszedłbym do apteki.

– Strzelono mu w plecy?

– Tak.

– Dostał w wejściu. Gdyby zarobił kulkę na ulicy, zanim tu wszedł, ulałby juchy na chodnik, a na chodniku krwi nie ma.

– Uhm.

– I nikt nic nie słyszał. Ani nie widział. – Mreges spogląda na okna w pobliżu skrzyżowania. – Czyli tłumik. – Jeden strzał, prawdopodobnie spory kaliber. Identycznie jak w przypadku Markowskiego, Alka i Wołowiny. Znajdziemy kulkę, będziemy wiedzieć więcej. A swoją drogą ciekawe, że nie ma łuski – mruczy – więc sprawca zadbał, byśmy jej nie znaleźli.

– Niby jak?

– Użył rewolweru albo zabrał łuskę. Poza tym musiał mieć tłumik. A rewolwerów i tłumików używają profesjonaliści. I co z tym monitoringiem, macie coś? – rzuca do chłopaków z grupy.

– Sprawdzamy, panie komisarzu.

– Franz, może to był mały kaliber. Jest śnieżyca, wieje, samochody jeżdżą i nie było słychać.

– Możliwe, ale na mój gust nie. Robota jest czysta, profesjonalna. Gdybym ja chciał go wykończyć, nie użyłbym sportowych kalibrów.

– Bo założyłeś, że to zawodowiec. Do tego ten sam co ostatnio. A może…

– Nie, Ruda. Nie masz racji. Gdybyś nie miał dostępu do skuteczniejszej broni, to czy strzelałbyś tak z takiej dziecinnej pukawki?

– Uhm, racja. Strzeliłbym przynajmniej trzy razy.

– Widzisz? Tymczasem gość dostał jedną kulkę i wykitował. Będą wyniki sekcji, będziemy wiedzieć więcej. Znajdziemy kulkę, to CLK nam może coś powie. Poczekamy do jutra.

– Chyba dłużej – odpowiada Ruda. – Na jutro na pewno nie da rady.

– Czemu?

– Zawaliliśmy mercedesów robotą. Kula od Wołowiny, od Kikira i całe żelastwo wpakowane w Alka. Mają w cholerę roboty. Dobrze, że chociaż sprawę komendanta zrobili do końca.

– Do końca – drwi Mreges. – W chuju! Mają robić i mnie to nie interesuje. A co to moja wina, że bandyci strzelają do siebie jak kaczki?

– To sam im to powiedz. Zresztą jutro sobota.

– Kurwa mać. Dobra. Trudno. Jak najszybciej po sekcji muszę mieć kulę.

– Po co?

– Wyślesz ją do CLK. Chcę wiedzieć, jaka to była broń i czy wcześniej już była użyta. Mamy coś jeszcze?

– Dziwne.

– Co?

– Jakieś garnitury tu idą. – Ruda wskazuje okno.

Franz zerka i widzi, jak przy posterunkowym stoi elegancko ubrana kobieta i zbudowany niczym wielkolud mężczyzna w płaszczu. Pokazują legitymacje, a potem idą w kierunku apteki.

– No proszę. Już się zaczęło?

33

Były glina przyzwyczaja się do życia na ulicy. Przyzwyczaić się można do wszystkiego i do wszystkiego przystosować. Jednak pewnej chłodnej nocy coś się zmienia. Emil widzi trzech muzułmańskich smarkaczy mających się za gangsterów. Gówniarze próbują okaleczyć bałkańską kurewkę.

– Dajcie jej spokój – mówi, kiedy straszą ją brzytwą.

– Spieprzaj, dziadu.

Emil rozwala gnojkowi głowę o latarnię. Drugi ucieka, a trzeci przykłada Emilowi do czoła pistolet. Wystarcza jedno spojrzenie: to polski CZAK. Wychowany na tej broni były gliniarz dostrzega skrzydełko bezpiecznika na dole.

– Dzieciaku – syczy po niemiecku. – To nie zabawka. – Chwyta chłopaka za nadgarstek, po czym wykręca go tak boleśnie, że młody pada na kolana. – Nigdy nie wymachuj bronią, nie będąc gotowym do jej użycia.

– Puść!

Ułamek sekundy później kopie chłopaka w wątrobę. Odbezpiecza złom i przeładowuje. Sekundę później chłopak pod żebrami, z prawej strony, czuje ból doprowadzający do mdłości, który zmusza go do oparcia się czołem o bruk. Kopniak gruchocze nieszczęśnikowi przegrodę nosową. Na chodnik skapuje krew.

– Wstawaj!

– Co? Co chcesz zrobić?

– Prowadź do szefa albo zarobisz kulkę. W kolano. – Emil przydeptuje chłopakowi dłoń. – A jak mnie wkurwisz, to ci jajka odstrzelę, gnojku. *A kupton ti?* – dodaje po albańsku.

– Tak, tak. Rozumiem.

Młodzik nie zastanawia się długo. Wstaje, ociera rękawem krew z nosa i trzymając się za brzuch, rusza. Z lufą pod pachą prowadzi Emila do klubu w St. Pauli. Kilka minut później są na miejscu. Młodzik puka w drzwi od zaplecza. Ulica jest wąska, z kratek ściekowych unosi się para. Otwiera im potężnie zbudowany ochroniarz w błyszczącej marynarce, białym podkoszulku i dżinsach.

– Co jest? Co ci się stało?

– Gówno! – Emil wciska lufę smarkaczowi między żebra. – Kolega zaraz ci opowie.

Ten, syknąwszy z bólu, w krótkich zdaniach po albańsku wyjaśnia sytuację. Goryl obrzuca Emila spojrzeniem, po czym kręci głową i znika.

– Wiesz, że cię zabiją – cedzi przez zabarwione krwią zęby młodzik. – Za to…

– Pamiętasz, co ci mówiłem o kolanie?

Otwierają się drzwi. Emil uważnie patrzy na albańskiego goryla.

– Mogę prosić – ochroniarz wyciąga wielką jak szufla dłoń – o broń?

– Oddam w środku.

Mężczyzna ma ponad dwa metry wzrostu. Luźne spodnie oraz marynarka skrywają umięśnione ciało, ale obcisła koszulka nie kryje faktów. Emil wie, że w walce wręcz nie miałby z nim szans i dopóki jest uzbrojony, może coś wskórać.

– Rób, co mówi – prosi młodzik.

Ochroniarz zastanawia się, co powinien uczynić. Spogląda na Emila i na chłopaka. Znów przenosi wzrok na Emila.

– Tylko pełna kultura. To nie jakaś speluna. Bez numerów. – Odchyla marynarkę. – Mam nadzieję, że mnie pan rozumie?

Emil widzi pod pachą goryla niemiecki pistolet w lekkiej kaburze.

– Nie będziesz go musiał użyć – syczy.

– Mam nadzieję.

Wchodzi ostrożnie, zapisując w pamięci, że bramkarz jest mańkutem. Natychmiast po wejściu ktoś przykłada Emilowi do skroni lufę. Oprócz trzymającego go na muszce i bramkarza, który go tu wpuścił, jest jeszcze trzech innych. Wcale go to nie dziwi.

– Spokojnie! – Wciąż wbija lufę między żebra zakładnika. – Gdybym chciał gówniarzowi zrobić krzywdę, już by nie żył.

– Czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę?

Najniższy ze stojącej przed nim trójki ma na sobie czarne dżinsy, czarny krawat i tak samo czarną błyszczącą koszulę. Wygląda raczej jak doradca gangstera niż goryl.

– Chciałbym porozmawiać z waszym szefem. Nie martwcie się. To pokojowa wizyta. Oddam wam ten polski złom.

Emil dostrzega, jak wzrok elegancika wędruje w kierunku typa gotowego zastrzelić byłego gliniarza. Ubrany na czarno

znika. W lokalu jest ciepło. Emil czuje ściekający po plecach pot. Kiedy elegant wraca, Emil posłusznie oddaje pukawkę dzieciaka, uprzednio zabezpieczając pistolet. Przeszukują go, zabierają dowód osobisty, a potem prowadzą w głąb lokalu. Elegant idzie przodem, a z tyłu ciężko kroczy olbrzym w białej koszulce.

– Oto pan Agron Krasniqi – mówi w drzwiach elegant. – Zapraszam.

– *Mirëdita!* Panie Krasniqi – wita się po albańsku Emil.

Gangster siedzi rozparty w fotelu. Pomieszczenie jest bez okien, wypełnia je zapach tureckiego tytoniu. Gospodarz o smagłej twarzy i starannie wypielęgnowanym zaroście unosi podbródek. Ciemnymi oczyma przygląda się Emilowi. Ten jest wychudzony, nieogolony i ma na sobie bluzę Flecktarn Bundeswehr. Zapewne śmierdzi.

– *Mirëdita!*

Krasniqi wstaje i bez uśmiechu podchodzi. Ochroniarz podaje mu dokument Emila. Gangster zerka i przez kilka sekund wpatruje się w oczy Emila. Wreszcie uśmiecha się, lecz jego spojrzenie jest wciąż dzikie, czujne i zimne.

– *Pol*?

– Tak, Polak.

– Skąd zna pan nasz język? – pyta po niemiecku Krasniqi.

– Nie znam, ale w polskim więzieniu można się wiele nauczyć.

– Widzę, że szuka pan kłopotów?

– Szukam przyjaciół. A jeśli chodzi o kłopoty, to chcę pana przed nimi ochronić.

Krasniqi nieświadomie unosi brew. Przenosi wzrok na ochroniarza, wymieniają uśmiechy, po czym Albańczyk rozsiada się w fotelu.

– W takim razie proszę siadać. – Krasniqi wskazuje gestem fotel. – Ochronić, powiada pan. W takim razie co pana do mnie sprowadza?

– Szukam pracy.

– Czy to *Arbeitsamt*?

– Problem w tym, że nie mogę iść do urzędu pracy. Mam kłopoty z pamięcią. Konkretnie z zapamiętywaniem. Dlatego przychodzę do pana. Potrzebuję nazwiska. I dokumentów.

– Dlaczego zwraca się pan do mnie? I do tego w taki – Krasniqi wykonuje nad głową nieokreślony ruch dłonią – nietypowy sposób?

– Ponieważ wiem, że pan może mi pomóc. A ja mogę pomóc panu.

– Czego pan oczekuje?

– Jeśli mi pan powie, jak się będę nazywał – wyrzuca jednym tchem Emil – powiem panu, na co się mogę przydać.

– Obawiam się, że nic z tego nie będzie. Nie jestem przestępcą – odpowiada z nieszczerym uśmiechem Krasniqi. – Prowadzę biznes. To, co pan mi proponuje, nie jest legalne.

– Nie jestem gliną.

Krasniqi sięga po papierosa, wyjmuje jednego i częstuje Emila. Ten odmawia energicznym ruchem głowy. Krasniqi wzrusza ramionami i bezradnie rozkłada ręce.

– Przykro mi.

– Pana ludzie to amatorzy. Jeśli dalej tak pan będzie prowadził swój biznes…

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– …pójdzie pan siedzieć.

– Zresztą – macha ręką Krasniqi – nie odpowiadam za to, co po pracy robią moi ludzie. Oczywiście wezmę to pod uwagę…

– Panie Krasniqi – przerywa Emil, unosząc dłoń – skończmy tę farsę.

– Dość! Nie będziesz mi, Polaczku, rozkazywał!

– Jeszcze nie skończyłem.

– Luan!

Osiłek rusza w stronę Polaka, lecz ten uderza go pięścią w splot słoneczny. Cios zabiera bandziorowi oddech. Emil wyszarpuje z przewieszonej pod ramieniem osiłka kabury broń, przeładowuje i kieruje lufę w czoło Agrona Krasniqi.

– Jak powiedziałem, przyszedłem tu jako przyjaciel, nie jako wróg, ale słabo mówię po niemiecku, więc wolę powtórzyć.

Emil odłącza magazynek. Wyrzuca nabój z komory, łapiąc go w powietrzu niczym muchę. Kładzie na stoliku broń, magazynek i nabój pociskiem do góry. Ochroniarz wciąż łapie powietrze. Twarz Emila jest spokojna, nie wyraża emocji. Wygląda, jakby wykonał ruch, dzięki któremu król jest szachowany.

– Z całym szacunkiem, czy teraz będzie mnie pan traktował poważnie?

Krasniqi wpatruje się w bezczelnego Polaka. Tłumi wściekłość, ale widać, że prezentacja zrobiła na nim niemałe wrażenie. Emil wytrzymuje wściekłe spojrzenie.

– To może sporo kosztować – zaczyna ostrożnie Albańczyk.

– Naturalnie.

– Nie pyta pan ile?

Rozmawiają następne minuty, po czym Emil dostaje czyste ubrania. Maszynka do włosów, kąpiel i wizyta u fotografa. W kilkanaście minut znów wygląda jak istota społeczna. Mała zaliczka i wizyta w urzędzie spraw obywatelskich w towarzystwie elegancika w czerni. Rozmowa z pracownikiem *Bürg-*

eramtu i podpis na formularzu. Teraz pozostaje zobaczyć nowe lokum i czekać na obowiązki.

34

Karlos całymi dniami przesłuchuje kolejnych świadków. Od kilku tygodni ślęczy nad protokołami, wezwaniami, teczkami spraw. Kolejne liczby porządkowe dziennika działają staremu glinie na nerwy. Kilkunastu świadków ze sprawy Wołowiny. Kilku od Koblowskiego. Na szczęście u Markowskiego nie było dużo i dobrze, że Ruda pomagał. Do tego jeszcze biegli. Myśląc o tym, słucha staruszki. Po obowiązkowym wstępie, polegającym na ustaleniu danych osobowych i pouczeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, zadaje krótkie pytania i słucha.

– Co pani pamięta z tamtego zdarzenia?

– Prawie nic.

– Dlaczego?

– Nie widziałam nawet, panie władzo, jak on wchodził. Ten postrzelony, znaczy się. Płaciłam za herbatki ziołowe. Na chorą wątrobę i wzdęcia – dodaje staruszka, ściszając głos – a drugą na zaparcia.

Niemal lustrzanym odbiciem jej zeznań są słowa aptekarki, która z kolei nie zwróciła uwagi na zastrzelonego, bo nabijała herbatki na kasę i liczyła pieniądze w chwili, kiedy otworzyły się drzwi, a tamten człowiek upadł.

– Nie zwróciła pani uwagi na dzwonek?

– Słyszę go każdego dnia, poza tym wtedy przy kasie stało już kilka osób. Byłam zajęta.

– A potem?

– Kiedy tamten pan już leżał?

– Tak.

– Wyszłam zza lady – odpowiada farmaceutka – i podeszłam jak pozostali. A zaraz potem wróciłam z powrotem, żeby wezwać karetkę.

– Co było dalej?

– Wezwałam ją. Chwilę to trwało. A kiedy odłożyłam słuchawkę, tamten już nie żył. I nie było tej dziewczyny ani walizki.

– Skąd pani wie o walizce i dziewczynie?

– Nie wiem – odparła – ja nie widziałam ani walizki, ani dziewczyny. Ale klienci o tym mówili.

Najwięcej do powiedzenia ma Gruby, jak w myślach Karlos nazywa świadka i Norka, jak śledczy szufladkuje kobietę w futrze.

– Wszystko widziałem – zeznał grubas. – Akurat byłem przedostatni w kolejce, przed tamtą dziewczyną. Nudziłem się i pewnie dlatego zwróciłem uwagę. Zresztą dziwny był jakiś.

– To znaczy?

– Panie! – sapie grubas. – Pogoda taka, że psa się nie chce na dwór wypędzić, a ten wchodzi i staje w drzwiach. Z dworu ziąb ciągnie, a on wietrzy aptekę. Nie żeby wszedł jak człowiek, zamknął drzwi i wszystko. Otworzył i stanął w progu. Nie wiem, zastanawia się czy ki diabeł, pomyślałem wtedy, nawet chyba delikatnie mu zwróciłem uwagę – tłumaczy, drapiąc się za uchem. – Tyle że człowiek niewinny. Teraz rozumiem, umierał przecież.

– Co było potem, jak wszedł?

– O chusteczkę poprosił, a tamta – mówi o dziewczynie Gruby – mu ją podała. Potem się nim nie interesowałem. Aż do chwili, kiedy poprosił o karetkę i padł na podłogę.

Świadek w następnych zdaniach opisuje to samo, co zarejestrował monitoring. Zeznania niemal pokrywają się w tej

części z protokołem przesłuchania Norki. Tyle że dalej ich wersje zaczynają się różnić.

– Dał dziewczynie skórzaną portmonetkę, kazał wziąć walizkę i poszła.

– Uhm.

– Przekazał coś dziewczynie do ręki – mówi Gruby.

– Co? Widział pan, co jej dał?

– Niezbyt dokładnie. Wie pan, panie władzo, szok, zdenerwowanie. Nie zwróciłem uwagi, co to dokładnie było. Zapamiętałem jedno: srebrny wisiorek z takich maleńkich kuleczek.

Słysząc to, kładzie ręce na karku. Potem po chwili wstaje i uchyla okno. Jest już zmęczony, w pokoju jest ciepło i panuje zaduch. Gruby się poci i Karlos czuje zapach potu w powietrzu. Przypomina sobie przesłuchiwanego wcześniej z Rudą bezdomnego do zabójstwa Markowskiego. Widzi twarze innych świadków. Było ich już kilkudziesięciu i nic. Nachodzi go dokładnie ta chwila, w której czuje, że mógłby przyjąć klina. Jednego, małego nawet. Ćwierć setki, chociaż lepiej pięćdziesiąteczkę. Czystej, schłodzonej.

– Niech pan mówi, co jeszcze przychodzi panu do głowy.

– Co więcej? – wzrusza ramionami Gruby. – Wyszła…

Karlos zamyka oczy. Policjantowi już nie chce się słuchać powtarzanej przez wszystkich historii. Jak tylko Gruby skończy, zastosuję prostą operację i będzie po sprawie – myśli. Dobrze, że era fioletowych kalk i maszyn do pisania odeszła w niepamięć – stara się odsunąć to, co uporczywie go męczy. Czuje, jak zmrożony, gęsty płyn przesuwa się z rozkoszą w przełyku i ogrzewa żołądek, napełniając ciało spokojem.

– Wyszła, tak po prostu? Może wybiegła?

– No, tak po prawdzie to faktycznie wybiegła, ale…

– Dobrze, wystarczy – przerywa. Kopiuje część zeznań z protokołu Norki aż do ostatniego zdania: „nie mam nic więcej do dodania w tej sprawie”, po czym wkleja do zeznań Grubego. – Jeszcze tylko pan podpisze i może pan iść. Zaraz powiem gdzie.

– To jeszcze coś?

– Niestety. – Policjant uderza otwartą dłonią w drukarkę, która po chwili wahania rozpoczyna pracę. – Za zeznania dziękuję – mówi, mając wciąż wrażenie, że coś pominął. – Chcemy ustalić portret pamięciowy.

Po przesłuchaniu każdego świadka wysyła ich do laboratorium, pod odpowiednie drzwi, gdzie siedząc przy komputerze razem z biegłym ekspertem, dopasowują brwi, oczy, włosy, nos, uszy i owal twarzy do wizerunku dziewczyny z apteki. Grubego też trzeba było tam posłać, nie był przecież żadnym wyjątkiem, chociaż prawdopodobnie nic to nie da, ale tak kazał naczelnik.

– Proszę przeczytać i podpisać pod tekstem.

– Gdzie?

– Tu. – Karlos wskazuje palcem. – Najlepiej czytelnie.

Nie informuje, że w laboratorium spędzi z pewnością następne dwie godziny. Woli patrzeć, jak Gruby podpisuje protokół. Tyle że, gdy dłoń gliny trafia na legitymację służbową, noszoną, podobnie jak czyni to większość funkcjonariuszy, w otwieranym niczym książeczka etui razem z „blachą”, rozumie już. Jego palce dotykają kulkowego łańcuszka. W jego głowie otwiera się pewna szufladka. Nie zmienia to faktu, że wciąż nie mają być może najważniejszego świadka.

35

Mreges w Wielkanoc przegląda monitoring. Nie był w fabryce pierwszy, bo Karlos spędził tu noc. Franza to nie dziwi,

ponieważ odkąd jego kolega z wydziału skończył z piciem, niemal co noc zostaje w pracy. Na ostatnim piętrze jest kilka wolnych pomieszczeń. Kiedyś przecież wyglądało tutaj inaczej. Z tamtych czasów został nie tylko napis z kartonu „Będziemy bronić polskiej racji stanu", ale piętrowe łóżka. Jedno z nich jest dla Karlosa. Wkrótce pojawia się też Hanys, piętnaście minut później przychodzi Ruda. Ostatni pojawia się Nowy.

– Na chuj żeś tu przyszedł? – wita go Franz. – Rodziny nie masz?

– Stary zażyczył sobie papiery na wtorek.

– Na którą?

– Na rano.

– Skurwiel.

– No i wszystkie raporty o wolne za nadgodziny trafił szlag.

– Zmęczony jestem. Cała sekcja ślęczy od ponad kwartału nad notatkami, raportami i cholernym monitoringiem.

– A ile masz?

– Nie wiem. Musiałbym sprawdzić. Będzie z dziewięćdziesiąt albo więcej.

– Ja mam osiemdziesiąt osiem.

– Ja sześćdziesiąt – wtrąca się Hanys.

– O! Teraz. Patrzcie.

Obraz na czarno-białym monitorze jest złej jakości. Widać, jak otwierają się drzwi i staje w nich ofiara. Mężczyzna prostuje się, przystaje i wchodzi. Zauważają ruch ust.

– Świadkowie zeznali – Ruda spogląda do notatek – że prosił o chusteczkę.

Włosy Rudej mają niewiele wspólnego z ksywką. Nowy, jak wszyscy, myślał, że Ruda jest policjantką. Było tak, dopóki nie poznał aspiranta Radosława Ryżego. Nadal jednak

tkwił w błędzie, myśląc, że pseudonim wziął się od koloru czupryny i od nazwiska.

– Powiedzieli coś?

– Nic – opowiada Ruda.

Koledzy nie wyprowadzali go z błędu. Zrozumiał dopiero jakiś czas później – Ryży nazywany był Rudą, bo nikt w całej fabryce nie był bardziej brutalny. Ruda dorobił się kilkunastu postępowań dyscyplinarnych. Wszystkie z tego samego powodu: zarzuty o przekroczenie uprawnień. Ruda walił w mordę, aż dostrzegł krew. A kiedy ona podeschnie, jest ruda.

– Co ona mu daje? – Mreges nie odrywa wzroku od monitora.

– Chusteczkę – mruknął Ruda.

Hanys milczy. Na kolejnych klatkach widać, jak mężczyzna upada. Dziewczyna nim szarpie, zbierają się ludzie. Postrzelony przykłada dziewczynie pistolet do czoła. Dziewczyna chwyta walizkę i natychmiast wybiega.

– Czyli tak, jak mi powiedzieli – komentuje Karlos.

– Poczekaj. – Franz jest czymś zainteresowany. – Cofnij do momentu, w którym on coś jej podaje. Widzicie?

Karlos zajmuje się tym samym. „Rozmawia z ludźmi", jak zwykł mawiać. W istocie rozpytuje świadków albo ich przesłuchuje. Nikt, łącznie z Franzem, nie dorasta w tym zakresie sierżantowi sztabowemu Edwardowi Węclowi do pięt. On potrafi rozmawiać z ludźmi. Wszyscy wiedzą, że jeśli dobry glina Karlos nie wydusił ze świadka informacji, to nikt tego nie zrobi. Nikt poza Rudą, ale on ma metodę złego gliny.

– Można to powiększyć? – Franz pokazuje monitor.

Wpatrują się w klatkę, w której postrzelony podaje dziewczynie coś do ręki. Widzą, że zabiera ona niewielki czarny przedmiot.

– Co to?

– Wygląda jak portfel – komentuje Nowy.

– Gówno, nie portfel – odpowiada Hanys. – Portfel miał w kieszeni. Mamy go.

– Fakt.

– A właśnie. – Mreges przypomina sobie, że miał o to zapytać. – Wiemy już, kim jest ofiara?

– Jest z tym problem – mówi Nowy.

– Mów.

– Żadnych kart kredytowych, prawa jazdy, nawet biletu miesięcznego, ale miał dowód osobisty. Meldunek na Pradze. Okazało się, że nikt go tam nie zna.

– Jak to nikt?

– Drzwi otworzyła jakaś trzydziestka plus. To myślę, niezły bajzel. Będzie lament. Niedobrze mi się zrobiło na myśl, że mam za anioła śmierci robić. Szczęka mi opadła, jak baba powiedziała, że to pomyłka.

– Niemożliwe.

– Upierała się, że nikogo takiego nie zna. Mieszkają tam z mężem już cztery lata, nikt taki nigdy nie był tam zameldowany.

– A brat?

– Rozpytuje dalej, ona ciągle to samo. Pokazuje zdjęcie w dowodzie, wzrusza ramionami i mówi, że to pomyłka.

– Dziwne – dodaje Ruda.

– Może to kochanek? Nie chciała się staremu przyznać – kombinuje Karlos.

– Pytałem. Nie ma kochanka. Kurwa jego mać, święta, tylko jej habitu brakuje.

– Wrzuciłeś gościa na bęben? – pyta Franz.

– Zaraz jak wróciłem do fabryki. I patrzcie. – Nowy pokazuje wydruk z KSIP, CEL i CEPiK.

Franz bierze dokumenty do ręki i czyta. Krajowy System Informacji Policji, imię i nazwisko: Zbigniew Piotrowski, PESEL 76021917974, nieposzukiwany. Centralna Ewidencja Ludności – brak danych. Wydano paszport HB 0462304. Data wydania: piętnasty listopada dwa tysiące dziesiąty rok. Organ wydający: Wojewoda Małopolski. Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców – nie figuruje. Rejestr rzeczy utraconych: Dowód osobisty AXP 760219, nieposzukiwany.

– Dziwne – mruczy Ruda.

– Pewnie, że dziwne! – przytakuje Nowy. – Facet istnieje, ale w rejestrach go nie ma.

– A wrzuciłeś go w AFIS? – mruczy Franz.

– Proszę.

Franz spogląda na wydruk Systemu Identyfikacji Daktyloskopijnej. Ruda, Hanys i Karlos spoglądają na siebie.

– Coś ci powiem, Nowy – mówi Franz. – Wyglądasz jak szczur w czapce z dachem ze skrętem w kielni, ale łeb masz nie od parady. A to, że w okularkach wyglądasz bardziej na pedzia niż na policjanta, to zajebisty plus.

– Dzięki, szefie.

– Wychodzi z tego, że dupa. Wynik nie figuruje.

– Jak nie figuruje? – oburza się Karlos. – Paszport ma z dwa tysiące dziesiątego roku. Przecież wtedy pobierano już palce przy wydawaniu?

– Dziwne – mruczy Ruda.

– Dziwne, dziwne – oburza się Franz. – Skończylibyście pierdolić. Przecież widać, że to chujnia. Musimy coś znaleźć, a nie jaja sobie z chłopaka robić. Mamy dziewięć trupów. – Franz wstaje i przekłada w palcach zapalniczkę. – Komendant, Wołowina, Kikir, jego kierowca i dwaj goryle, Alek, jego goryl, a teraz ten, jak mu tam? – Franz strzela palcami.

– Piotrowski – mówi Nowy.

– Właśnie. I żadnego tropu. Wykrywalność poleci w dół. Trzeba coś zrobić.

– Ale co? – mówi Karlos.

– Nie wiem. Raz jeszcze pogadać ze świadkami, przejrzeć papiery, pooglądać filmiki. Do roboty się wziąć. Jak na razie to Nowy zapierdala, a reszta gra w chuja. Właśnie. – Franz wskazuje Nowego zapalniczką. – Co z porsche?

– Zrobione.

– I co?

– Zebrali odciski. Do identyfikacji nadawało się dziewięć. Wrzuciłem w AFIS, ale ani jednego w bazie. DNA nie było, jakieś włókna zabezpieczyłem i tyle. Samochód nie ma namierzania satelitarnego.

– A kto nim jeździł?

– Nikt nie był notowany. Raz tylko jakiś frajer, ale notowanie było za jazdę po kielichu. Pozostali to wykroczeniowcy. Przeważnie prędkość, no i pasy.

– Do dupy.

– Nie drożnij się, Franz – odzywa się Hanys. – Może analizy coś dadzą?

– A jak nie? Martwi mnie to. – Franz wskazuje wydruki.

– Nowy? – wzdycha Karlos. – Nie pomyślałeś, że ten dowód jest lewy?

– Daj chłopakowi spokój – ucina Franz. – Nie róbcie z niego dzielnicowego. Wiadomo, że lewy. Gość od porsche też posłużył się fałszywym kwitem. To nie jakiś kibol, ale tak jak wam powtarzam: to zawodowiec.

– To bmw 7.

– Co?

Hanys wpatruje się w nagranie. Przewija w tył ten sam fragment i ogląda na nowo. Zatrzymuje na klatce, gdzie ofiara podaje coś dziewczynie. Potem cofa do chwili, kiedy ofiara

wchodzi do apteki. Wciska pauzę, gdy widać atrapę chłodnicy samochodu.

– To bmw 7. I strzał padł z tego samochodu. – Hanys wskazuje palcem.

– Powiększcie blachy – mówi Franz.

Przyglądają się. To, co wykombinował Hanys, może być prawdą. Nowy głośno odczytuje numery rejestracyjne. Ruda je zapisuje.

– Trzeba je sprawdzić. Jeszcze jedno – przypomina sobie Franz, zerkając na zawalone papierami biurko. – Kto robił Szaserów?

– Ja, komisarzu – mówi Karlos. – Z Rudą.

– I co?

Policjant referuje przebieg rozmowy z poturbowaną pielęgniarką, portierem i sanitariuszem. Pielęgniarka opowiada o księdzu, portier księdza nie widział.

– Jak nie widział? A monitoring?

– Przejrzeliśmy – tłumaczy Karlos. – Nic nie ma, żadnego księdza. Jest facet, podobny do tego od Kikira. Na dziewięćdziesiąt procent to on.

– Skąd wiesz.

– Blachę cieciowi pokazał.

– A twarz?

– Cieć nic nie pamięta. W telewizor patrzy, policjantom się nie przygląda. A na filmie kaptur na łbie i tak się jebany pod kamery ustawiał, że go nie widać.

– A to skurwiel – komentuje prawie z podziwem Franz. – Mów dalej.

Karlos opowiada przebieg przesłuchań, wskazuje protokoły na biurku. Żaden pacjent niczego nie pamięta, tylko jakieś brzęki i kroki.

– Jeśli to ten sam facet – mruczy Franz – a dam sobie jaja uciąć, że ten sam, to przynajmniej trzy razy posłużył się fałszywym kwitem. Hanys, co myślisz?

– Fałszywe papiery, karabin, pistolet, bomba, przebieranki. Unika kamer. Zawodowiec. Łatwo nie będzie, bo widzę… – Przerywa mu wydziałowy telefon.

– To do pana, komisarzu – mówi Ruda.

– Nadkomisarz Mreges.

– Z tej strony komisarz Marzena Kostrzewa-Wrzesińska, Centralne Biuro Śledcze, Wydział Przetwarzania Informacji Niejawnych.

– Melduję się.

– Z waszego komputera sprawdzano osobę. Zbigniew Piotrowski. Możecie wyjaśnić, w związku z czym to sprawdzenie?

Mreges otwiera usta. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie wie, co powiedzieć.

36

Ubrany na czarno Niemiec otwiera walizkę. Emil czuje zapach smaru karabinowego. W walizce leży pięć jednostek broni: austriacki Glock 17, Walther P99 z Radomia, P-83, radziecka TT oraz czeska CZ 75.

– Wybieraj – Eckert kiwa głową – którą chcesz.

Emil najchętniej wybrałby glocka, ale nie miał z nim do czynienia. Produkowaną w Radomiu broń zna dobrze z policyjnych strzelnic i potrafi ocenić to, czym chwalił się producent.

– Ten ma mechanizm antystresowy. – Elegancik wskazuje walthera. – Używa go polska policja.

– To szmelc, a antystres to gówno. Jak z ich legalnością? – pyta, zerkając na numery.

– Nie może być lepiej.

– Proszę się nie obawiać – dodaje Krasniqi. – Ta broń nie istnieje. W każdym razie nie istnieje w Niemczech. Nie jest zarejestrowana. A nawet jeśli policja znalazłaby jakieś kulki, to nigdy nie powiążą ich z nami.

– Rozumiem.

– Zależy nam na bezpieczeństwie – mówi muzułmanin.

Emil najchętniej wybrałby P-83. Nosił ją przez kilkanaście lat w kaburze, odkąd przezbroili go z P-64. Strzelał z niej wielokrotnie. Zna ją. Potrafi złożyć i rozłożyć z zamkniętymi oczami. I nigdy go nie zawiodła, choć nie jest doskonała, ale strzela nabojem Makarowa. Dlatego wybiera inaczej.

– Wezmę tę – wskazuje TT.

– Lubisz antyki? – Eckert się śmieje. – Żartowałem. Twój wybór, twoja klamka. Bierz.

Mężczyzna sprawdza komorę, zerka na magazynki, podpina jeden i chowa pistolet za pasek, na plecach. Drugi magazynek wkłada do kieszeni.

Krasniqi zerka na Eckerta. Gangster nie potrzebuje wyjaśnień.

– Szef ma coś jeszcze. Zostawię was samych. Spotkamy się później.

Emil, gotowy do pracy, siada w fotelu przed nowym pracodawcą. Krasniqi częstuje Emila cygarem, ale były glina odmawia.

– Proszę. – Krasniqi wręcza Emilowi *Personalausweis*. – To pana nowe życie.

– Ludvig Pototzky – czyta nazwisko Emil. – Dobre.

– Najważniejsze, że prawie legalny. – Krasniqi wskazuje butelkę z żółtą rakiją.

– Dziękuję. Zdrowie nie pozwala. Co znaczy prawie?

– Pototzky żyje. Chociaż… cóż to za życie na ulicy?

– Lepsze niż w trumnie.

– Tak czy inaczej dokument jest bezpieczny.

– Jak to załatwiliście?

– Prawdziwy Pototzky nie potrzebuje dokumentów, a panu *Personalausweis* się przyda. Jeśli Pototzky zgubił dowód, należało to zgłosić i wystąpić o wydanie wtórnika oraz uaktualnić zdjęcia. Wystarczyła pana wizyta z moim człowiekiem, gdzie trzeba, i rozmowa z urzędnikiem, z którym trzeba umieć rozmawiać. To też się panu przyda. – Krasniqi podaje Emilowi plastikową kartę. – *Führerschein* w dzisiejszych czasach to konieczność, a w każdym razie dla kogoś takiego jak pan, panie…

– Pototzky.

– …tak, Pototzky.

– Faktycznie prawo jazdy się przyda.

– Jak pan widzi – Krasniqi odsłania zęby – w Niemczech mieszka wielu braci wierzących w Allaha.

– Dlatego zgłosiłem się do pana. Muszę być zaznajomiony ze wszystkim, co pana dotyczy. Mam nadzieję, że pan to rozumie?

– To prawda. – Krasniqi kiwa głową. – Proszę posłuchać. Nie chcę straszyć, ale nasza – tu gangster wykonuje nieokreślony ruch dłonią – współpraca jest dożywotnia. Rozumie pan?

– Tak.

– To dobrze, ponieważ wymagam lojalności. Nie mogę iść na ustępstwa. Zgodziłem się zatrudnić pana z kilku powodów. Zaimponował mi pan odwagą czy bezczelnością. Nie wiem.

– A po drugie?

– Jesteś Polakiem – przechodzi z Emilem na ty Krasniqi. – Cenię was jako naród.

– To ma znaczenie?

– Prowadzę interesy z różnymi ludźmi. Także z twojego kraju. Znasz język, kraj, zwyczaje, przydasz się. Z czasem dowiesz się więcej.

– Jest trzeci powód?

– Moje interesy wymagają ochrony. Czasem bardzo zdecydowanej. Mój obrót to wiele milionów euro rocznie. I nie tylko w Niemczech, choć faktycznie głównie tutaj. Mój biznes jest powiązany z ludźmi w Polsce, Czechach, na Ukrainie, Słowacji, Węgrzech i oczywiście na Bałkanach. Eckert wyjaśni ci wszystko w odpowiednim czasie.

– A wrogowie?

– Zawsze jacyś są. Konkurencja, policja, czyjaś rodzina. Nie, żebym się bał, nie znam tego uczucia. Wiele przeszedłem, jak kraj, z którego pochodzę. Widziałem wojnę, śmierć i biedę. Nie jestem najmłodszy, a na pewno – Krasniqi spogląda na przedramiona Emila – w dużo gorszej kondycji niż ty. I pragnę jednego.

– Spokoju?

– Tak. Nie chcę końskich łbów w sypialni.

– Rozumiem. – Emil odczytuje aluzję do historii o rodzinie mafijnej.

Tyle że Agron Krasniqi to nie Don Vito Corleone, a Emil nie będzie nigdy Lucą Brasim. Literatura to nie prawdziwe życie.

37

W siedzibie Biura Spraw Wewnętrznych przy Puławskiej 148 panuje spokój. Słychać tylko cichą muzykę z radia i szum wentylatorów w komputerach.

– Świetnie wyglądacie, pułkowniku Franke.

– Minęło ćwierć wieku – odpowiada ogolony mężczyzna w wyprasowanej koszuli. – Ale widzę, że u ciebie nic się nie zmieniło. Pułkownicy odeszli w dziewięćdziesiątym.

– Oczywiście, inspektorze – Poll z przekąsem tytułuje policjanta mielącego kawę młynkiem Bosch. – Masz rację. Tyle że zmiana nazwy o niczym nie świadczy.

– Co chcesz powiedzieć, przyjacielu? – mówi Franke, zalewając proszek wrzątkiem.

Po jasnym, słonecznym biurze rozchodzi się wspaniały aromat.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Nic. Wy jak zwykle wiecie wszystko najlepiej.

– I właśnie dlatego z nami się nie zadziera.

– Bo co?

– Bo tacy źle kończą.

– Straszysz mnie czy obiecujesz?

– Sam oceń – uśmiecha się słabo pułkownik Franke. – Nasze ofiary kończą w biedzie. Zastanów się, kto da pracę byłemu glinie z wyrokiem? Nawet w ochronie jej nie znajdzie. A oplutemu nawet dawni koledzy ręki nie podadzą.

– Z niejednego gliniarza zrobiliście już bandytę.

– Dlatego lepiej żyć z nami w zgodzie. – Franke podaje zastępcy porcelanową filiżankę.

Jest szefem Biura Spraw Wewnętrznych. Ta niewielka komórka zajmuje się ściganiem nieuczciwych funkcjonariuszy i nazywa się ją zakonem. To zrozumiałe, że jest najbardziej nielubianym pionem w policji.

– Dawno powinna zostać powołana w nasze miejsce nowa służba.

– Ciekawe dlaczego?

– Ponieważ przestaliśmy robić to, co do nas należy – policjant zakonu miesza kawę – czyli wyłuskiwać spośród nas czarne owce. Wiesz o tym.

– Wiem.

– Przyzwyczaiłem się, że jeśli policjant zagraża dowódcy, to wystarczy pomówienie, plotka albo anonim i naszymi rękoma można się pozbyć rywala. Zakon służy rozgrywkom.

– A co w tym złego?

– Wszystko – odpowiada szef BSW. – Formalnie rzecz ujmując, wszystko.

– Taki jest świat. Możemy się tylko dostosować.

– Dobrze, że się zgadzamy. Tym bardziej że teraz to ty jesteś głównym.

– Na razie zastępcą. Tylko pełnię obowiązki.

– Ale będziesz. I ci pomogę. A dużo mogę. Wiesz przecież, że zakon to ja.

– Dlatego przychodzę do ciebie. Trochę niepokoją mnie ostatnie wydarzenia.

– A konkretnie?

– Ta sprawa z Markowskim. Wszyscy wiedzą, że to nie był samopał.

– No i co? Przecież społeczeństwo dostało legendę, sprawę przejęła abwera, a łuska z dachu, jako jedyny dowód na zabójstwo, zniknęła. Wkrótce wszystko ucichnie. Jak będziesz przechodził w stan spoczynku, wszyscy już o tym zapomną.

– Tak nie można. – Poll kręci głową. – To lekkomyślność, musimy być ostrożniejsi. Nie wiadomo, jak się sprawa potoczy. Wolałbym dmuchać na zimne. Nie wiemy, co ci cholerni gliniarze z wydziału iks odkryją. Wiesz, że to są fachowcy.

– Mów dalej.

– Sprawą może się zająć jakiś dziennikarzyna. Gdyby wypłynął jakikolwiek dowód, na przykład ta łuska, to po nas. Wiesz, że to tylko czubek góry lodowej.

– Nie martwiłbym się o gliniarzy. Rozmawialiśmy z ich naczelnikiem.

– I co?

– Jest nie bardzo. – Franke kołysze ręką. – Stoi za nimi, ale damy sobie radę.

– To może ja wkroczę? Przeniosę go na zadupie albo do prewencji?

– Nie trzeba. Gość ma zastępczynię, która chętnie z nami rozmawia. Za awans zrobi wszystko, łącznie z lodem, byleby tylko w odpowiednim gabinecie. Wszczęła postępowanie wyjaśniające, rozmawiała z nimi. Zostawią sprawę.

– To za mało.

– A co? Od razu chcesz ich powieźć?

– Nie o to chodzi. Mają też inne głośne medialnie sprawy – wylicza Poll. – Ubój Wołowiny, Kikira czy Alek w trumnie. Niech pracują, ale musimy wiedzieć, co wiedzą, czego się doszperali. Mnie góra też naciska, rozumiesz?

– Rozumiem. – Franke drapie się za uchem. – Możesz mieć rację. Lepiej trzymać rękę na pulsie. Załatwi się wszystko.

– Załatwi się?

– Tak. Ich się załatwi.

– Jak?

– To moja sprawa.

– Żadna sprawa nie jest twoja – odzywa się hardo Poll. – Jeśli coś ci zlecam, to jest moja sprawa. Muszę znać szczegóły. Nie zapominaj, że formalnie mi podlegasz i w razie czego to mój łeb poleci.

– Masz już prawa emerytalne. W razie czego napiszesz raport. Szybciutko staniesz się generałem w stanie spoczynku.

Dostaniesz piętnaście tysięcy odprawy i dwanaście emerytury.

– Na razie nie mam ani lampasów, ani żmijki.

– W lipcu, panie pułkowniku, to się zmieni.

– Pułkowniku?

– Bo widzisz, od dziewięćdziesiątego niewiele się jednak zmieniło. Dostaniesz nie tylko żmijki na pagonach w miejsce dwóch belek, ale także generalską szablę, za którą podatnik zapłaci dwie średnie krajowe.

– To pewne?

– Janek, dobrze wiesz, że nie mogę ci tego zdradzać. Niech wystarczy ci to, co mówię. Żyj w zgodzie z nami, a będzie dobrze. Rób to, co robiłeś, a skończysz w chwale. Nas nie można pokonać, bo nigdzie, w żadnej komendzie, nie ma takiej jedności jak w zakonie. Nawet w AT czy BOA. Trzymamy się razem, jesteśmy spięci tak mocno jak nikt.

– Nie chcę, żebyś mnie straszył. Nie będę ci szkodził, bo jesteśmy kumplami, a po drugie obiecałem, że będę cię holował. Teraz przychodzę po pomoc.

– Nie gorączkuj się. Rozpracowujemy ten twój wydział iks. Nasza robota jest dobrze zrobiona.

– Widzę, ale…

– Nie ma ale. Będzie tak: przyjdzie anonim, zrobi się okładeczki. Braciszkowie zrobią billingowanie, ustalimy, z kim dzwonią, z kim się spotykają i do kogo piszą. Wrzucimy figurantów na bęben, a biuro kryminalne przygotuje analizę. Sufitówka da nam podstawy, aby legalnie założyć słuchaweczki. Jak będzie trzeba, to nawet zetpeo założymy. No i mam jeszcze jednego asa w rękawie.

– Dość! Jakie zetpeo, do chuja?

– Przecież chciałeś wiedzieć?

– Kurwa, po ludzku mów! Nie jestem z zakonu, do cholery.

– Oficjalnie założymy sprawę. Pobierzemy wykaz połączeń i SMS-ów.

– Uhm.

– Sprawdzimy ich w systemach, a po analizie będziemy mieć raport, który pozwoli na pełną kontrolę operacyjną: podsłuch, inwigilację Internetu, korespondencji, obserwację. Wnioski weźmiemy z sufitu. Ważne, aby uzasadnić kontrolę. I jak będzie trzeba, to nawet zakryty punkt obserwacji im założymy. Teraz rozumiesz?

– Co wam to da?

– Znajdziemy dowody na to, że się z kimś kontaktują. Każdy kryminalny się z kimś kontaktuje, powinieneś to wiedzieć.

– Po co ten sarkazm?

– Nie gniewaj się. Oni muszą mieć informatorów, a to zwykle bandziory albo pismaki. I to wystarczy. Powstanie meldunek, w którym będzie mowa o przekazywaniu poufnych informacji.

– A jak nie będą z nikim gadali?

– Już gadają.

– I to wystarczy?

– W innym meldunku zasugerujemy korupcję.

– Ale jak?

– Wystarczy, że któryś będzie na basenie albo w tej samej knajpie co bandzior. Jak będzie trzeba, to nawet go podstawimy. Napisze się potem notatkę, dołączy wykaz BTS-ów.

– Czego?

Franke cierpliwie tłumaczy możliwości inwigilacji za pomocą telefonu komórkowego i Internetu. Zastępca nie ma o tym pojęcia. Jego kariera to klasyczny przykład tego, że poli-

cjanta, który potrafi się podlizywać i wchodzić w układy, szybko się awansuje. Trochę imprez, przekazywania odpowiednim ludziom informacji na temat przełożonych i Poll znalazł się na górze.

– Rozumiem.

– Dołączy się kwit, że ich telefony logowały się do tych samych stacji co telefony przestępców. Będziemy mieć dowody dla sądu.

– To tylko domniemanie.

– Zrobimy z tego poszlakę. Dołączy się mapkę dojazdu jednego i drugiego. I już jest kontakt.

– Pomysłowe.

– Tym bardziej że sprawę łuski już kręcimy. Jak będzie trzeba, to ją dołożymy. Może znajdzie się jeszcze coś? Przekroczenie uprawnień. Dostaną dyscyplinarki albo palną sobie w łeb.

– To twarde sztuki, mogą walczyć. Szczególnie ten…

– Mreges?

– Właśnie. – Poll nie kryje zaskoczenia. – Skąd wiesz?

– Obserwujemy ich. Cały ten wydział jest do likwidacji. I posłuchaj – Franke unosi brodę – mówiłem ci: z nami nikt nie wygrał. Markowski próbował i widzisz, jak skończył? Mamy prokuratorów. Sędziego też mamy. Dostaną zarzuty.

– A jak będą kłapać mordami?

– Nie będą. Okażemy im litość. Pozwoli się napisać raporty o zwolnienia ze służby. Pod jednym warunkiem: że będą cicho.

– A jak zechcą walczyć, odwoływać się? Jak papugę opłacą?

– I tak przegrają. Żony ich zostawią, a dzieci się wyprą. Dawni koledzy będą przechodzić na drugą stronę ulicy i wy-

kasują ich numery. Nikt nie chce się pobrudzić czyimś gównem, rozumiesz?

– Tak.

– Odejdą sami. Zresztą – macha ręką – zawsze można ich zwolnić dla dobra służby. Sam to możesz zrobić. Nie muszą być winni, wystarczą oskarżenia i trochę szumu w mediach. Wyjdzie na to samo. Zanim zapadną prawomocne wyroki, będą za starzy na robotę. Zresztą pewnie i tak zachleją się na śmierć.

– Skąd wiesz?

– Jak nie chce się z nami współpracować, to tak wygląda koniec.

– A nie będzie z tego za duży smród?

– Nie rozumiem?

– No, wiesz… – odpowiada zastępca. – Jak będę głównym, to za wszystko odpowiadam. Muszę być ostrożny. A tutaj w grę wchodzą media. Jak zrobi się głośno, będą mnie oskarżać.

– Powiesz, że to burdel po poprzedniku. Pokażesz jego gabinet, że pracował w luksusach, a porządku w policji nie umiał zrobić. Zwołasz konferencję, pokażesz salony i zapowiesz, że teraz z tym koniec. W mediach też mamy ludzi.

– O czym ty mówisz?

– Myślisz, że media są bezstronne i apolityczne?

– No, wiesz…

– Może niektóre są. Pewnie część tak, ale są i tacy – dodaje z tajemniczym uśmiechem pułkownik – którzy zawsze nam pomagają.

– Dobra, nie chcę słyszeć nic więcej. Mam jeszcze jedną sprawę.

Poll pokazuje zdjęcia Lipskiego, Stompora i Andżeliki. Wyjaśnia szczegóły. Policjant Biura Spraw Wewnętrznych słucha uważnie, dopija kawę, oblizuje łyżeczkę.

– ABW to nie moja działka. Stompora poszukam, ale z nią będzie gorzej.

– Przecież znasz ludzi.

– Znam, ale niczego ci nie obiecam.

– Opłaci ci się to.

– Cóż… – Franke odchyla się w fotelu. – Pójdę z tym, do kogo trzeba. Przedstawię sprawę, zobaczymy. Bądźmy dobrej myśli. Czekaj na informacje. I zachowaj ostrożność.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, Jasiu, rozumiesz. Nie jestem twoim wrogiem, to nie moja sprawa, ale jesteśmy przyjaciółmi, więc ci powiem. Lepiej byłoby, gdybyś tak często nie otwierał rozporka.

Przez chwilę nadinspektor Jan Poll nie wie, co opowiedzieć. Szef Biura Spraw Wewnętrznych wstaje i podaje dowódcy wszystkich policjantów rękę na pożegnanie. Zastępca wstaje, ściska dłoń rozmówcy. Całe życie, cała kariera – uświadamia sobie z przerażeniem – wszystko, co osiągnął i co posiada, znajduje się w tej właśnie ręce. Jest w niej także wolność, więc prawdę mówiąc, nie ma wyboru.

38

Mreges ma zły dzień. Pogoda się nie poprawia. Z ciemnych chmur wciąż siąpi. Bruki, chodniki i asfalt błyszczą od wilgoci. Wycieraczki samochodu drażnią gliniarza w drodze do pracy.

– Co to, kurwa, ma znaczyć, że figurują jako utracone?

– To, że właściciel zgłosił ich kradzież – odpowiada Nowy.

Pozostali policjanci kryją się za monitorami. Karlos wykorzystuje do kamuflażu teczkę z aktami.

– To wiem! – ryczy Franz. – Pytam się, kiedy zgłosił?

– Dzisiaj rano.

– Czemu tak późno?

– Święta były. Nie widział, że mu je ktoś zajumał. W święta nie jeździł.

– Tak, kurwa, myślałem. Nic nie mamy. Kręcimy się w kółko jak gówno w przeręblі. Karlos stwarza pozory. Dla Rudej wszystko jest dziwne, a Hanys ma wyjebane. Założę się, że dalej nie wiemy, do kogo należała broń?

– No, na razie nie. Wie pan, w CLK nic się nie da załatwić na cito. Tym bardziej że święta, po świętach ludzie urlopy pobrali, no, taki okres.

– Sam masz okres! Analizy balistyczne, chuja! Sekcja zwłok, chuja! Monitoring, chuja! Świadkowie to samo. Komendant ubity, w biały dzień ginie jeden bandzior, drugi dostaje kulkę nie wiadomo skąd. Trzeciego do nieba wysyłają fajerwerki.

– Oho, ale się wściekł – mruczy Ruda do ucha Hanysowi. – Będzie ostro.

– Kolejnego bandziora najpierw chcą zastrzelić na ulicy, a jak się nie udaje, to odpala go jakiś ksiądz! Powiedzcie mi, czy ja żyję w Hollywood? Nie, to jest stolica. Pół Warszawy wymordowane, a my nic nie mamy!

– Bierzemy się do roboty – wyłamuje się Ruda.

– Nie da się, nie da! Dupy wołowe jesteście! Sam muszę wszystko robić. A wy chujograjstwem się zajmujecie! A ty, Ruda, w szczególności. Będę miał przejebane, ale ręczę, że to się na was odbije.

Wściekły policjant wychodzi do palarni. Pociera zapalniczkę o udo. Zapala i wydmuchuje dym. Na zewnątrz wciąż leje. Nie ma się co dziwić, że nikomu nie chce się wyjść z komendy. Najchętniej otworzyłoby się flaszeczkę i zrobiło ją przy kościach w pięciu, ale to nie te czasy co kiedyś – myśli Franz. I nie zanosi się, aby cokolwiek miało się zmienić.

– Żonka go wkurwiła? – mruknął zza monitora Nowy.

– Łun nie ma baby. Po połedniu ma się z naszym naczelnikiem rozmówić, to zmierzły jest. – Hanys przykłada palec do ust.

Policjant na korytarzu główkuje, jak wytłumaczyć się z braków postępów w śledztwach. Wprawdzie bywają gorsi przełożeni niż naczelnik Wydziału Kryminalnego, którego częścią jest wydział iks, to jednak do tej pory nic jeszcze nie ustalili.

– Stary mnie dzisiaj zajebie – wzdycha. Zaciąga się. Zza futryny na korytarzu wyłania się zastępczyni naczelnika. – Jeszcze ona.

– Dzień dobry, panie Mreges!

– Czołem.

– Czołem to się barany stukają. Cywilizowani ludzie odpowiadają „cześć" – mówi z drwiącym uśmiechem babsztyl. – Ewentualnie „dzień dobry".

– Dzień dobry, pani inspektor.

– Słuchajcie, panie Mreges – zaczyna ostrzejszym tonem policjantka. – Sprawę mam. Wiesz, zły czas jest. – Uśmiech znika jej z ust. – Przeglądaliśmy SESPola.

Franza mdli. Pieprzona statystyka. Jebany komputer. System Elektronicznej Sprawozdawczości w Policji, kurwa, tabelki, wskaźniki, wykazy. Jak w fabryce śrubek.

– Zamieniam się w słuch.

– Coś z tym musimy zrobić. SESPol jest nieubłagany. Statystyki nam siadły. Za mało rozbojów. I kradzieży rozbójniczych też mało. Nie mówiąc o wymuszeniach. Tylko uszkodzenia ciała i bójki są w porządku.

– Melduję, że mamy serię zabójstw. Pracujemy nad tymi sprawami, bo to priorytet, więc…

– Czy słucha pan, co mówię?

– Tak jest.

– Zabójstwa mogą poczekać.

– Przyjąłem!

– Wykrywalność w zabójstwach jest dobra. Mamy ponad dziewięćdziesiąt dwa procent. To wystarczy, ale jak mówiłam – kobieta strzepuje niewidzialny pyłek z koszuli – cała trójca musi być poprawiona. Rozboje, kradzieże rozbójnicze i wymuszenia. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Fajnie. To do zobaczenia.

Patrzy na jej postać w za krótkiej, ciasno opinającej gruby tyłek spódnicy. Przez takie jak ona policja istnieje tylko na uroczystościach państwowych i kościelnych. I w fikcyjnych statystykach, które wymyśliły po to, by miały co robić i mogły udowadniać, że są w tej instytucji potrzebne.

– Polecam, aby wszystkie te… – kobieta macha dłonią – kalendarze z roznegliżowanymi paniami zniknęły z szatni i pomieszczeń służbowych. Proszę przekazać to podległym.

– Przyjąłem.

– Z tym – wskazuje na popielniczkę – też będzie trzeba zrobić porządek. Na razie proszę zostawić zabawę w detektywów i zająć się prawdziwą pracą.

Franz ma wrażenie, że jej biodra kołyszą się mocniej. Zaczerwienia się i ze złością miażdży niedopałek w pełnej petów kryształowej popielniczce. Prawdziwą pracą – powtarza w myślach. W życiu roboty nie widziałaś i mnie pouczasz? – myśli, wracając. Przed nim pojawia się wystraszona twarz Nowego. Starsi kryminalni kręcą głowami. Doświadczenie nauczyło ich, że w takie dni najlepiej czym prędzej schodzić komisarzowi z drogi.

– Co jest?

– Bo, bo… To nie wszystko – wydusza z siebie Nowy.

– To mów, co się jąkasz? Leje, ale wiatru nie ma.

– Ten samochód, z którego podpierdolono te tablice, to też bmw.

– No i?

– Identyczny model. Siódemka, tyle że srebrna, a nie czarna.

Mreges nie odpowiada. Wyciąga z paczki jeszcze jednego papierosa, ale go nie zapala. Morderca, którego przyszło mu ścigać, jest bardziej przebiegły, niż przypuszczał – myśli. A on, jak dotąd, nie ma nic, nic, od czego mógłby zacząć.

– Odszukasz faceta od kradzionych tablic. Obejrzyj wóz. Tak samo jak porsche, rozumiesz? I przywieź mi coś. Znajdź coś. Cokolwiek.

– Się zrobi.

– Nowy? Tylko proszę cię, kurwa, dyskretnie.

– A co jest? – dopytuje się Hanys. – Miałeś rozmowę ze Statystyką?

– Zabójstwa musimy sobie odpuścić. Dziesiony mamy robić.

– O! To teraz taką mamy Rzeczpospolitą? Polską Republikę Statystyczną! Zabicie człowieka na ulicy już nie jest ważniejsze od podpierdolenia batonika na wyrwę dzieciakowi pod Lidlem, tak?

– Co ci mam odpowiedzieć?

– Czas iść na emkę. Kiedyś był, kurwa, porządek.

Mreges nic nie odpowiada. Unosi wzrok ku niebu i stuka palcami ułożonymi jak do oddania honoru w miejsce, gdzie na mundurze jest pagon.

– Komisarzu – wyłania się głowa Rudej – telefon. Kaniewski dzwoni.

– Wreszcie! – komentuje Franz, podnosząc słuchawkę. – Halo?

39

Pomyślał, że może w tych oczach jest coś, co przypomina miłość. Odwzajemnił spojrzenie, lecz było ono z tych, jakim wąż wpatruje się w zbliżającą się do niego mysz.

– Zrobiłam to tylko dla ciebie – szepnęła. – Wiesz dlaczego?

– Ponieważ w lecie jedziemy do Wenecji?

– Owszem – uśmiechnęła się zagadkowo. – To także, ale przede wszystkim spełniłam twoją prośbę z miłości.

Musnął ją ustami. Z miłości – pomyślał, skręcając w ulicę, gdzie postanowił to zrobić. Kurwa będzie o miłości mówić. Zrobiła to, bo dostała za to szmal. Zabójstwo jednego z najważniejszych bandziorów Warszawy to nie lada zlecenie.

– Postanowiłam już – odparła po chwili. – Kończę z tym.

– Co?

– Mogę? – Wskazuje płytę CD.

– Proszę. Co miałaś na myśli, mówiąc, że kończysz?

Z głośników płyną nuty. Dziewczyna uśmiecha się, ponieważ są jej. Spogląda na twarz mężczyzny i uznaje, że podoba mu się jej gra. Pierwszy raz dotknęła smyczka w wieku pięciu lat, matka zauważyła, że ma słuch i talent. Wysłała ją na prywatne lekcje, ale wystarczyło ich tyle, by nauczyć się podstaw. Dalej, kiedy matka odeszła, wszystkiego uczyła się sama.

– Podoba ci się?

– Bardzo dobre.

– Te pieniądze, które zarobiliśmy, wydałam na studio. To jest gotowy materiał.

– Chcesz powiedziesz, że to twoja płyta?

– Tak.

– Naprawdę dobre – odparł.

– Byłam na przesłuchaniu w filharmonii. Spodobało się im. Postanowiłam, że odchodzę z branży.

– Uhm?

– Koniec z tym.

– Wspaniale!

Zaskoczyła go i się zawahał. Szybko jednak przyszło otrzeźwienie. Kurwa, choćby nie wiadomo jak luksusowa, pozostanie kurwą. Fakt, Kawka nie prostytuowała się z byle kim, o nie! To jedna z najbardziej luksusowych dziewczyn w Warszawie. Daleko jej do prostytutki, lecz czy call girl ze stawką dwóch tysięcy za numerek różni się bardzo od rumuńskiej piętnastolatki oddającej się za pięćdziesiąt złotych przy szosie?

– Co zamierzasz?

– Mam uzbierane trochę hajsu. Koniec z nocnym życiem. Wchodzę w show-business. Mam kontakty w branży. Postaram się wydać płytę. To będzie coś podobnego do tego, co robi Lindsey Stirling albo Vanessa Mae.

– To ta Japonka?

– Ona akurat ma brytyjskie obywatelstwo – mówi z zapamiętaniem Kawka. – Ale o coś takiego chodzi. Zamierzam robić coś podobnego. Wiem, że mi się to uda.

Będzie inaczej. Mężczyzna już jej nie słucha. Zatrzymuje się z daleka od latarni. Są blisko Wisły. Sięga ręką pod siedzenie, po drut.

– Chodź.

– Gdzie?

– Zobaczysz. Będziesz zaskoczona.

– No, ale powiedz coś. Nie bądź taki tajemniczy. – Dziewczyna zatrzaskuje drzwi. – Ja zawsze ci mówię. No, powiedz.

– Posłuchaj – szepcze do niej – wiesz, hm… – mruczy jak kot, podchodząc od tyłu.

Dziewczyna odrzuca włosy. Mężczyzna obejmuje ją i przytula się do jej pleców.

– …muszę to zrobić – mówi, zanurzając twarz w jej włosach.

– Nie rozumiem.

– Jesteś moim jedynym… – całuje ją w kark – …jedynym… – Następny ruch jest błyskawiczny. Pętla z drutu przecina jej gardło. Bucha czarna jak smoła krew. Zabójca odpycha trzymającą się za szyję ofiarę. Kobieta pada na skostniały od przymrozku bruk. – …świadkiem – kończy, ale Kawka już tego nie słyszy.

Kilka sekund potem jej ciało tonie w lodowatej wodzie. Plamy krwi na ziemi pokrywa olej silnikowy.

40

Kaniewski od lat jest lekarzem medycyny sądowej. To stary pijak, ale prawie wszystko można z nim załatwić, o ile tylko wie się, jak z nim rozmawiać.

– Witam, komisarzu – odzywa się jego głos. – Prosił pan o informacje, jak tylko skończymy z sekcją.

– Co tak długo?

– Wie pan, komisarzu – rozgaduje się patolog – święta i tak dalej. Urlopy mieliśmy, kilku wypadło na zwolnieniu lekarskim.

– Do rzeczy.

– Denat umarł na skutek wielonarządowych obrażeń i krwotoku.

– Niewiele mi to mówi – przyznaje Franz.

– Znalazłem pięć odłamków. Przesłałem je do CLK. Pewnie też nie będzie tej analizy od razu, pan wie, jak to u nich, ale to ta sama sprawa co u Alka i tego, no wie pan…

– Pięć odłamków? Przecież on został postrzelony?

– Tak.

– To skąd odłamki?

– Dostał w plecy, ale kulka się rozpadła.

– Rozpadła się?

– Kanał wlotowy nie naruszył żadnego nerwu. Facet żył jeszcze kilkadziesiąt sekund. Pocisk wszedł siedem centymetrów na lewo od siódmego kręgu piersiowego i przebił lewe płuco.

– Uhm.

– Nasz główny, panie świeć nad jego duszą, to samo miał. I Alek też. Wiele widziałem. Granaty, owszem, niewypały i żelastwo z wojny, ale żeby kulki się rozpadały, to takiego przypadku nie miałem.

– Ciekawe.

– Dwa odłamki rozerwały oskrzela i prawe płuco. Jeden został w lewym. Czwarty przeleciał przez osierdzie, przeponę, żołądek i jelita. Piąty przebił lewe płuco i serce. Jedna kula, a taką Hiroszimę z człowieka zrobiła.

– Z jakiej odległości padł strzał?

– Zdjęć w podczerwieni nie robiłem, ale nie ma sensu. Widać, że to strzał z oddali. Brakuje objawu Paltaufa.

– Czego brakuje?

– Jeśli strzał oddany jest z przyłożenia – ciągnie patolog – z bezpośredniego albo względnego pobliża, zostają zmiany miejscowe we krwi od gazów. Tak było u Alka.

– No, no.

– Oprócz tego otoczenie otworu wlotowego ma wówczas jaskraworóżową barwę. Tu nic takiego nie ma. Nie ma też osmalenia, brak drobin prochu, brak oparzeń i opaleń skóry. To pewne. Strzał padł z oddali.

– A dokładnie?

– To już, panie komisarzu, nie jest moja, za przeproszeniem, brocha. O to musi pan pytać balistykę.

– A co jeszcze wiadomo?

– Rana wlotowa okrągła. Średnica niewiele mniejsza niż pocisk.

– Ile?

– Pyta pan o kaliber?

– Tak.

– To siódemka. Prawie na pewno. Zresztą ci w mercedesie się pewnie określą. Nie liczyłbym jednak na coś specjalnego.

– To znaczy?

– A co to może być? Coś z sowieckiego sajuza. Nie liczyłbym na trzydziestkę magnum czy smith & wessona. To nie Los Angeles, tylko Warszawa.

– Ma pan coś jeszcze?

– Panu komisarzowi to zawsze mało. Ubytek skóry niewielki, brzegi rany można przyłożyć do siebie. W początkowej części kanału znalazłem fragmenty ubrania. Ustaliłem też kąt strzału.

– To już coś.

– Padł prawie pod kątem prostym.

– Czyli prosto w plecy?

– Jak w mordę strzelił, znaczy się tak, w plecy.

41

Służbę Bezpieczeństwa rozwiązano w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Jej struktura składała się ze szczebla terenowego oraz centralnego. Aparat terenowy tworzyły rejonowe, miejskie i dzielnicowe urzędy spraw wewnętrznych. Centralnie były departamenty, biura i wydziały MSW we wszystkich komendach wojewódzkich milicji obywatel-

skiej oraz w Komendzie Stołecznej i Komendzie Miejskiej MO w Łodzi.

Jeśli chodzi o zadania, podzielono je na ponad dwadzieścia pionów. Pierwszych sześć zajmowało się odpowiednio: wywiadem, kontrwywiadem, walką z działalnością antypaństwową w kraju, kościołami i związkami wyznaniowymi, gospodarką, a szósty wsią i gospodarką żywnościową. Dalej istniał pion studiów, odpowiedzialny za zwalczanie podziemia solidarnościowego oraz piony łączności, paszportów, ruchu granicznego, ochrony przemysłu, funkcjonariuszy, rządu, gospodarki, studiów i analiz. Istniał pion radiokontrwywiadu czy samodzielne sekcje kadr, szkolenia i wychowania. Oprócz tego oddzielną grupę stanowiło pięć biur oznaczonych literowo: A, B, C, T oraz W. Zajmowały się szyframi, obserwacją wewnętrzną, kartotekami i archiwami operacyjnymi, techniką operacyjną oraz kontrolą korespondencji.

Późnym latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, na mocy zarządzenia numer siedemdziesiąt pięć ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszczaka, powołano Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa. Miał osiem wydziałów: analityczno-informacyjny, ogólnosztabowy, zwalczający działalność ekstremistyczną w partiach politycznych i organizacjach społeczno-zawodowych, zajmujący się ochroną tajemnicy państwowej oraz zabezpieczeniem służby zdrowia i środowisk naukowo-oświatowych. Do jego zadań należało też zabezpieczenie mediów i kultury, zwalczanie działalności cudzoziemców w Polsce, zabezpieczenie stowarzyszeń i środowisk mniejszości narodowych, a także instytucji państwowych i zrzeszeń społeczno-zawodowych oraz działalność antyterrorystyczna. Szefem tego departamentu został generał brygady Włodzimierz Grygielski, znany z tego, że osobiście przez kilkadzie-

siąt lat prowadził kilku agentów rozpracowujących środowiska literackie i opozycyjne.

Oficjalnie Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa powołano z uwagi na zbliżającą się transformację po Okrągłym Stole. Przejmowanie przez Mazowieckiego kontroli nad aparatem państwowym następowało stopniowo, starzy odchodzili, a nie udało się wprowadzić do resortu nowych. Funkcjonariusze Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa mieli czas, by „zamykać sprawy operacyjne dotyczące działaczy solidarnościowej opozycji", która – jak stwierdził Kiszczak – „działa zgodnie z prawem i nie należy jej operacyjnie rozpracowywać". Jasne było, że w systemie demokracji parlamentarnej i wielopartyjności zasada podporządkowania resortu jednej partii jest nie do utrzymania. To oznaczało, że pozostało jeszcze jedno zadanie. Należało je niezwłocznie wykonać. W tym celu Grygielski w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku spotkał się z zastępcą ministra spraw wewnętrznych generałem dywizji Henrykiem Dryją oraz dyrektorem Departamentu Studiów i Analiz MSW generałem brygady Tadeuszem Szczygiełczykiem. Z tego powodu w drugiej połowie stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku do gabinetu premiera Mazowieckiego wezwany został wiceprezes Rady Ministrów, minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak.

– Rokita twierdzi, że wprowadził mnie pan w błąd.

– W jakiej sprawie?

– Panie generale, dobrze pan wie, o czym mówię – rzekł, jak zwykle flegmatycznie, Mazowiecki. – Podobno palicie akta? Napisał do mnie.

– Kiedy?

– Dziewiętnastego stycznia.

– I?

– Zażądał wyjaśnienia okoliczności wydania decyzji o niszczeniu dokumentów. Uważam, że to niesubordynacja wobec rządu. Rokita twierdzi, że zrobił to pan świadomie. Może mi pan powiedzieć, co się naprawdę dzieje?

– Postępujemy zgodnie z przepisami. Lepiej będzie – powiedział Kiszczak – jeżeli niektóre dokumenty zniszczymy.

– Lepiej? Dla kogo?

– Dla wszystkich.

– A dokładnie?

– W aktach są rzeczy kompromitujące nie tylko resort i ludzi Służby Bezpieczeństwa. One kompromitują również opozycję. Wielu waszych kolegów. Pana przyjaciół. I was.

– Zabezpieczymy je.

– Może dojść do tragedii.

– Co ma pan na myśli?

– Przecież te teczki zawierają wiele nieszczęść i upadków, nie rozumie pan tego? Tego nie można, nie należy i nie powinno się nigdy wydobywać na światło dzienne.

– Zabezpieczymy je przed niepożądanymi osobami. Lepiej ich nie palić.

– To pańska wola. Wydam zakaz palenia.

Trzydziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Kiszczak zakazuje niszczenia akt. Jednak będą one nadal niszczone do czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, a w niektórych wypadkach nawet do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

W lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku do sejmu trafiają tak zwane ustawy policyjne. Grygielski odejdzie na emeryturę w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Jego zastępca, Zbigniew Kluczyński, będzie

kierował departamentem do dziesiątego maja, kiedy Służba Bezpieczeństwa zostanie rozwiązana. Teoretycznie, ponieważ w sprawach mających szczególne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa departament Grygielskiego będzie funkcjonował jeszcze prawie przez trzy miesiące, zaprzestając działalności dopiero trzydziestego pierwszego lipca. Tyle że w rzeczywistości nie zaprzestanie jej nigdy.

Latem tego samego roku piętnaście tysięcy byłych funkcjonariuszy SB zostanie poddanych weryfikacji. W jej wyniku prawie cztery tysiące z nich przeczyta: „Komisja wyraża nadzieję, że znajdzie Pan/Pani nowe dające satysfakcję zatrudnienie poza resortem spraw wewnętrznych". Opinia publiczna nie dowie się, że dalszej pracy odmówiono najmniej doświadczonym, a zatem najmniej potrzebnym w nowym systemie. Ci, którzy zostaną, zasilą Urząd Ochrony Państwa oraz inne służby.

Ostatniego dnia lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku spotkają się Grygielski, Dryja oraz Szczygiełczyk. Powstanie ostatni, IX Wydział Departamentu Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa. Przetrwa następne dwadzieścia dwa lata.

42

Emil dostaje zaliczkę, broń i telefon, ma gdzie mieszkać. Nazywany Ludvigiem spędza czas w towarzystwie goryli Krasniqiego. Pierwszy, Luan Bajrami, milczący, powłóczący nogami Albańczyk przyjmuje go z oczywistą niechęcią. Ten potężny mańkut o karku jak u buhaja dał się zaskoczyć i nie zamierza kryć urazy. Drugi, elegancik o nazwisku Eckert, natychmiast polubił Polaka.

– Mów mi Holger. – Podaje dłoń. – Nie przejmuj się tym – macha ręką na olbrzyma – oto, co dzieje się po sterydach.

Mięśnie to nie wszystko, największa siła jest tutaj. – Wskazuje czoło. – Ale bądź czujny, nigdy nie wiadomo, co takiemu strzeli do łba.

– Jasne.

– Wsiadaj. – Eckert wskazuje mercedesa 123 coupe. – To na mnie spadł obowiązek zapoznania cię z kulisami twojej nowej pracy.

– Piękny wóz.

– To wyjątkowy model, Wiggi. – Eckerta rozpiera duma. – Zrobiono go w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Teraz już takich nie produkują.

– Prędkościomierz w milach? Ze Stanów?

– Tak, Wiggi, z tym silnikiem w Europie go nie sprzedawano. To moje oczko w głowie. Jedno z dwóch.

– A jakie jest drugie?

– Kiedyś ci pokażę. Teraz musimy załatwić ważniejsze sprawy.

– Byłeś w Stanach?

– Nie słyszysz tego, ale mam amerykański akcent – odpowiada Eckert. – Ojciec był amerykańskim żołnierzem. Matka wyjechała z nim do Bostonu, tam się urodziłem. Wróciłem tutaj już jako dorosły.

Ma około czterdziestki. Jest szczupły, wysportowany. Twarz ma pociągłą, policzki pokryte czarnym zarostem odróżniającym się od jeża w odcieniu jasnego blondu. To on jest numerem jeden wśród ludzi Krasniqiego.

– Gdzie jedziemy?

– Pokażę ci miasto. Wiesz, od razu cię polubiłem. – Usta Eckerta zdają się nie zamykać. – W końcu nie jestem już sam.

– Możesz jaśniej?

– Jesteśmy obcy, Wiggi – Niemiec zdrabnia nowe imię Emila. – Widzisz, tamci to Albańczycy, muzułmanie. Kiedyś w Niemczech wszyscy byli katolikami. Jak my.

– Nie jestem katolikiem.

– Przecież pochodzisz z Polski?

– Ale w Boga nie wierzę. Kiedyś wierzyłem, ale przestałem.

– Rozumiem, ale i tak musimy się trzymać razem.

Eckert obwozi go po klubach w Hamburgu, w których pracują dziewczyny Krasniqiego. Poznają pozostałych ludzi z rodziny. Faktycznie, wszyscy to Albańczycy.

– Wiesz, Wiggi, od razu wiedziałem, że jesteś niebezpieczny. Już wtedy, gdy zapukałeś z lufą u tego głupka pod pachą.

Emil rzuca spojrzenie. Wie, że to tylko część prawdy. Niemiec przez chwilę milczy, jakby czekał na ruch Polaka. Dokładnie przesłuchał smarkacza, którego Emil zaskoczył. I nie szczędził przy tym policzków. Młody bandyta wyśpiewał Eckertowi, że celował w Emila z zabezpieczonej broni.

– A potem, jak wybierałeś broń, tylko się upewniłem.

– O czym ty mówisz?

– Zapomniałeś?

– O czym?

– Zapytałem, jaką chcesz broń.

– I co?

– Odparłeś: „a co mam do wyboru?”.

– I co w tym dziwnego? – mruczy Emil. – Chciałem wiedzieć. To normalne.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Mogłeś wziąć glocka, walthera albo czeską cezetę – Niemiec kręci głową – a wybrałeś to gówno.

– Tetetka to niezła broń.

– I dlatego ją wybrałeś?

– A co w tym dziwnego? Jest najwęższy. Najłatwiej go schować.

– Czyżby?

– Prościej go ukryć pod ubraniem i będzie lepiej leżał w dłoni.

– Gówno prawda! Glock jest tak samo wąski. Walther jest tylko o dwa milimetry grubszy. Mają po piętnaście albo szesnaście nabojów w magazynku, a ten twój osiem. Załadowane nie są cięższe niż to twoje komunistyczne gówno.

Zapada cisza. Emil się nie odzywa. Niemiec wie, o czym mówi. Słychać radio i opływające samochód powietrze.

– Powiem ci coś – kontynuuje Niemiec – albo nie masz pojęcia o broni, albo wybrałeś ją, bo używałeś jej w poprzednim życiu. W pierwsze nie wierzę, więc zostaje druga opcja.

– Jaka?

– Strzelałeś z niej. Znasz ją.

– To nic trudnego.

– Tak. I strzela nabojem, który przebija kamizelki kuloodporne.

– Do czego zmierzasz?

– A oprócz tego była na wyposażeniu polskiej policji.

– Owszem, ale bardzo dawno.

– Byłeś gliną. Tak samo jak ja. Wiesz, że potrafimy się wyczuwać. I dlatego cię polubiłem. Bądź ze mną szczery. – Niemiec oprowadza Polaka po kolejnym lokalu.

– Tu nie będziemy rozmawiać – odpowiada były glina.

Po powrocie do wozu Emil zdradza kilka faktów z życia, pomijając te najważniejsze. Wspomina o rodzinie, o żonie, dziecku i zamordowanym bracie. Dodaje fakty z ostatniej sprawy i próby zabójstwa w więzieniu.

– Dlatego liczy się dla mnie dzisiaj, nie wczoraj – kończy opowieść Emil.

– Więc po to potrzebna ci nowa tożsamość?

– Zrozum, ja naprawdę chcę nowego życia – mówiąc to, były policjant przerywa. – Daj głośniej radio.

Eckert naciska przycisk na kierownicy.

– Istnieją poważne dowody na to – mówi dziennikarka – że ostatnie wybory u naszych wschodnich sąsiadów zostały sfałszowane. Przedwyborcze sondaże wskazywały, że Chrześcijańska Unia Jedności ma zaledwie osiem procent poparcia, podczas gdy ich oficjalny wynik podany przez polską Państwową Komisję Wyborczą stwierdza aż trzydzieści cztery procent.

– Widzisz, Holger? Na szczęście mnie to już nie dotyczy.

Niemiec wzrusza ramionami. Emil przysłuchuje się temu, co największa z niemieckich stacji radiowych ma do powiedzenia.

– To daje zwycięskiej partii w polskim odpowiedniku naszego Bundestagu większość bez wchodzenia w koalicję…

– My, Wiggi, też mamy swoje polityczne problemy.

– Ale gdybyś miał pracować na przykład w sklepie sprzedającym takie radia – Emil wskazuje środkowy panel samochodu – to ile byś zarobił?

– Nie wiem, pewnie jakieś tysiąc dwieście, tysiąc czterysta euro. A co to ma do wyborów w Polsce?

– Bo za tę samą pracę w Polsce dostałbyś trzysta, może trzysta pięćdziesiąt euro. A cena radia jest taka sama. Samochodu zresztą też. Rozumiesz już?

– …parlament Unii Europejskiej wyraża zaniepokojenie…

Niemiec nie odpowiada. Emil zerka za okno. Ulice miast są prawie takie same jak w Polsce, jednak jest coś, co je różni. I nie chodzi o to, że Hamburg jest czystszy niż Warszawa

czy Gdańsk. To przecież i tak najbrudniejsze miasto w Niemczech. Tutaj jest inaczej – myśli w drodze do ostatniego lokalu.

– Jebać to – mruczy pod nosem.

– …także obserwatorzy donoszą o szeregu nieprawidłowości…

– Wiggi? Nauczysz mnie przeklinać po polsku?

– A po co?

– Wasze przekleństwa są takie, takie… – Niemcowi brakuje słowa.

– …zajebiste? – mówi po polsku Emil.

– Zajebiste – kończy czerwony ze szczęścia Holger. – Za… je… bis… te! – powtarza, sylabizując.

Emil promienieje. Gdyby ktoś spojrzał na niego, pomyślałby, że w jego życiu nie ma trosk. Eckert przełącza stację. Łapie idealną do nastroju muzykę.

– *Vielen Dank für alles was mal war* – śpiewa do słów Die Toten Hosen. – *Vielen Daaaaank!* – przeciąga ostatnie słowo.

„Dziękuję ci bardzo, za to, co było" – te słowa są dla Emila bardzo trafione. Były glina spogląda na wystukującego dłońmi rytm perkusji niemiecko-amerykańskiego gangstera. Uśmiecha się i po raz pierwszy od kilku lat wydaje mu się, że jest szczęśliwy, choć w jego sercu tkwi niewidzialny ciężar.

43

Mreges znów wychodzi na korytarz. Zapala papierosa i zaciąga się kilka razy. Za dużo pali. Może już czas na starość rzucić? Boże – nachodzi go refleksja – na starość? A więc to już? Marszczy czoło, odpychając natrętne myśli. Musi się skupić na pracy. Tym bardziej że ten dziwak powiedział ciekawe rzeczy. Gliniarz wraca do słów patologa, kiedy dedukcję przerywa mu twarz Nowego.

– Ktoś do pana.

– Idę.

Wraca do pokoju zajmowanego przez „wydział”. Dwa obskurne pokoiki, w których nie ma miejsca na nic poza tym, co najważniejsze: szafami pancernymi. Bo chociaż policja w dwudziestym pierwszym wieku jest nowoczesna i wyposażona, to tak samo jak przed pięćdziesięcioma laty najważniejsze są szafy pancerne, dziurawione i przewlekane sznureczkami książki, referentki i plastelina.

– Kto to?

– Nie wiem, ale nie wygląda to dobrze. – Nowy wskazuje gościa.

Mężczyzna jest sporo młodszy od Franza. Niewysoki, szczupły, pachnie wodą kolońską, a jego garnitur świetnie na nim leży. Franz rozpoznaje ten typ.

– Cholera, znowu? Po co przyszedłeś?

– Mógłbyś się grzeczniej zwracać do oficera policji?

– Policji? Nie rozśmieszaj mnie. – Franz wybucha pustym śmiechem.

– A co, masz wątpliwości? Pokazać ci legitymację?

– Nie musisz. – Franz nie przestaje się śmiać. – Widać to po twojej facjacie. Bez mrugnięcia okiem wsadzisz gliniarza do paki za to, że nie postawił przecinka albo kropki.

– Takie mamy prawo.

– Szkoda, gogusiu, że twoje prawo nie interesuje się tym, gdzie policja wykupiła obowiązkowe ubezpieczenie komunikacyjne na radiowozy.

– To nie moja sprawa.

– Tylko tatusia?

– Nie po to tutaj przyszedłem, ubezpieczenia to nie moja sprawa.

– Bo nie ścigasz bandytów i nie płacisz ze swojej kieszeni za szkodę, jeśli w zdarzeniu wezmą udział dwa radiowozy, jak każdy glina.

– Skończyłeś?

– Przyszedłeś wmawiać mi, że przekroczyłem uprawnienia, waląc bandytę w mordę podczas zatrzymania?

– A przekroczyłeś?

– Ty nie przekroczyłeś, bo nigdy nie widziałeś prawdziwego bandziora.

– Zastanów się, co mówisz. I do kogo.

– Zastanawiam się, dlaczego nie widzicie związku z tym, że firma ubezpieczeniowa twojego starego sprzedaje policjantom dobrowolne ubezpieczenie na taką sytuację i co miesiąc zarabia dwa miliony dwieście tysięcy złotych.

– Co to ma do rzeczy?

– Bo widzisz, zabity komendant podobno złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez kilku ważniaków i ono trafiło do was.

Policjant Wydziału Spraw Wewnętrznych milczy. Widać, że jest zaskoczony. Hanys otwiera szerzej oczy, Nowy uważnie nasłuchuje, Ruda kręci głową, a Karlos się uśmiecha. Rozumieją już, w co Franz gra, lecz tylko Ślązak dostrzega drżenie dłoni i kropelki potu pod nosem wewnętrznego.

– Nie mam na ten temat wiedzy.

– A ja mam. Zresztą nie tylko na ten temat, braciszku.

– Zeznasz to na protokół?

– Myślisz, że chcę skończyć jak Markowski?

– Oczywiście sprawdzimy to, co powiedziałeś – zmienia temat wewnętrzny. – To mój obowiązek jako policjanta…

– Nie jesteś prawdziwym gliną. Nigdy nie byłeś i nigdy nie będziesz.

– Licz się ze słowami.

– Czego chcesz?

– Obaj wiemy czego, komisarzu Mreges – mówi policjant zakonu. – Masz mi coś wyznać. Na razie domagam się notatki służbowej, ale wydaje mi się, że zażądam wyjaśnień na protokół. – Przybysz kładzie walizeczkę na biurku Hanysa.

– W dupie cię mam. Rozumiesz?

– Może chciałbyś, ale nie możesz – uśmiecha się złośliwie garnitur. – Będziesz gadał?

– Pierdol się.

– Chcesz tutaj rozmawiać?

– Nigdzie nie będę z tobą gadał. Już powiedziałem to, co miałem do powiedzenia, tej cizi z grubasem. Nie mam nic do dodania w tamtej sprawie. Po co przychodzisz?

– Jak chcesz, mogę ci narobić wstydu przy wszystkich. Twój wybór.

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Owszem, masz.

– Posłuchaj, dupku. Przekaż szefowi moje słowa o komendancie, rozumiesz? Jak chcecie się kopać po jajach, to ja też mam czym wam przyjebać.

– Zniknął jeden z najważniejszych dowodów.

– W dupie cię mam.

– A to?

Przed oczyma Franza pojawia się powiększenie fotografii. Widać na nim Franza i Alka rozmawiających w szpitalu na Szaserów. Wewnętrzny już się nie uśmiecha, jego twarz jest zimna jak lód.

– I to?

Na kolejnym zdjęciu Franz jest w towarzystwie prawnika Koblowskiego w chwili, kiedy ten przekazuje mu informacje, jakimi przed chwilą podzielił się z wewnętrznym.

– Co ty na to?

– Zjeżdżaj – warczy przez zęby Franz. – Zjeżdżaj, mówię.

– Jak wyjaśnisz kontakty z gangsterem oraz jego prawnikiem, z których nie sporządziłeś ani notatki, ani meldunków?

– Nie myśl, że wiesz, co się stało, gnido. Nie było cię tam. Jak zwykle. Bezpieczny za biurkiem czytasz te swoje zasrane meldunki. I dlatego mogę tobą gardzić. Tobą i tobie podobnymi dupkami. Nie ryzykujecie, a tylko uprzykrzacie życie prawdziwym gliniarzom, takim jak ja i moi ludzie. – Franz wskazuje ręką przysłuchującym się Hanysowi, Rudej, Karlosowi i Nowemu. – Choć sami nie macie jaj, by nimi być.

– To, co mówisz, nosi znamiona znieważenia. A wiesz, że…

– Co ty godosz? – odzywa się nagle Hanys. – Znieważenia? – Wielki jak drzwi od katedry glina wstaje. – Syneczku – dodaje, stając w odległości piętnastu centymetrów od policjanta zakonu – albo zaraz zawrzesz gemba, albo ci w pysk zarozki maznę, śpiku jeden.

Garnitur robi krok w tył. Otwiera usta ze zdziwienia. Mówiący po śląsku wielkolud jest wyższy o głowę.

– Proszę?

– Nie rozumiesz, jak ci się po ludzku godo? Bier swoj koferek – Hanys wskazuje walizkę – i wypierdalaj albo pacnę cię tak, że wyfurgosz bez galot tym łoknem, ciulu jeden!

44

Kilka miesięcy wcześniej, przed zabójstwem komendanta głównego policji, dochodzi do spotkania w domu generała Szczygiełczyka. Okazała willa w Zatoce Czerwonych Świń w Warszawie jest tym samym budynkiem, w którym inspektor Markowski będzie potem ostatni raz widziany żywy.

Generał Tadeusz Szczygiełczyk jest byłym dyrektorem Departamentu Studiów i Analiz Ministerstwa Spraw We-

wnętrznych za poprzedniego systemu. Dziś to osiemdziesięcioczteroletni staruszek.

– Panie ministrze – mówi. – Przez telefon powiedział pan, że chce porozmawiać, ponieważ dzieje się bardzo źle. Co ma pan na myśli?

– Obawiam się, że w nadchodzących wyborach możemy zostać wypchnięci poza nawias.

– Nie przekroczycie progu?

– Przewiduję również taki scenariusz – wzdycha minister. – Pojawiły się komplikacje. Jeśli nie powstrzymamy wrogów, to koniec.

– O co chodzi?

Minister urodził się po wojnie, od końca lat sześćdziesiątych działał w solidarnościowej opozycji, przy czym im dłużej to trwało, tym kolejni politycy odczuwali wobec niego większą rezerwę. W rządzie Olszewskiego dostał teczkę ministra spraw wewnętrznych. Niestety, dane mu było piastować urząd tylko przez rok, czemu sam jest sobie winien. Zasłynął z tak zwanej dekomunizacyjnej listy Antonowicza. Odczytał w sejmie listę nazwisk polityków, którzy jego zdaniem byli współpracownikami Urzędu Bezpieczeństwa oraz Służby Bezpieczeństwa, a następnie przekazał ją dziennikarzom.

– Ech, nie wiem, jak zacząć – denerwuje się Antonowicz.

– Proszę mówić.

– Tracimy w sondażach i grunt pod stopami.

– Dlaczego?

– Nasze sprawy są już nie tylko nasze.

– Jaśniej.

– Obawiam się nieprawidłowości przy zakupach sprzętu dla policji. Jest jeszcze projekt Iryda, korweta Gawron, offset na myśliwiec wielozadaniowy i śmigłowiec. Sporo tego…

Lista Antonowicza zawierała nazwiska premiera, prezydenta oraz kilkudziesięciu posłów, senatorów, wojewodów i innych ludzi ze świata polityki. To wydarzenie przyczyniło się do odwołania rządu, a także do usunięcia Antonowicza z listy Zjednoczenia Narodowo-Chrześcijańskiego. To wtedy Antonowicz został zauważony przez departament.

– …muszę być szczery. Kilku członków Chrześcijańskiej Unii Jedności nawiązało kontakty z ludźmi, delikatnie mówiąc, o wątpliwej opinii.

– Z gangsterami?

– Och, nie! – oburzył się minister. – Nie. To znaczy obecnie nie, ale kiedyś bywało różnie. Zresztą nie oszukujmy się, ktoś przecież musi sprzedawać naszą broń, prawda?

Przez następne lata Antonowicz kontynuował karierę, zasiadając w ławie poselskiej. Najpierw jako członek niewielkiej Partii Przyjaciół Rzeczypospolitej, a następnie założyciel Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej, która ostatecznie przekształciła się w Chrześcijańską Unię Jedności.

– Jak pan zapewne wie, panie generale, kupiliśmy sześćset samochodów Mercedes Sprinter dla oddziałów prewencji. Zakup był konieczny przed mistrzostwami Europy w piłce nożnej.

– Tak.

– Mercedes wygrał z ofertą Iveco, Volkswagena oraz Forda.

– Tak.

– Kontrakt opiewał na ponad sto sześć milionów złotych. Zdecydowaliśmy się na tę ofertę, ponieważ była, naszym zdaniem, najbardziej atrakcyjna.

– Zdecydowaliśmy się, ponieważ pański partyjny kolega, a obecnie poseł Parlamentu Europejskiego Ryszard Lipski miał

w tym interes. – Wzrok generała jest twardy. – Prawda jest taka, że to on dostarczył te samochody.

– To znaczy…

– Konkretnie jego syn, Eryk. Z tego, co wiem, jest jedynym przedstawicielem Mercedesa-Benz na Polskę. Oferta Mercedesa-Benz była aż o pięć mionów droższa od Iveco. Czy tak?

– No właśnie, Iveco.

– Co właśnie?

– Iveco też byłoby dobre – zmienia zręcznie temat polityk. – Po przetargu okazało się, że taki wybór byłby odpowiedni dla dwóch biznesmenów. Mam tu na myśli Jeremiasza Wołowskiego oraz Aleksandra Koblowskiego. Są przedstawicielami Iveco na Polskę.

– A kiedyś byli gangsterami.

– Obawiam się, że nawiązali kontakt z komendantem głównym policji i przedstawili swoje stanowisko. Nie byli zadowoleni. W tym czasie ktoś doprowadził do – że się tak wyrażę – „załatwienia im" ubezpieczenia radiowozów. Wołowski z Koblowskim to akcjonariusze pewnego towarzystwa ubezpieczeniowego.

– I co?

– Dotarły do mnie informacje, że politycy Chrześcijańskiej Unii Jedności są inwigilowani przez policję i służby specjalne.

– Rozumiem. – Wzrok generała jest zimny.

– Mam obawy.

– Chce pan z tym zrobić porządek?

– Są też przetargi wojskowe.

– Tak? – Generał unosi brwi. – Co z nimi?

Zgodnie z ideą wspierania polskiej przedsiębiorczości Antonowicz zadbał, aby wybory padały na ofertę krajową. Gło-

śno krzyczał z mównicy sejmowej o miejscach pracy, o konieczności unowocześniania armii, o rozwijaniu małych i średnich przedsiębiorstw. O ile niektóre przetargi zostały wygrane przez krajowy przemysł zbrojeniowy, to w wielu przypadkach nowoczesność polskiej armii powierzono w zagraniczne ręce.

– Wolałbym nie wdawać się w szczegóły – odpowiada polityk. – Istotne, że są sprawy niecierpiące zwłoki. Ten policjant zbyt dużo wie.

– Do czego pan zmierza?

– Komendant odkrył, iż zakładane przez budżet pięć milionów złotych nie wystarczy.

– Odkrył? Dziennikarze wałkowali temat.

– Tak, ale komendant uzyskał szerszą wiedzę. Zdobył dowody na to, że przetarg był błędnie rozpisany. Zdobył informacje, że pancerz transportera jest za cienki, a do oryginalnej wieży nie wchodzi zakładane specyfikacją działko.

– Ale panie ministrze, to żadna tajemnica. Rozwiązaliśmy problem, decydując się na amerykańską wieżę i uzbrojenie.

– Tak, tak, wiem… – Minister jest zatroskany. – Tyle że z tym uzbrojeniem pojazd tonie. A miał być transporterem pływającym.

– Cóż – Generał przygląda się własnym paznokciom. – Wszyscy popełniamy błędy. Gdzie leży problem?

– Panie generale, ten policjant ma dowody, że kilku polityków mojej partii wiedziało o tym od początku. W tym ja.

To oznacza, że nieprawidłowości mogą wyjść na jaw. Przeciek osłabiłby kraj. Możliwe, że konieczne byłoby przeprowadzenie tak zdecydowanych działań jak wtedy, kiedy poleciliśmy temu durniowi ujawnić tę jego sfabrykowaną listę – myśli generał. No cóż, komendanta będzie trzeba jakoś uciszyć.

– Znajdziemy rozwiązanie.

– To nie wszystko. Ten glina wie od Koblowskiego i Wołowiny… To znaczy od Wołowskiego – polityk poprawia krawat – o nieprawidłowościach w przetargu na radiowozy. Bądźmy szczerzy, przetarg był ustawiony. Sprawa ubezpieczenia także. W kwestii uzbrojenia Amerykanie zapłacili nam dofinansowaniem do kampanii wyborczej w zamian za przychylne spojrzenie na ich ofertę.

– Uhm.

– Do Wydziału Spraw Wewnętrznych wpłynęło zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Nie mamy czasu.

– Rozumiem – odparł generał – sprawy zaszły tak daleko. Niebawem otrzyma pan instrukcje. Proszę czekać.

Generał żegna się z gościem, odprowadza ministra do drzwi, po czym zastanawia się chwilę i sięga po telefon. Wybiera numer kierowcy. Niecałą godzinę później żwirek przed jego posiadłością zachrzęści pod kołami srebrnej škody superb z przyciemnionymi z tyłu szybami.

– Dzień dobry, panie generale. – Kierowca otwiera staremu drzwi. – Pogoda nam nie dopisuje? Jak zdrowie?

– Czas ruszyć kości, nawet jeśli każda boli.

Generał mocno trzyma się poręczy. Ostrożnie i powoli pokonuje trzy płaskie stopnie, bierze głęboki wdech. Omiata wzrokiem srebrny samochód i myśli o tym, że czarny kolor byłby zdecydowanie lepszy. Cóż, škoda to jednak nie wołga.

– Tatku! – W drzwiach staje córka generała. – Telefon do ciebie!

– Cholera jasna. Kogo niesie?

– Powiedziano mi – kobieta podaje słuchawkę – żeby ci powiedzieć, że chodzi o jakiegoś pokera.

– Co? – Źrenice starca zwężają się niepostrzeżenie. – Pokera? To ten stary dureń. Gry mu się zachciewa. – Ton głosu generała opada. – Przecież właśnie się do niego wybieram – mruczy Szczygiełczyk, przykładając bezprzewodową słuchawkę do ucha. – Włodek?

– Niestety nie, panie generale – odzywa się w słuchawce kobiecy głos.

Stary unosi brwi. Po chwili rysy jego starczej twarzy ściągają się i generał sprawia wrażenie, jakby nagle postarzał się o kolejnych kilka lat. Przez następnych parę minut rozmawia ściszonym głosem, po czym w milczeniu kiwa głową i naciska przycisk kończący rozmowę.

– Stało się coś? – pyta zaniepokojona kobieta.

– Tak, niestety – odpowiada stary. – Zmiana planów. Nie jedziemy do Włodka – zwraca się do kierowcy.

– A gdzie?

– Pooddychać trochę jodem, ale jutro.

– Oczywiście, panie generale.

Przez następne pół godziny generał, siedząc w obszernym fotelu, wpatruje się w szybko przesuwające się po niebie ciężkie chmury. Piękny owczarek niemiecki śpi u jego stóp. Więc stało się – myśli.

45

Kolejne dni upływają na policyjnej codzienności. Monotonia roboty gliniarza zadziwiłaby zwykłego człowieka. Przecież prowadzenie śledztwa to przede wszystkim zbieranie papierów. Notatki, ekspertyzy, protokoły przesłuchań – świadka, biegłego. Protokoły oględzin – miejsc, rzeczy. Grube teczki, pełne makulatury. A teraz jeszcze to. Policjanci na moście Świętokrzyskim spoglądają w lewo, na brzeg Wisły od strony

starej Pragi. Niczego nie widać, ale wiedzą, że czeka ich kilka godzin pracy.

– Ruda – odzywa się Nowy. – Trzeba prosto, w Zamoyskiego, Jagiellońską i chyba trzecia w lewo to będzie Okrzei. Potem skręcisz w lewo, to będzie Krowia.

– Nie drażnij mnie. Ty miałeś jechać.

– Ale wiesz przecież, że…

– Zamknij się, kupisz piwo i będziemy kwita. Powiedz, dlaczego tak dziwnie?

– Bo Szczecińskim nie przejedziemy – opowiada Nowy. – A ona i tak ma być po drugiej stronie, od Krowiej właśnie, a nie od posterunku wodnego.

Ruda skręca zgodnie z sugestią i kieruje się w miejsce, gdzie w basenie portowym ujawniono zwłoki. Nowy nie kieruje, bo przyznał, że poprzedniego wieczoru zabawił się z dziewczyną i obawia się, czy może pracować. Niestety, jednak dostali zgłoszenie, więc z urlopu nici i dla bezpieczeństwa prowadzi Ruda.

– W sumie to dobrze – mówi Franz – że nie mamy już sprawy Markowskiego. Nigdy byśmy z tego nie wyszli.

– Zawsze jednego trupa mniej – komentuje Ruda.

– Poszłoby na umorzenie – mruczy Nowy.

– I tak pójdzie. – Franz macha ręką. – Ważne, że nas to już nie dotyczy. My mamy swoją robotę. Jest nas pięciu na miasto, które ma milion siedemset tysięcy ludzi. Czy to normalne?

– W tym kraju – odzywa się Ruda – nic nie jest normalne. Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. Prowadzimy śledztwo w sprawie, prorok tylko czeka, żeby przyjść na gotowe i postawić zarzuty. I zostać gwiazdą w telewizorni. Kręcił nosem, jak pisałem o przedłużenie, ale dał zgodę. Łaskawca! Na trzy miesiące.

Pięciu ludzi, osiem trupów, a on przedłuża postępowanie przygotowawcze w sprawie o zabójstwo na trzy miesiące.

– I co, szefie – dopytuje się Nowy. – Z Markowskim koniec? Nie węszymy już?

– Oficjalnie nie. A jak tam sprawdzanie tego, o co cię prosiłem?

Po ostatnim zabójstwie sporządzili prawdopodobny profil zabójcy. Zgodnie z pozyskanymi materiałami ma on około dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat, nie więcej niż sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, szczupłą budowę ciała. Do tego dołączyli fragment śladu daktyloskopijnego z łusek w szpitalu oraz w wypożyczonym porsche. Najważniejsze, że wszyscy zgadzają się co do tego, że zabójca ma doświadczenie z bronią i materiałami wybuchowymi. Prawdopodobnie trenuje gdzieś strzelanie. Być może to jakiś myśliwy, były wojskowy, może glina albo ochroniarz. To pod tym kątem Nowy wysłał zapytanie do dzielnicowych o typowanie w garnizonie.

– Trudna sprawa. Idzie im to jak krew z nosa.

– Nie dziw się – odpowiada Franz. – Mają swoją robotę. Wezwania, niebieskie karty, rozmowy pointerwencyjne. Jeszcze my.

– No i mandaty – wtrąca się Ruda.

– Ty wiesz, Nowy, jacy oni muszą być na ciebie wkurwieni? Nikt przecież nie lubi dokładania roboty. Nie dziw się. A jak strzelnice?

– Sprawdziłem połowę listy.

– A co z resztą?

– Sprawdzam. Papiery od dzielnicowych też trzeba czytać – nie kryje niezadowolenia Nowy. – Żmudne to.

– Nie narzekaj, wolisz niebieskie karty?

Franz jest pogrążony w myślach, a Nowy rozgląda się z tylnej kanapy. Ruda zwalnia i rozgląda się w poszukiwaniu ulicy Krowiej.

– Był tu kiedyś któryś z was? – Nawet dla takiego gliny jak on Warszawa ma zakamarki, w których się jeszcze nie było.

– Nie wierzę – odpowiada Nowy. – Podjedź kawałek. Do tego gościa. – Wskazuje mężczyznę na chodniku. – I zatrzymaj się przy nim.

– A co jest?

– Sprawę mam – odpowiada, wysiadając.

Ubrany w bluzę z kapturem i czarne dżinsy mężczyzna przystaje na widok zbliżającego się srebrnego fiata. Kiedy samochód przystaje i otwierają się drzwi, ten odwraca się i rzuca do ucieczki.

– Stój! Stój, policja! – krzyczy Nowy, ruszając w pościg.

Franz wyskakuje z samochodu sekundę później i biegnie za nimi. Ruda szarpie się z kluczykami. Jest zaskoczony reakcją młodego policjanta. Zastanawia się, czy zostać przy samochodzie. Przecież nie może zostawić nieoznakowanego radiowozu na środku ulicy.

– Nowy! – wrzeszczy Franz. – Nowy, do jasnej cholery! Co jest? – dodaje, lecz policjant już znika w zrujnowanej kamienicy. – Kurwa, gnojku, co robisz? – narzeka zdyszany.

Budynek przy ulicy Stefana Okrzei 5, do którego wbiegł Nowy, nie wygląda zachęcająco. Pozbawiony tynku sprawia wrażenie, jak gdyby czas się tutaj zatrzymał. Kamienica wygląda, jakby przetrwała nie tylko powstanie warszawskie, ale i listopadowe. O duchu współczesności przypomina napis: „Śmierć konfidentom!” na jednej ze ścian.

– Nowy? Gdzie jesteś? – Franz zastanawia się, gdzie iść. – Słyszysz mnie?

Odpowiada mu gruchanie gołębi. Nie ma czasu. W nozdrza uderza policjanta zapach stęchlizny. Do wyboru ma trzy wejścia, wybiera to na wprost. Popycha rozwalające się drzwi i kładzie dłoń na kaburze. Za drzwiami widać podwórko typowe dla Starej Pragi. Cztery sąsiadujące kamienice połączone ciemnym, pełnym błota podwórzem. Czteropiętrowe, wysokie budynki wyglądają tak samo.

– Kurwa, Nowy – narzeka Franz. – Tak się nie robi.

Przez ten jego, nie wiadomo, z jakiego powodu, pościg złamali zasady. Teraz każdy jest sam w obcym terenie i w dzielnicy o najwyższym wskaźniku poważnych przestępstw.

– Szlag by to trafił – mruczy, idąc przez podwórko. – Pieprzony gówniarz.

Żaden policjant nie jest tu mile widziany. Pełno tu pustostanów, a w nich kryją się ci, którym na niczym już nie zależy. Jeśli zza zgniłej futryny jakiś miejscowy dziabnie któregoś z nich nożem, wszyscy będą mieli przesrane. Franz odczuwa strach. Przystaje na chwilę i nasłuchuje, bo zdało mu się, że słyszy jęki w mieszkaniu po prawej.

– Nowy? – odpowiada mu skrzypienie blachy na wietrze. – Nowy? Gdzie jesteś? – Odpadające spod tynku ciemnoczerwone cegły odpowiadają echem.

Franz wchodzi do kolejnego budynku. Przez chwilę słyszy jęk. Czuje, jak przeszywają go dreszcze. Przeładowuje broń. Wnętrze uderza go smrodem gnijącego jedzenia i mieszanką odoru wymiocin, kału, moczu i chemikaliów. Ściany są czarne, spod brudu wyłania się wzór popularnego w PRL wałka. W kącie piętrzy się stos pustych butelek, puszek po najtańszych piwach, woreczki sklejone klejem, słoiki, kartony i reklamówki z Biedronki.

– Nowy?

Glinie odpowiada cisza. Franz posuwa się ostrożnie, stawiając stopy pomiędzy śmieciami. Mieszkanie to, choć trudno wnętrze pomiędzy tymi czterema ścianami z oknem zabitym deskami tak nazwać, pełni funkcję składziku połamanych mebli. Wszystko, co tu zgromadzono, jest z drewna: połamane krzesła, wersalki, fragmenty tandetnych meblościanek z czasów Gierka oraz regały z płyty pilśniowej.

– Kurwa! Nowy? – Franz wycofuje się na korytarz. – Gdzie jesteś, do ciężkiej cholery?

– Franz?

– No? Wreszcie! Gdzie jesteś?

– Na górze!

Franz rusza na piętro. Tam powtarzającym się elementem krajobrazu meliny są plastikowe butelki. Największe wysypisko znajduje się w pomieszczeniu z piecem. Stos sięga do parapetu. W drugim kącie nie jest lepiej. Kafle pieca poplamione od zaschniętego tłuszczu, a więc to kuchnia – myśli Franz.

– Tutaj! – dochodzi z głębi. – Chodź tu!

– Idę!

Przez chwilę serce zamiera w piersi Franciszka Mregesa. Przypomina sobie słowa policjanta, który dawno temu uczył go fachu: spróbuj nie dać się zabić.

– Mówi, że nic nie wie – mówi Nowy, przyciskając lufę do czoła typka z ulicy.

– Oni zawsze tak mówią!

– Skurwiel, może go tutaj odpalimy? Nikt się nie dowie, co?

– Nowy, ochujałeś? Dorwą nas po klamce.

– To nie moja broń.

– Będzie lepiej dla ciebie – mówi do przerażonego kibola Franz – jak powiesz wszystko, co wiesz.

– Ale ja naprawdę nic nie wiem!

– Franz! – dochodzi nagle z zewnątrz. – Nowy! Gdzie jesteście?

Policjant się uspokaja. Powoli wypina magazynek, przeładowuje tak, aby pestka trafiła w otwartą dłoń, i wkłada nabój do magazynka. Sprawdza raz jeszcze, czy komora nabojowa jest pusta. Podłącza magazynek. Manipulacje bronią płoszą kibola.

– Co jest? – Ruda wpada do pomieszczenia. – Ożeż! – Nie rozglądając się, wchodzi pomiędzy policjantów. – Dlaczego uciekałeś? – Gliniarz wymierza cios pięścią w brzuch uciekiniera.

– Myślałem, że chcecie mnie napaść.

– A co masz za uszami? – Ruda uderza raz jeszcze.

– Nic.

– Nic? Dziwne.

– Naprawdę nic. Przysięgam!

– A ja jakoś ci nie wierzę. – Ruda dokłada jeszcze jeden cios w brzuch. – I ci nie ufam – Uderza ponownie. – A czekaj, czekaj? Czy myśmy nie mieli już przyjemności?

– No, byłem u was. Pan to mnie nawet po mordzie lał.

– Znaczy, że rozmawialiśmy?

– Tak, tak, rozmawialiśmy.

– Dość gadania. Chodźcie, robota czeka. Jeszcze nam opony poprzecinają. Zabieramy go. Wrzuci się na bęben i zobaczymy, czemu uciekał.

– Nie, panowie! Powiem! Wszystko wam powiem.

– To słuchamy! – mówi Ruda. – Na co czekasz?

– Poszedłem z wami na układ. – Mężczyzna skręca się z bólu.

– Jaki układ? – dopytuje się Franz.

– Z takim od was, wysokim, łysym, co mówi jak Ślązak – tłumaczy uciekinier. – Bo ja, ja… Trochę sobie na dragach zarobić chciałem.

– No i co?

– I on mi darował, w zamian miałem dowiedzieć się paru spraw.

– Jakich?

– O komendancie, co ktoś go odpalił.

– Skąd wiesz, że ktoś go odpalił – mówi Franz. – Przecież to był wypadek?

– Pytałem, jak Ślązak kazał. A że znajomości mam, to się dowiedziałem.

– Co konkretnie?

– Markowski kręcił lewe interesy z chłopakami z miasta.

– Z kim?

– No z kim, to ja nie wiem – odpowiada diler. – Ale chodzi o moją branżę. Podobno miał się z szefostwem układać.

– Czyli z kim? Mów!

– Hurt w Wawie to Wołowina, Kikir i Alek. Chłopaki z Wołomina, Legionowa i Pruszkowa działali na ich zlecenie. Wasz zaczął się stawiać, no to go skreślili. Jakiś czas potem ten pan – dresiarz wskazuje na Nowego – zaczął kręcić się za mną. Myślałem, że ludzie z miasta coś wywęszyli, że z wami na układ poszedłem. Dlatego dałem dyla.

Franz i Ruda spoglądają w milczeniu na Nowego, ten kiwa głową. To, co opowiada dresiarz z przerośniętym karkiem, trzyma się kupy. W tej samej chwili dzwoni telefon.

– Zaraz będziemy, panie prokuratorze – odpowiada Franz. – Mieliśmy małą przygodę.

Kilka minut później są w Porcie Praskim. Franz jest zły na Nowego, ale spodobało mu się przedstawienie z rzekomo lewą klamką. Nowy milczy naburmuszony po wysłuchaniu

opinii na temat tego, co zrobił. Raz, że dupa jest, a nie policjant operacyjny, skoro szczaw zorientował się, że jest śledzony. Dwa, że naraził wszystkich, wyskakując bez słowa z samochodu.

– Dziwne.

– Co?

– Pamiętam ją skądś. – Ruda spogląda na zwłoki. – Szkoda jej.

Na falach kołyszą się dwie motorówki z komisariatu wodnego po drugiej stronie basenu. Jest zimno, nieprzyjemnie i ponuro. Bezlistne gałęzie drzew potęgują upiorne wrażenie. Trup kobiety leży na plandece straży pożarnej.

– Może to wypadek? – sugeruje Nowy.

– Kąpała się w marcu z taką raną na szyi? – Komisarz wskazuje długopisem bruzdę pod brodą.

– A, dobra, teraz widzę. Ktoś ją najwyraźniej fachowo udusił.

– Dlaczego fachowo?

– Bo widzi pan, panie komisarzu – w tonie Nowego jest coś dziwnego – to wygląda na pętelkę z drutu. Służy do szybkiego i cichego duszenia ofiar. Dawniej bardzo lubiana, do tego stopnia, że w dziewiętnastym wieku konstable nosili specjalne kołnierze uniemożliwiające uduszenie nią.

– Skąd wiesz takie rzeczy?

– Lubię czytać. I filmy oglądam.

– Tak… – odpowiada Mreges – …a powiedz, skąd wiesz, że ktoś ją drutem udusił, a nie poderżnął brzytwą?

– Rana jest za długa. Widzi pan, panie komisarzu? – Policjant wskazuje ślad aż pod żuchwą. – Niczym ostrym aż tak daleko się nie zajedzie.

– No, zaimponowałeś mi. Ja widzę tylko, że nie pływała długo. Chociaż z drugiej strony temperatura wody wydłuża okres rozkładu.

Przesuwa wzrok po bladej jak marmur skórze. Szuka czegoś, co niezwykłe. Nie interesują go pijawki ani miejsca wyjadania tkanek przez ryby.

– Skąd pan wie?

– Nie śmierdzi. I takie robactwo – wskazuje dużego ciemnozielonego chrząszcza – łazi tylko po świeżych topielcach. Skóra nie jest podziurawiona, nie ma larw, nie zdążyły się jeszcze wylęgnąć.

– Ktoś chyba jej przylał – zauważa Nowy.

– Po siniaku wnosisz? – pyta Ruda.

– To nie siniak. – Franz wpatruje się w twarz nieboszczki. – To ślad od podbródka.

– Od podbródka? – powtarza zdumiony Ruda.

– Tak się nazywa poduszka na pudełku rezonansowym skrzypiec. – Franz spogląda Rudej w oczy. – To jest skrzypaczka.

– Raczej była.

– Kurwa, Franz! Zajebisty geniusz z ciebie! Mam już! – Ruda pstryka palcami. – Gadałem z nią. Grała w sylwestra na imprezie w Cosa Nostra. Teraz skojarzyłem. Przesłuchiwałem ją po zabójstwie Wołowiny. Niczego nie chciała powiedzieć. Cwaniara. To ona z nim wyszła nad Wisłę.

– No to mamy już związek z naszym kilerem.

– No. Nic nie chciała powiedzieć, a teraz skończyła w Wiśle – odpowiada ponuro Franz.

46

To już dziesiąty tydzień dla Agrona Krasniqi – pomyślał Emil, lustrując salę. Jak niemal codziennie pojawił się w to-

warzystwie Eckerta w jednym z nocnych klubów kontrolowanych przez szefa. Były glina rozumiał już, że biznes Albańczyka nie polega na prowadzeniu lokali, bo tych Krasniqi ma zaledwie trzy. Prawdziwy biznes Krasniqiego stanowi ochrona.

– Na razie będziesz bezpośrednio ochraniał szefa oraz prowadzenie jego interesów – usłyszał Emil, zapytany o to, czym będzie się zajmował.

Emil zauważył, że trzon ludzi Krasniqiego to „żołnierze" czuwający nad bezpieczeństwem dyskotek i lokali. Zwykle niewykształceni, wyrośnięci dwudziestolatkowie, których pasją są tatuaże, siłownie i panienki.

– Pracują zupełnie legalnie – zdradził kilka dni wcześniej Eckert. – Jak pewnie zauważyłeś, ich zadaniem jest pozostawać widocznymi.

– Domyślam się.

– W razie konieczności mają przekazać informacje cieniom.

– Co? – Emilowi niemiecki wciąż sprawia problemy. – Dobrze zrozumiałem? Cieniom?

– Tak, Wiggi, cieniom. Takim jak ja, Luan albo ty. Pojawiamy się i likwidujemy zagrożenie. Przy czym to zwykle Luan wymierza sprawiedliwość. Po prostu jest w tym dobry – dodaje z ostrożnym uśmiechem Niemiec.

Wkrótce Emil odkrywa, że najmłodsi, nienadający się na „żołnierzy" Albańczycy rozprowadzają narkotyki, a także kontrolują uliczną prostytucję. Nieszczęśnik, któremu Emil złamał nos, był jednym z nich. To oni wyszukują klientelę na nieco droższe dziewczynki i przekazują informację wybranym cieniom.

– Wszystko w swoim czasie, Wiggi – odpowiedział pewnej nocy Eckert, zapytany o interesy Krasniqiego. – Na razie rób, co ci każą, nie wychylaj się, nie pytaj.

– Nie ufacie mi?

– Zaufanie to wielka rzecz. Buduje się je latami.

Kiedy pierwszy raz Eckert zabrał Emila na zebranie udziału w zyskach od pewnego właściciela lokalu, Emil zrozumiał. Jest testowany. Przy okazji zaopatrywania najmłodszych dilerów w półhurtowe dawki narkotyków i dokonywania rozliczeń z nimi pomyślał, że Krasniqi z pewnością bacznie mu się przygląda. To, że są ostrożni, nie zdziwiło go. Poczuł się jak kiedyś, kiedy nikt mu nie ufał jako posterunkowemu.

Tamtej nocy Hamburg pogrążony był we mgle, która utrzymywała się od wielu godzin, ograniczając widoczność do zaledwie kilkudziesięciu metrów. Po północy Krasniqi spotykał się na neutralnym gruncie – a to oznaczało lokal na mieście – z gościem z Albanii. Pogrążony w myślach Emil dyskretnie wpatrywał się w sylwetki w wydzielonej części lokalu.

– Co to za człowiek? – szepcze do Eckerta Emil.

– Łebski facet. Nasz przedstawiciel na Albanię.

– Nie ten.

– A który?

– Ten z blizną nad okiem. Przy barze. Widzisz?

Ktoś, kto nie wiedziałby, że Emil i Eckert są odpowiedzialni za ochronę swojego szefa, mógłby uznać, że Krasniqiego ochrania jedynie Luan Bajrami, siedzący w loży obok swojego szefa. Potężny Albańczyk o byczym karku z daleka zwracał na siebie uwagę. Tymczasem w dwóch różnych miejscach lokalu rozlokowali się jeszcze Emil i Eckert. Niemiec, jak zwykle elegancki, siedzi przy drzwiach. Emil,

mający na sobie wypłowiałą bluzę w kolorze khaki, jest jeszcze dalej. Lokal jest pełen ludzi.

– Nie mam pojęcia – odpowiada do mikrofonu w rękawie Eckert. – Nigdy go nie widziałem.

– Może to znajomy Bajramiego? – Emil dociska słuchawkę w uchu.

– Nic o tym nie wiem.

– Coś jest nie tak – dodaje Polak, kiedy zwalnia się stolik bliżej. – Podejdę.

Eckert obserwuje Emila. Polak wstaje, podchodzi i zajmuje miejsce. Widzi, że mężczyzna z blizną przygląda się nie tylko potężnemu Albańczykowi, ale także siedzącym z nim mężczyznom.

– Tylko nie rób przedstawienia – uśmiecha się Eckert. – To zwykły frajer.

– Luan – zwraca się do olbrzyma Emil. – Znasz gościa przy barze?

Olbrzym, żując gumę, wolno odwraca głowę i niby przypadkiem zerka. Brodacz jest w wieku około pięćdziesięciu lat, ma czarne włosy i zarost. Nie wygląda na gangstera. To z pewnością Muzułmanin.

– Nie znam go.

Emil, siedzący bokiem do brodacza przy barze, ma świetną widoczność. Zamawia piwo u kelnerki. Wyjmuje papierosa, obraca go w palcach, lecz nie zapala. Jeszcze trzy dni do końca miesiąca. Kiedy pszeniczny Paulaner pojawia się przed byłym gliną, Krasniqi wstaje. W tej samej chwili Emila ogarnia nieuchwytne uczucie, że coś się wydarzy. Polak odpina kaburę.

– Wiggi, co jest? – trzeszczy w słuchawce głos Eckerta.

Ten jednak nie odrywa oczu od brodacza. Sprawia na Emilu wrażenie zdecydowanego na wszystko. Ludzie w lokalu są

zrelaksowani albo podpici, tylko ta jedna twarz jest skupiona i spięta. Były glina zna ten wzrok. Widział go w oczach ludzi w kajdankach.

– Może go już widziałem – rzuca Luan, zbliżając się do brodacza, eskortując szefa do toalety. – Nie jestem pewien.

Emil nagle rzuca się na Krasniqiego. Powalony upada. Albańczyk nic nie rozumie. Wyjmując broń, Polak krzyczy:

– Nóż!

– Luan! – woła Eckert. – Uważaj!

Mężczyzna w czerni widzi wszystko bardzo wyraźnie. Rozpoznaje nóż kudu. Ostrze zamaszystym łukiem przecina powietrze o centymetry od gardła Krasniqiego. Potężny Albańczyk jest silny, lecz dał się zaskoczyć. Następny ruch brodacza otwiera tętnice i żyły na szyi olbrzyma. Widać, że napastnik świetnie posługuje się krótkim nożem o zakrzywionym ostrzu. Eckert sięga pod pachę, kiedy rozlega się huk. Emil, leżąc na plecach, strzela spomiędzy kolan. Padają dwa niemal jednoczesne strzały.

– *Scheiße*! – szepcze z ręką na kaburze Eckert. – *Verdammte Scheiße*!

Obie kule przebijają brodacza na wylot i roztrzaskują butelki z alkoholem za barem. Tak, cholera jasna. Było blisko. Trafiony w pierś pada na kontuar i się osuwa. Postrzelony leży na podłodze i charczy. Po chwili umiera. Olbrzym trzyma się za gardło jeszcze kilka sekund, po czym pada we własną krew. Eckert w kilku skokach jest przy swoim szefie.

– Co powiedział? – dopytuje się Emil. – Zrozumieliście?

– To za nią – jąka się przerażony Krasniqi. – Za moją córkę. To po albańsku. Dokładnie: to za nią, Agron, za moją córkę. Ciągle to powtarzał.

– Zna go pan?

– Nigdy go nie widziałem.

– Widać on znał pana. – Polak chowa broń. – I wiedział, kim pan jest.

Czarne, przerażone oczy Albańczyka zatrzymują się na twarzy Emila. Prosi Polaka o papierosa. Emil patrzy na drżące dłonie gangstera. Dociera do nich, że na podłodze miał leżeć Agron Krasniqi.

47

Ta noc jest mroźna i czarna jak atrament. Zbliża się czwarta rano. Z radia w dwupokojowym mieszkaniu na Mariensztacie dobiegają dźwięki gitary. Z popielniczki wysypują się pety, pod żyrandolem unosi się dym. Źdźbło turówki wonnej w butelce sygnowanej etykietą Bison Grass jest suche. Franz stoi przy oknie wpatrzony w opadającą w stronę Wisły Bednarską, słuchając urzekającego tenoru Garfunkela.

– Franz?

– No?

– Powiedz, dlaczego zawsze tylko te szlugi jarasz? – mruczy Nowy.

– Widzisz, jak mało wiesz. – Policjant wraca do stołu. – To nie są zwykłe szlugi.

– Przecież to tylko gauloise'y.

– *Liberté toujours*.

– Co?

– Zawsze wolność – odzywa się wpatrzony w ekran telewizora Hanys. – To po francusku. Możesz nie znać symboli, bo jesteś świeży, wybaczamy ci.

Hanys też nie zna francuskiego. I też kiedyś, dawno, zadał Franzowi to pytanie. Otrzymał identyczną odpowiedź.

– Palił je Picasso i Orwell.

– No i co z tego?

– Są symbolem wolności. A ona jest najważniejsza, rozumiesz?

– Nie.

– Palenie tych fajek było za Hitlera we Francji uważane za akt patriotyzmu i poparcia dla ruchu oporu. Zawsze wolność, mały. Rozumiesz teraz?

– Dla mnie to bzdury.

– Ale nie dla mnie. Wiesz, czego najbardziej się boję?

– Starości?

– Tego samego co Hanys, Karlos czy Ruda. Tego, czego boi się każdy z nas. I to nie starość, bo jej nie dożyjemy. W tym kraju ZUS wychuja każdego.

– Boisz się siedzieć?

– Właśnie. A one – wskazuje paczkę – to mój talizman. Zawsze wolność.

Dwie flaszki po żubrówce stoją na stole, trzecia, też pusta, leży przewrócona, kolejna jest w trzech czwartych opróżniona. Telewizor ma wyłączoną fonię.

– Pomyśl, Nowy. Wyglądam jak bandyta, potrafię myśleć jak on, umiem pić i żyć jak bandyta, ale jestem gliną. Jak ty i Hanys. Wiesz, czym różnię się od bandyty?

– Przestrzegasz prawa?

– Bandyta to człowiek, którego szukam. Jestem od tego, żeby go znaleźć, a on od tego, aby uciekać. Bo jego miejsce jest w więzieniu. Po prostu. Jego, nie moje. I tylko tym się różnimy. Cała reszta to gówno.

– No.

– Służę, bo jestem psem, to moje zadanie. Metody, którymi to robię, są, delikatnie rzecz biorąc, kontrowersyjne. Jeśli dam dupy, po mnie. I chyba dałem dupy.

– A czemu nie masz głosu w telewizorze?

– Fonii?

– No przecież mówię.

– Jak nie mam? – bełkocze Franz. – Mam, ale mi to niepotrzebne.

Nowy unosi głowę, na jego zmienionej alkoholem twarzy rysuje się zdumienie. Hanys rozlewa wódkę do kieliszków. Zaskakujące, ale udaje mu się nie uronić ani kropli.

– Co ty pierdolisz? Głos w telewizorze jest jak… jak… – szuka słowa Nowy – …jest jak ryba bez wody.

Franz sięga widelcem po korniszona. Za pierwszym razem chybia, za drugim również. Rezygnuje z użycia widelca i wyjmuje ogórka palcami.

– Sam jesteś ryba. Konkretnie płotka lub leszcz ewentualnie. A wiesz czemu?

– Czemu?

– Bo nie rozumiesz, że prawdy ci w telewizorze nie powiedzą. Lepiej go oglądać niż słuchać. Tak jak żonę.

Pomiędzy zapełnionymi żubrówką kieliszkami majaczy krakowska sucha w plasterkach, marynowane podgrzybki i śledzie w oleju. Gdzieś daleko jedzie na sygnale radiowóz albo karetka. Może ktoś potrzebuje pomocy? A może jakiś idiota właśnie zadzwonił po policję, bo pies sąsiada zrobił kupę na trawniku?

– Wiecie – bełkocze Franz – ile mamy w roku niewyjaśnionych zabójstw?

– Za moich czasów – odpowiada Hanys – było około sto.

– Stu! – Nowy podnosi głowę. – Mówi się „około stu”.

– O! Kot zajebany, sierściuch cholerny – oburza się Hanys. – Języka będzie bronił.

– Daj spokój. – Franz podnosi palec. – Dzielnie się trzyma mimo miażdżącej przewagi wroga. I beznadziejnej… – czkawka przerywa Franzowi zdanie – …sytuacji. Melduję, że

trzyma się dzielnie, pijąc ze starszymi stopniem, stażem i wiekiem jak równy z równym.

– Bohater, kurwa! Order mu dać.

Ale opuszczona głowa i tlący się w kąciku ust Nowego papieros nie pozostawiają wątpliwości. Przegrał w obliczu nieuchronności klęski.

– Beton trzeba podlać, żeby nie popękał. – Nowy układa głowę na stole.

– Teraz pewnie niewiele się to zmieniło – cedzi przez zęby słowa Hanys, tak aby były wyraźne.

– No to siup!

Wypijają, krzywią się, a Hanys znów rozlewa resztę ciepłej już wódki. Ruda śpi na kanapie, na plecach, cicho pochrapując. Pokonany. Z całego wydziału jego łeb jest najsłabszy, co daje mu przewagę, rzecz jasna z opóźnieniem, bo jego kac jest najmniej dotkliwy. Nie licząc Karlosa, ale on pić już nie może.

– Nowy, kurwa, co zrobiłeś ze świadkiem?

– Mmm. Dziękuję – mruczy – mam dość.

– Co?

– Mam dość, panie aspirancie.

– Przestań pierdolić. Resztka została. Dawaj go – warczy Hanys. – Ślubowałeś chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny?

– Tak jest!

– Nawet z narażeniem życia?

– Tak jest! – Nowy zamglonym wzrokiem szuka kieliszka. – Bezapelacyjnie. Do samego końca. Mojego lub jej – pokrzykuje, stawiając przewrócony kieliszek.

– To pij!

– Rozkaz!

– Za nas! – Hanys wznosi toast.

– Za nas, z wami – dodaje Nowy.

– Za nas, z wami i chuj z nimi! – dodaje Franz. – Na pohybel skurwysynom – mruczy i natychmiast dostaje czkawki.

– O! To ładny toast! – komentuje, mrugając okiem, Hanys. – Może jeszcze *Balladę o Janku* zaśpiewamy? Co?

Franza nie bawi aluzja do filmu. Nowy powstrzymuje odruch wymiotny. Zapija gazowanym napojem. W jego ustach wódka miesza się ze smakiem aspartamu.

– Melduję, że świadek oczyszczony z zarzutów!

– A złoty zegarek też masz?

Śmieją się niemal minutę, potem zapada milczenie. Deszcz dzwoni o blaszany parapet. Nowy macha dłońmi, jakby chciał pokazać, że nie ma przejazdu. Niezgrabnie odwraca kieliszek dnem do góry, po czym wstaje i kładzie się obok Rudej.

– A widzisz! – Franz wciąż czka. – Jest dokładnie o połowę mniej.

– Co?

– Zabójstw. Jest do… dokładnie o połowę mniej.

– A to ciekawe. I co z tego?

– A i… – znów czka – ilu mamy samobójców?

– Za moich czasów było ich tysiąc.

Nagle dochodzi do nich chrapanie. Spoglądają na Nowego, który zaciąga coraz głośniej powietrze nosem.

– To nam Janek Wiśniewski padł – komentuje Franz. – Teraz mamy prawie dziesięć tysięcy.

– No i co z tego? – Hanys sprawia wrażenie nienadążającego. – Co to ma do rzeczy?

– Jak się nie wykrywa sprawcy zabójstwa, to ukręca się to na samobójstwo albo wypadek. Tak jak z komendantem.

– Co chcesz powiedzieć?

– Odpalił go zakon.

– Skąd wiesz?

– Od Alka.

W następnych zdaniach Franz streszcza szczegóły tego, co powiedział przy policjancie z zakonu. Dodaje nieprawidłowości przy przetargu na samochody, transporter opancerzony dla wojska, korwetę rakietową dla marynarki wojennej oraz śmigłowce.

– To nam się nieciekawie zrobiło.

– A strzyka mi w krzyżu – mówi Franz – że teraz będą chcieli nas odpalić. Dyskretnie. Stara nieprzypadkowo kazała się nam sprawą nie zajmować. Widzisz, u nas w fabryce samobójstwa zdarzają się dużo częściej. Tak mówi statystyka. Tak jak z Markowskim. Dlatego pytałem cię o lewe kwity.

– No i co?

– Bo na początku będą chcieli nas zwolnić.

– To niech próbują. Nic na nas nie mają.

– Mają. – Franz kiwa głową. – Na mnie haka już mają.

– Jakiego?

– Dowód zniknął. Łuska z dachu. Była, ale jej nie ma. Zniknął. Jedyny dowód świadczący o tym, że Markowski się nie zastrzelił. Pani zastępczyni zakomunikowała mi, że postępowanie wyjaśniające w tej sprawie ruszyło.

– To dlatego ten wewnętrzny się za tobą kręci?

– Nie wygląda to dobrze, Hanys. – Policjant kiwa głową. – Dojebią mi, jak tylko coś znajdą. I na was też znajdą, szczególnie na ciebie, bo też tam byłeś.

– I też nie wierzę, że Markowski sam sobie w łeb strzelił.

– Koniec z fałszowaniem statystyk. Trzeba robić, jak w książce jest napisane. Zaczną węszyć, to się do tego przypierdolą.

– A co powiesz starej?

– Na razie grajmy na zwłokę. Przez parę tygodni się utrzymamy, może do tego czasu coś znajdziemy.

– Mówiłeś, że ile jest tych samobójstw?

– Co najmniej kilkanaście – odpowiada Franz. – Każdego roku kilkunastu gliniarzy odbiera sobie życie. Kurwa, Hanys, od dziewięćdziesiątego więcej gliniarzy strzeliło sobie w łeb, niż kojfnęło na służbie! Robisz już niejeden rok… – mówi ponuro – … i czy myślisz, że jesteśmy inni niż cywile? Że wśród cywilów samobój to dwa, trzy trupy na sto tysięcy, a u nas dziesięć? Nikogo nie dziwi to, że nie ma listów, że nikt nie dzwoni, nie żegna się, nie ostrzega? Czemu cywile piszą listy, dzwonią, żegnają się, nawet polisy zakładają, a gliniarze nie? Myślałeś o tym?

– A ty myślałeś?

– Nieraz. A co u ciebie w domu?

– Nieustające pasmo sukcesów – odpowiada z ciężkim sercem Hanys. – Wiesz przecież, przeżyłeś to wcześniej niż ja.

– Zabezpiecz się, Hanys, tak na wszelki wypadek. Żebyś miał gdzie mieszkać, ewentualnie za co żyć, gdyby coś nam się stało. I list napisz.

– Wiesz, że Karlos dotarł do billingów Markowskiego? Sprawdziliśmy je. Pamiętasz, jak abwera kasowała nasze dokumenty?

– I co?

– Były tam billingi?

– Nie było.

– A my je widzieliśmy z Karlosem na własne oczy. Sami o nie wystąpiliśmy do Orange. A potem zniknęły. Minutę przed śmiercią nasz generał rozmawiał przez telefon. Ten numer był resortowy.

– Co?

– To, co słyszałeś.

– Czuję, że – dodaje Franz – będziemy mieć breloczek na komendzie. I to mogę być ja albo ty, albo ktoś inny. Ta spra-

wa śmierdzi. Najpierw ta przeklęta łuska, a teraz jeszcze telefon.

– Powiesić się chcesz?

– Jeśli będę musiał odejść, odjebię się klamką, jak glina. Nikt nie będzie mnie musiał odcinać. Alek powiedział, że to zakon. I ja mu wierzę. Powiedział też, że sprawa sięga Wiejskiej i Alei Ujazdowskich. Dlatego węszą. Na zlecenie kogoś z rządu.

– Jedna jaskółka wiosny nie czyni. To nic nie znaczy. Węszą, bo to ich robota.

– Ale inny mój uchol puścił mi taki sam cynk.

– A skąd Alek miałby to wiedzieć?

– Powiedział, że on, Wołowina i Kikir interesy na gruby szmal robili. Wszystko pasuje. Miał mi papiery dostarczyć, ale jak widzisz – wzdycha Franz – nie zdążył.

– Musimy iść tym tropem.

– Oficjalnie nie ma jak, Hanys. Zaczniemy się nad tym kręcić, to zwęszą, że coś wiemy. Jakbyśmy chcieli nakaz uzyskać albo na blachę wejść do Alka domu, to też się odkryjemy. W czarnej dupie jesteśmy.

– Jest jeszcze jego prawnik. Zresztą takich papierów nie trzyma się w domu.

– Wiesz, że możemy przegrać?

– Czemu?

– Policja to największa w Polsce zorganizowana grupa przestępcza o charakterze zbrojnym – mówi Franz.

– Musimy czekać.

– Wiem, ale my będziemy czekać, a czas nie. Oni nas wrabiają, a my mamy się temu przyglądać?

– A masz inny pomysł?

Franz nie odpowiada. Już prawie piąta. Noc jednak jest tak samo czarna jak wtedy, kiedy siadali do stołu, i tak samo

czarna jak ich wnętrza. Tym razem radio serwuje smętne zawodzenie na trąbce. Franz uśmiecha się wreszcie i Hanys wie, że w tym uśmiechu jest braterstwo. I przerażająca samotność gliny.

– Przy takiej muzyce – Franz ma na myśli balladę Lorenca – wódka smakuje najlepiej.

– Na pohybel wszystkim, którzy sprawili nam niegodziwość.

48

Andżela jest zaniepokojona. Telefon wciąż milczy. Poprzez kontakty w departamencie dziewczyna stara się ustalić lokalizację aparatu, ale na próżno. Jest przecież tylko plutonowym w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Kiedy jednak pod drzwiami jej domu staje kurier i przekazuje bez pokwitowania tajemniczą walizkę, zapomina o dziwnym telefonie i nieuchwytnym bracie. Jej uwagę zaprząta nieprzyjemna niespodzianka.

– Jesteś mi winien przysługę, pamiętasz?

– Jasne – odpowiada kolega dziewczyny. – A co trzeba?

– Mam pewien delikatny problem.

– Domyślam się.

– Tyle że – zawiesza głos dziewczyna – wolałabym, aby nikt się nigdy o tym nie dowiedział.

– Ślubuję strzec tajemnicy prawnie chronionej, honoru, godności i dobrego imienia służby oraz przestrzegać zasad etyki zawodowej.

– No, właśnie o etykę chodzi.

Kolega Andżeli pracuje w innym niż ona, bo w V Departamencie, ale właśnie dzięki temu bardziej się przyda. Tylko w Centrum Antyterrorystycznym i we Wsparciu Operacyjno-Technicznym mają odpowiedni sprzęt.

– Posłuchaj. Powiedz mi, jak sprawdzić, czy coś jest bombą?

– Są różne metody – odpowiada agent. – Przechodziłaś szkolenie podstawowe.

– Tak, właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Bo agentami to jesteśmy na filmach z Bondem. Gdybyś potrzebował ujawnić lipną informację, zadzwoniłbyś do mnie, prawda?

– No.

– Ja mam problem z bombą, więc dzwonię do ciebie.

– Bombę masz?

– Nie wiem, dlatego dzwonię.

– Jak wygląda? Jakiej wielkości? Powiedz więcej.

– Walizka. Aluminiowa chyba.

– Super. Mamy przenośny detektor.

– Masz dostęp do niego?

– Jasne.

– Sprawdzisz to dla mnie? – pyta z nadzieją dziewczyna.

– A jesteś w domu?

– Nie zawracałabym ci dupy.

– A czemu nie zawiadomisz naszych?

– No właśnie, wspominałam ci o etyce. Nie potrzebuję afery.

– A jak nas podsłuchują? – zauważa kolega Andżeli. – Przecież jesteśmy agentami. Możemy być inwigilowani.

– Nie jesteśmy, daj spokój. Za małe z nas płotki.

Choć dziewczyna jest czujna, tym razem postępuje inaczej, niż nakazuje jej ostrożność. Wnosi podejrzany ładunek do domu. Obawia się, że walizka może być pułapką. Po dokładniejszych oględzinach nie zauważa drucika, kabelka, niczego, co wskazywałoby na niebezpieczeństwo. Co nie znaczy, że jest bezpieczna.

– Zaraz będę – odpowiada kolega.

Kiedyś pomogła mu, sprawdziła osobę w systemach, do których on nie ma dostępu. Przysługa to zrobienie dla kogoś czegoś dobrego dla własnej korzyści. Przy czym korzyść nie jest natychmiastowa, lecz odkłada się w czasie niczym tłuszcz w organizmie.

– Wygląda dobrze – mówi po przyjeździe. – Jeśli jest ładunek, może odpalić przy otwieraniu albo, co gorsza, na zegar lub falą radiową.

– Możesz to sprawdzić?

– Wziąłem explonix. – Agent wyjmuje niewielkie urządzenie. – Jeśli tam są fajerwerki, to je odkryjemy, ale uprzedzam, wąglika albo innego chujstwa nie wykryję.

– Jasne.

– Najgorzej – przykłada urządzenie do walizki – jeśli jest tam czeski plastik. Parę lat wstecz byłoby całkiem przejebane.

– Dlaczego?

– To urządzenie analizuje istniejące opary. Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku Czesi produkowali materiał wybuchowy na bazie pentrytu – opowiada skupiony – ale plastik z Pardubic oparów nie emitował. Dlatego najchętniej korzystali z niego terroryści.

– A teraz już nie?

– Po World Trade Center Amerykanie wymusili dodawanie na Czechach substancji, dzięki której możliwa jest teraz detekcja gazowa.

– Co?

– To, co teraz robię. – Podłącza urządzenie do przenośnego komputera. – Niektóre związki chemiczne z materiałów niebezpiecznych posiadają zdolność pochłaniania promieniowania podczerwonego, co widać w polu magnetycznym na zasadzie różnicy ciśnień.

– Czarna magia.

– Pewność nie jest stuprocentowa, ale tutaj – mówi po pauzie wpatrzony w komputer – ładunku kruszącego nie ma. Jesteśmy kwita.

Agentka żegna się z kolegą i wpatruje się w walizkę. Wreszcie otwiera ją. Kod jest na dołączonej wizytówce. Wewnątrz znajdują się dokumenty. Przegląda je i trafia na kopertę od brata. Czyta i po chwili nie ma już wątpliwości. Już go nie usłyszy. Zaciska zęby. Stara się przypomnieć sobie zasady postępowania w takich sytuacjach, jakie wpojono jej na szkoleniu, ale nie idzie jej zbyt dobrze. Jest tylko człowiekiem, a dopiero później agentką służby specjalnej. Przez łzy przygląda się dokumentom z walizki.

– „Markowski został zlikwidowany, ponieważ…" – czyta, po czym przerywa cichym westchnieniem. – Boże drogi! Nie wierzę. Co to jest?

Dziewczyna ociera rękawem łzy, uspokaja się i nieco chaotycznie przerzuca strony raportu brata. Większość to wydrukowane fotografie innych dokumentów. Są też raporty wywiadu, charakterystyki inwigilowanych osób, rozkazy obarczone czwartą klauzulą niejawności. Wszystko podpisane tym samym nazwiskiem. Dziewczyna szybko odwraca kartki i wybiórczo czyta fragmenty. Jej usta otwierają się ze zdziwienia zmieszanego z przerażeniem.

– „Celem jest paraliż sejmu w chwili – czyta głośno – kiedy zajdzie konieczność zdecydowania o wojnie. Operacją sterują agenci o kryptonimach Czerwony As, Czerwony Król i Joker".

Raz jeszcze czyta fragment grubego sprawozdania, który rzucił jej się w oczy. Kartkuje dokument i sprawdza podpis na końcu:

– „Sporządził podporucznik Piotr Zabawa, Biuro Ochrony Rządu” – czytają niemal bezgłośnie jej wargi. – Matko Boska, Piotruś! Prezydent? Minister obrony narodowej? Komendant główny? Posłowie? Chłopaku, w co ty się wpakowałeś! – Kręci z niedowierzaniem głową, ale rozumie już, dlaczego brat musiał zginąć.

Uświadamia sobie, że teraz i ona znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie ma wiele czasu, a najgorsze jest to, że nie wie wszystkiego. Wie jednak, że sama nic nie zdziała. Potrzebna jej pomoc – myśli, spoglądając na monitor. Siada do komputera, przez chwilę wpatruje się w ekran, po czym wstaje, wchodzi do łazienki i się rozbiera. Przez kilka minut patrzy w lustro. Jej spojrzenie wędruje po kolorowych tatuażach na ramionach, wpatruje się we własne oczy, wreszcie jej dredy lądują w koszu.

49

Generał dywizji Henryk Dryja urodził się we Wronowie, nieopodal Puław, jako jeden z pięciorga dzieci Leokadii i Władysława. Ojciec był oficerem Wojska Polskiego. Syn miał kontynuować rodzinne tradycje, stało się jednak inaczej. Dryja pamięta dzień, w którym po raz ostatni widział ojca. Ciało przywieziono na wozie, potem służące obmyły go, ubrały w mundur i pojechali na cmentarz. Tamtego roku cały wrzesień świeciło słońce, a jednak kiedy zasypywano grób, padało i dął wiatr. Potem przyszli Niemcy i wysiedlili ich. Schronili się u ciotki pod Lublinem. Dryja szukał zemsty, lecz wątła budowa ciała, jasne włosy i niski wzrost mu nie pomagały. Nie chciano dopuścić smarkacza do spraw dorosłych. Zmiana przyszła w połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Zimą mały Henio wystrzelił w górę i do maja urósł więcej niż przez pięć lat. W czerwcu Dryja przyłączył się do le-

śnych. Wziął udział w kilku akcjach. Jego zgrupowanie, posuwając się na zachód za Wehrmachtem, zniszczyło dwa mosty, wysadziło w powietrze trzy niemieckie pociągi, wykoleiło parowóz i wielokrotnie ostrzeliwało niewielkie grupy lub pojedynczych Niemców. W połowie lipca okrążono ich zgrupowanie. Został ranny niegroźnie w głowę, ale cudem udało mu się wyrwać. Kilka dni później czerwonoarmiści dali mu wybór: dalsza walka z Niemcami jako żołnierz Ludowego Wojska Polskiego albo milicja. Dryja nasycił się zemstą, wojaczki miał dosyć.

– Heniu, to nie jest rozmowa na telefon – nie owija w bawełnę Szczygiełczyk.

– Rozumiem, ale to bezpieczna linia, Tadeusz. Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem.

– To co się dzieje?

– Musimy się spotkać.

– Kiedy?

– Jak najszybciej.

– Rozumiem. – Rysy staruszka się ściągają. – Jeśli o mnie chodzi, to poczekaj, niech sobie przypomnę…

Dawno temu, jeszcze za czasów poprzedniego systemu, tworząc IX Departament, zamontowali linie telefoniczne wykorzystujące bezpieczne połączenia. Czerwone telefony w ich domach dzwoniły, kiedy działo się coś, co było ważne. Z czasem jednak trzej starcy coraz rzadziej po nie sięgali. Dlatego Henryk Dryja bardzo się zdziwił, kiedy usłyszał dzwonek dawno nieużywanego aparatu.

– …musiałbym sprawdzić. Pojutrze mam lekarza…

– Henryk, nie mamy czasu.

– Co?

– Przygotuj się.

– Tadeusz, źle ze mną. Możesz do mnie przyjechać? Zadzwonię do Włodka.

– Nie trzeba – odpowiada Szczygiełczyk. – Wszystko ustaliłem. Będę jutro.

Henryk Dryja przeszedł do bezpieki rok po Grygielskim, jako starszy sierżant sztabowy. Wysłano go do ZSRR na szkolenie pod okiem KGB. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku został w stopniu podpułkownika Służby Bezpieczeństwa skierowany do akcji odizolowania działaczy antykomunistycznych od społeczeństwa. Za sprawne działanie otrzymał kolejną gwiazdkę. Kilka lat później Czesław Kiszczak mianuje go swoim zastępcą. Wiosną tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku, po czterdziestu sześciu latach służby, Dryja odejdzie na emeryturę.

– W takim razie czekam. – Dryja spogląda na taras. – Masz rację, możemy nie mieć czasu, ale dobrze będzie was znowu zobaczyć.

Wiatr od morza zacina deszczem. Generał wolno zapala słabego papierosa, od którego natychmiast kaszle niczym astmatyk. Patrząc na dobijające do wysokiego brzegu fale Bałtyku, uspokaja się i wzdycha. Znów trzeba będzie ingerować w politykę – myśli, czując dawno zapomniane podniecenie. Spogląda na kwilące rybitwy. Białe ptaki o czarnych łbach trzepią skrzydłami, wykonując szybkie, niskie przeloty tuż nad wodą. Dzień jest chłodny, ale słoneczny, w sam raz, by pooddychać świeżym powietrzem.

50

Wieczór jest cichy. Szerokie na pół kilometra koryto Łaby mieści nie tylko barkę. Ruch jest tu duży. Hausboat Eckerta rozcina powierzchnię wody posłuszny rękom właściciela.

Wolnoobrotowy silnik buczy na minimalnej prędkości, lecz w części mieszkalnej jego dźwięk nie jest uciążliwy.

– Ma tysiące hektarów upraw konopi. A to tylko jeden z jego interesów.

– Tak myślałem.

– W Albanii zatrudnia tysiące ludzi. Kiedy zaczynają się zbiory marihuany, ludzie pracujący dla niego zjeżdżają z całej Albanii.

– A policja?

– Kilka lat temu Włosi wysłali helikopter, by robił zdjęcia jego plantacjom. Górale go zestrzelili. Sami, bez rozkazu. Rozumiesz?

– Tak.

– Teraz nikt nie monitoruje tego interesu. Ani Włosi, ani albańska policja. Nawiasem mówiąc, ostatnio jednak szef miał wątpliwości, czy jest dobrze chroniony. Przyzwyczaił się i uznał, że wszystko dobrze funkcjonuje. Uświadomiłeś mu, że może być inaczej. Dwukrotnie zresztą.

– Wiesz, kto to był?

– Popytaliśmy. Chodzi o dziewczyny.

– Kurwy?

– Nikt się nią nie rodzi – odpowiada Niemiec. – Wygląda to tak, że w małym albańskim miasteczku pojawia się narzeczony. To człowiek Krasniqiego. Mąci w głowie dziewczynie i jej ojcu. Po zaręczynach zabiera dziewczynę do miasta i daje pracę. I tyle – wzrusza ramionami Eckert. – Resztę widziałeś.

– Ten z nożem to jeden z takich ojców?

– Nic nie upokarza muslima – używa pogardliwego określenia Eckert – bardziej niż niewierność żony, rozwiązłość córki i zhańbienie siostry. Zabraliśmy mu dwie córki, to dobry powód do takiej zemsty.

– Ona jest w ich kulturze taka ważna?

– Nawet nie wiesz jak. Kiedyś Albania była daleko, okazuje się jednak, że nawet tam dotarła Europa. Ale dość już – zmienia temat Niemiec. – Jak ci się podoba moja łódź?

– Robi wrażenie.

– Kupiłem ją dawno temu – mówi zza steru. – Była w fatalnym stanie. A w każdym razie w dużo gorszym niż teraz. Remontowałem ją sześć lat. Zapożyczyłem się, sprzedałem mieszkanie, ale się udało. Wreszcie doprowadziłem ją do stanu, w jakim jest teraz.

– Za ile?

– Nie pytaj. – Eckert wywala oczy w górę. – Prawie drugie tyle wpakowałem w remont. Jak widzisz, mam jednak salon z kuchnią, sypialnię, gabinecik, no i łazienkę z WC oraz prysznic.

Emil, wpatrzony w nurt, nie odpowiada. Przyroda oznajmia, że zbliża się wiosna, wciąż jest jednak zimno. Tafla wody jest gładka, niezmącona wiatrem.

– Dodatkowo mam taras na dziobie i górny pokład. Łącznie czterdzieści sześć metrów kwadratowych.

– Jak w bloku.

– A kiedy diesel pracuje, jest napięcie w gniazdkach. Zarzucam wędkę i zaraz mam obiad. Czego więcej trzeba?

Emil w zielonkawym sztormiaku, z tygodniowym zarostem, który wraz z długością przybiera siwy odcień, wygląda jak rybak. Faktycznie – myśli – czego człowiekowi trzeba więcej, jeśli jest zdrowie, dach nad głową i coś do jedzenia.

– W tej robocie, Wiggi, to świetne rozwiązanie. W Hamburgu nic mnie nie trzyma. W każdej chwili mogę odczepić cumę i płynąć, gdzie zechcę: Kopenhagen, Emden, Bremerhaven, Amsterdam, Wilhelmshaven – wylicza – Rotterdam, Köln, den Haag – a nawet – Swinemünde i Stettin.

– Tak. Nawet Świnoujście i Szczecin – dodaje po polsku. – Tylko po co?

– Mogę popłynąć w każde miejsce, gdzie jest szeroka rzeka. Wysiadam i idę na mecz każdej drużyny. HSV, Werder, Ajax – ciągnie Eckert. – Co zechcę.

Emil kiwa głową. Niemiec ma rację. Nie ma sensu przywiązywać się do miejsc, do ludzi. Kiedy przychodzi konieczność zerwania z nimi, jest dużo trudniej.

– A ty, Wiggi, komu kibicowałeś w Polsce?

– Oddziałom prewencji.

– Nie rozumiem.

– Wiem – odpowiada były glina i myśli o tym wszystkim. Kibicowanie? W Polsce? Niemiec nie ma pojęcia, o co pyta.

– Widzisz, w Polsce normalni ludzie nie chodzą na mecze.

– Dlaczego?

– Polska to dziwny kraj.

– Im dłużej cię znam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że tak. Muszę tam kiedyś pojechać.

Emil widzi tyralierę policjantów stojących z tarczami przez pół godziny przed bandą rozjuszonych chłystków z zasłoniętymi twarzami, którzy bezkarnie śpiewają, że „policja zawsze i wszędzie jebana będzie" albo rzucających w policjantów, czym tylko się da.

– Jak to jest być gliną w Polsce?

– Wyobraź sobie, że rano piszą ci wzorową opinię, w południe przypinają order do piersi, po południu nagradzają kilkoma stówkami, bo dobrze wykonałeś to, co do ciebie należy, ale kiedy przychodzi wieczór, wszystko się zmienia.

– Jak to?

– Praca w naszej policji nie jest taka jak w filmach. Kiedy podpadniesz, to to, co zrobiłeś wcześniej, idzie w niepamięć. Choćbyś był najlepszym gliną, nie ma to znaczenia. Wieczo-

rem twój najlepszy kumpel zwolni cię z uwagi na ważny interes służby.

– Co to jest?

– Czytałeś Hellera?

– *Paragraf 22*?

– Właśnie, a więc zrozumiesz. Interes służby to wszystko i nic. Pretekst, cokolwiek, co będzie odpowiednio uzasadnione.

– Aż tak źle?

– Wyobraź sobie, że po jakimś czasie kolegów masz tylko w pracy. Ci poza nią znikają gdzieś w czasie, w życiu, bo nie jest wam po drodze. A ci w pracy nie są prawdziwi, bo jak zacznie się palić ogień pod dupą, to wszyscy się odsuwają, aby się nie oparzyć. Każdy ma przecież mieszkanie, niektórzy żonę i dziecko, a na początku nawet zdrowie. A potem, jak ci się uda, idziesz na emeryturę, więc szukasz jakiejś roboty.

– Na emeryturze? Po co?

– Bo ona jest za wysoka, żebyś zdechł, i za niska, by wyżyć.

– U nas jest inaczej. Pracując na ulicy, zarabiasz najwięcej. Dużo więcej niż dowódcy i ci za biurkiem. Na emeryturze nikt nie dorabia. Łowi się ryby albo podróżuje.

– A w Polsce pracuje się jako ochroniarz w Aldi albo… przechodzi na drugą stronę. Jak ja. Rozumiesz?

– Bardzo, kurwa, rozumiem, bardzo.

– Widzę, że szybko się uczysz języka.

Nad ich głowami unoszą się mewy. Emil wyciąga przynętę z wody. Poprawia ją i zarzuca daleko. Nie chce mówić, że policjant w Polsce jest nieszanowanym przez obywateli zawodem. Niemiec i tak nie zrozumie.

– No to dlaczego zostałeś gliną?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Nie uwierzysz mi albo uznasz za wariata.

Emil uśmiecha się, nabiera powietrza. Przypomina sobie noc z dzieciństwa, kiedy rodzinę budzą grzmoty i strach dopada jego, matkę, braci i ojca. Zapamiętał trzaski błyskawic, niczym odgłos łamiących się pni gigantycznych drzew, zagłuszające słowa matczynej modlitwy. I jej szeroko otwarte z przerażenia oczy w chwili, kiedy na ułamek sekundy błysk rozświetlał wszystko. Całe życie starał się potem, by nie widzieć tych oczu u ludzi.

– Postanowiłem bronić słabszych.

– Oszalałeś?

– Starałem się – odparł były glina – stawać po stronie tych, którzy się boją. Po stronie słabszych, bezsilnych, krzywdzonych. I tak było. Robiłem to. Przez ponad dwadzieścia lat.

– Wariat.

– No.

– Słuchaj, a co robią gliniarze w Polsce po pracy?

– Piją.

– Napijemy się kiedyś? Jak gliniarze w Polsce?

– To niemożliwe.

– Niby czemu?

– W Polsce pije się wódkę.

– Kupimy wódkę – odpowiada z uśmiechem Niemiec.

– Nie wiem, czy jesteś przygotowany.

– Już piłem wódkę, przyjacielu. Nawet polską! – chwali się Eckert.

– W Polsce pijemy czystą. Nie w drinkach, nie ze szklanek, ale z kieliszków. Poza tym musiałoby nas być kilku, żeby któregoś z nas można było wynieść na drzwiach.

Niemiec uśmiecha się szeroko. Emil również, ale Polak zdaje sobie sprawę, że tej aluzji jego nowy przyjaciel nie zrozumie. To poprawia humor Polaka. Zza chmur wychodzi

słońce. Emil pod nosem zaczyna mruczeć: „Na drzwiach ponieśli go Świętojańską. Naprzeciw glinom, naprzeciw tankom…”

– Słuchaj, Wiggi, prosiłeś mnie o przysługę.

– I co? – przerywa od razu Emil. – Znalazłeś coś?

– Tak.

– Twój brat popełnił samobójstwo. Sprawa jest zamknięta.

– Uhm.

– Będziesz miał robotę. – Eckert podaje wędkę. – Myślę, że cię wyznaczył, bo jesteś Polakiem.

Spojrzenia mężczyzn spotykają się na chwilę. Obaj zdają się czytać w nich prawdę, jednak każdy z nich jest zbyt doświadczony, zbyt wiele w życiu przeszedł i przeżył, by zaufać drugiemu. Obaj zdają sobie sprawę, że odkryli przed drugim tylko część siebie i dalej nie wolno im się już posunąć.

– A co to ma do rzeczy?

– Masz – Eckert podaje kopertę. – To ten gość. Jest Polakiem.

– A, rozumiem. A czym mój rodak się dla naszego szefa „zasłużył”?

– Próbował nas wyrolować. Sprzedał nam partię broni. Przerzucaliśmy ją na Bałkany. Transfer szedł przez Czechy.

– Pułapka?

– Tak. Ktoś dał znać. Na szczęście nasz człowiek na granicy nas ostrzegł i TIR przejechał pusty, ale sprawdzali go bardzo dokładnie.

Emil wyjmuje fotografię. Wpatruje się w nią zaskoczony. Widok powoduje, że nie wie, co powiedzieć, lecz to mija. Pojawia się przyjemne uczucie. Czy to nie nazywa się prezentem od losu?

– To trudna sprawa. Będziesz musiał pojechać do Polski. Musisz to zrobić dokładnie – ciągnie Niemiec. – Robota nie

może wyglądać jak odstrzał. Facet jest znany. Zajmuje się polityką, powinieneś o nim słyszeć.

– Nie martw się, przyjacielu – Emil klepie Niemca w plecy. – Będziesz zadowolony. Krasniqi także.

– Znasz go?

– Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego, nawet jeśli cię polubiłem – odpowiada były glina. – Przyjmijmy, że spotkaliśmy się kiedyś.

– To chyba dobrze? – Na twarzy Eckerta pojawia się tajemniczy uśmiech. Emil jest w świetnym nastroju. Przed nimi faluje otwarte morze, na którym zdają się tkwić nieruchome sylwetki kolorowych kontenerowców. Nieco bliżej ogromny liniowiec transatlantycki wolno rozcina fale.

– Im dłużej cię znam, Wiggi, tym bardziej widzę, że wcale nie jesteś bandytą.

– A ty jesteś? Może tylko robisz to, co musisz?

– Nie wierzysz w samobójstwo brata, co?

– Nie wierzę.

– Ja też, ale zostawmy to. Zaczyna się przypływ.

Gdzieś z lewej, nieco za nimi, bieleje plaża Cuxhaven. Emil wpatruje się w majaczącą na cyplu trzydziestometrową wieżę nawigacyjną Kugelbake. Dostrzega napis na burcie statku. Queen Mary 2 ustawia się na trawersie, przysłania wieżę podpartą na czterech drewnianych łapach. Okręt wychodzi w morze.

51

Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji – Instytut Badawczy to w skrócie CLK. A że Mercedes-Benz tak na-

zwał swoje coupé, skrótowiec szybko przyjął się w policyjnym slangu. Dlatego ludzi tam pracujących często określa się „tymi z Merca”.

– Przy telefonie podkomisarz Koenig. – Głos policjanta jest głęboki i wyraźny. – Ekspertyzy wreszcie gotowe. Można powiedzieć, że wszystko wiadomo.

– Tak? Zamieniam się w słuch.

Laboratorium podzielono na wydziały oraz zakłady z siedzibami w trzech budynkach. I tak, na Wiśniowej mieści się Zakład Daktyloskopii, na Iwickiej Zakład Biologii, a pozostałe sprawy kierowane są do siedziby głównej. W pomalowanym na żółto monumentalnym budynku mieści się Zakład Broni i Mechanoskopii. To tam Koenig starał się dociec, z jakiej broni strzelono.

– Żartowałem, panie komisarzu.

– Szkoda.

– Jasne są tylko niektóre kwestie. Przy zabójstwie w szpitalu i w aptece strzelano tą samą amunicją.

– A broń?

– Proszę posłuchać – słychać westchnienie. – Strzelano najprawdopodobniej nabojami Tokariewa. Kaliber siedem sześćdziesiąt dwa na dwadzieścia pięć milimetrów.

– To znaczy z tetetki?

– Prawdopodobnie.

– Chce pan powiedzieć, że nie ma pewności?

– Gwint pasuje – odpowiada ostrożnie Koenig – bruzdy prawoskrętne, ale czy tetetka, to nie wiem.

– Uhm. A dlaczego?

– Pracuję z bronią już parenaście lat i wiele widziałem. Według mnie to jest prawie na pewno nabój z tetetki, ale oficjalnie panu tego w raporcie nie napiszę, bo dowodów nie mam. Potrzebna byłaby łuska albo pocisk. Każda broń ma

indywidualne cechy. Zamek uderza w dno łuski i zostawia ślady. Iglica także. Pieczętują każdą łuskę w indywidualny, niepowtarzalny sposób.

– Jasne. Po tym możecie zidentyfikować klamkę.

– Nie tylko – odpowiada Koenig. – Z kulką i lufą jest tak samo, a przy zabójstwie z apteki nie mam łuski.

– Rozumiem.

– Ale mam coś innego. Wszystkie użyte pociski były modyfikowane.

– Mógłby pan to przedstawić tak, żebym zrozumiał?

– Wszystko, co panu mówię, to domysły. Pocisków przecież także nie mam.

– Co?

– Bo pociski zostały przerobione. Chałupnicza, precyzyjna robota. Amunicja była elaborowana w domu. Firma G2 Research – Koenig się ożywia – produkuje amunicję RIP. To skrót od Radically Invasive Projectile, czyli po naszemu coś jak pocisk mocno inwazyjny.

– A coś więcej?

– Najprościej rzecz biorąc, to połączenie pocisku grzybkującego z rozpryskowym. Kulkę pozbawia się wierzchołka i dzieli się na kilka kawałków, zwykle cztery albo osiem.

– Jak granat obronny?

– Podobnie. Patrząc od wierzchołka, tak jakby pan komisarz kroił tort.

– Co to daje?

– Taki pocisk, trafiając w cel, grzybkuje jak amunicja półpłaszczowa, ale potem rozdziela się na fragmenty, które penetrują tkanki miękkie organizmu.

– Proszę mówić dalej.

– Kulki, które do mnie trafiły od patologa, to właściwie odłamki. Zwykle pięć.

– Pięć? Mówił pan o czterech albo ośmiu.

– Odłamki powstają z płaszcza pocisku. On rozdziela się na fragmenty, a stalowy rdzeń przesuwa się normalnie, zgodnie z kierunkiem strzału.

– Jak pan powiedział? RIP?

– RIP.

– Niezła nazwa. *Requiescat in pace*, spoczywaj w pokoju.

– A tak, rzeczywiście – uśmiecha się technik. – Odłamki są nierówne i stuprocentowej pewności nie mam. Dlatego nie napiszę, że są to kulki z tetetki. Nie napiszę też, że to ta sama broń, bo nie mam łusek.

– Powiedział pan stalowy rdzeń. Rdzeń nie powinien być ołowiany?

– Stalowy rdzeń stosuje się w pociskach przeciwpancernych.

– Przeciwpancernych? W pistolecie?

– To amunicja o zwiększonej zdolności penetracji.

– No, ale po cholerę używać takich kul? Rozumiem, że jakiś Ruski strzela z przestarzałej klamki, ale żeby takie cyrki wyprawiać? Nacinać pociski i to jakieś nietypowe, przeciwpancerne. Co pan myśli?

– Moim zdaniem sprawca chciał zabić jednym strzałem. Użył amunicji ze stalowym rdzeniem, licząc się z tym, że ofiara może mieć kamizelkę kuloodporną.

– A taka kulka ją przebije?

– Atecy, wiedząc, że delikwent może strzelać taką amunicją, zakładają na kamizelki kuloodporne dodatkowe ceramiczne płyty. Energia tego pocisku, nawet zwykłego, ma ponad półtora raza większą siłę przebicia niż używana przez nas. Dzięki nacięciom energia koncentruje się na mniejszej powierzchni, a rdzeń jest jak sztylecik. Pociski, jakie mi przesłaliście, przebijają wszystkie kamizelki kuloodporne.

– Czy tego samego nie można osiągnąć, strzelając z karabinka?

– Nie. Kula z karabinu leci z większą prędkością, dlatego trudniej ją wyciszyć. Tymczasem zabójca strzelał z kilku metrów. Pistolet jest też łatwiej ukryć niż kałasznikowa.

– Rozumiem. A ta kula z sylwestra?

– Radziecki pocisk od karabinu snajperskiego SWD – mówi Koenig. – Od amunicji do karabinów wyborowych o oznaczeniu 7N1. Również zmodyfikowany.

– Coś więcej?

– Tak. Amunicja perforowana. W standardowym pocisku wyborowym nawiercono otwory w ściankach.

– Po co?

– To powoduje, że część gazów wydobywa się przez otwory, zanim cała kulka opuści lufę. To nie tworzy poduszki powietrznej. Tarcie maleje, a prędkość pocisku rośnie. Zmniejsza podrzut i odrzut broni. To zwiększa precyzję. Przypuszczam, że strzał oddano z dystansu, ale to sprawa balistyki.

– A czy to możliwe, że to nie był karabin snajperski, ale na przykład sztucer?

– Ręczę, że to pocisk amunicji specjalnej N1. Raport już poszedł w poczcie.

– Uhm, czyli fachowiec.

– Pasjonat. Być może myśliwy, oni zajmują się elaboracją amunicji. Może rusznikarz, kto wie? Były wojskowy albo glina, ale nie z patrolówki.

– Tak pan uważa?

– To moje prywatne zdanie.

– Dziękuję za rozmowę.

– Komisarzu?

– Tak?

– Czy moglibyśmy porozmawiać osobiście?

Ustalają szczegóły, a potem komisarz Franciszek Mreges, odkładając słuchawkę, odchyla się w oparciu. Zastanawia się nad usłyszanymi słowami. Z czymś takim się nie spotkał. Szkoda, że wciąż nie mają tożsamości ofiary z apteki.

– Komisarzu? – przerywa Ruda. – Przepraszam, ale ustaliłem, czyja to broń.

– O czym ty mówisz?

– No. Glock. To służbowa broń.

– Policyjna?

– Jest na stanie BOR-u.

– Biuro Ochrony Rządu? Cholera… Niedobrze, Ruda. O co tutaj chodzi? – dziwi się Franz. – Ktoś wykańcza komendanta głównego, trzech bandziorów z ochroniarzami…

– Biznesmenów.

– …biznesmenów z ochroniarzami, faceta z BOR-u i jakąś skrzypaczkę.

– Dziwne, co?

– Tak, Ruda, dziwne. Żadnego związku, motywu. Nic, co można połączyć. Tylko morderca, jakiś pojeb kochający strzelanie.

– Skrzypaczkę drutem załatwił. Poza tym skąd wiesz, że to ten sam człowiek?

– Racja.

52

Henryk Dryja wpatruje się w horyzont. Tego dnia, pierwszy raz po zejściu śniegów, świeci słońce i ciepły wiatr od morza osusza klify. Z oddali willa generała prezentuje się skromnie, nie budząc zainteresowania. Z pokładów przepływających statków wygląda na rezydencję bogacza, a od strony lądu obserwacja jest niemożliwa. Dom z trzech stron otacza gęsty, wysoki na dwa i pół metra zimozielony żywopłot. Cisowe

krzewy stanowią dla właściciela powód do dumy, były generał osobiście przycinał kiedyś pędy, ale teraz, gdy jego stan zdrowia się pogorszył, poprzestaje na podziwianiu roślin.

– Zawsze było u ciebie, Heniu, przepięknie. – Szczygiełczyk stawia stopy na deskach tarasu. – Uwielbiam morze.

– To dlaczego zamieszkałeś w tej swojej mazurskiej dziurze?

– Bo stamtąd było mi bliżej do Warszawy.

– Do Warszawy – wzdycha Dryja. – Do czego nam ona teraz potrzebna?

– Teraz już do niczego.

– Taki los starych dziadów.

– Wciąż jesteśmy jej potrzebni.

– Co się dzieje?

– Jak – prostuje Szczygiełczyk. – Jak się dzieje. A dzieje się źle.

– W porządku. Jestem przygotowany na działanie. Co z Włodkiem? Jak on się czuje? Mówiłeś, że z nim rozmawiałeś. Mieliście przyjechać razem.

– Włodek nie mógł przyjechać. – Szczygiełczyk spogląda przyjacielowi w oczy.

– Pogorszyło mu się?

– Syn znalazł go powieszonego na belce stropowej.

– Co powiedziałeś? – Oczy starca robią się okrągłe. – Powiesił się?

– Tego nie powiedziałem.

– Włodek się powiesił? To niemożliwe, nie wierzę.

– Ja też.

– Czekaj. – Dryja obrzuca kompana zimnym spojrzeniem. – Myślisz, że…

– …że został zamordowany?

– A jest inaczej?

– Tak, ktoś go zamordował.

– Wieszając?

– Mamy inne czasy – wzdycha Szczygiełczyk. – Kiedyś strzelało się w głowę, wrzucało do Wisły, ale teraz to przeszłość.

– Co?

– Nie udawaj. Sam przecież wiesz najlepiej.

Dryja unosi podbródek. To prawda, wie, ale wolałby, aby mu o tym nie przypominano. Minęło wiele lat, odkąd odsunął się w cień. Zaskakujące, że na starość wszystko się zmienia.

– Co chcesz powiedzieć?

– Na miłość boską, Heniu, wiesz co – irytuje się Szczygiełczyk. – Myślisz, że Lepper i jego doradca sami się powiesili? I ten dyrektor kancelarii Tuska, jak mu tam – Szczygiełczyk marszczy siwe brwi – cholera, wyleciało mi z głowy.

– Michniewicz.

– Właśnie. I Petelicki, Blida, Zielonka, potem ten spec od samolotu, co go znaleźli w hotelu.

– Szpineta.

– Tak. Oglądasz telewizję, czytasz gazety.

– Coraz rzadziej.

– Teraz pracuje się inaczej. I dlatego mamy tyle samobójstw.

– Tadeusz, to nie nasza sprawa – opowiada Dryja. – Mam siedemdziesiąt osiem lat i worek z gównem na brzuchu. Mam prywatną Polskę tutaj. Las, morze i ten dom.

– Też mam prywatną Polskę. I nie mów mi o zdrowiu. Jestem dziesięć lat starszy. Przez wiele lat nasza prywatna Polska była od Odry do Bugu i nadal jest. Była, bo teraz zabito trzeciego z nas.

Zapada milczenie. Obaj wpatrują się w trzaskający ogień w kominku. Wreszcie Dryja podnosi głowę i wpatrzony błyszczącymi oczyma w przyjaciela dodaje:

– Chcesz powiedzieć, że uderzył seryjny samobójca?

– To gówno cię bawi?

– Gówno mam w worku na brzuchu.

– Mówiłeś już.

– Bo reszta to dla mnie przeszłość.

– Swoją drogą – dodaje Szczygiełczyk – dobrze, że o tym wspominasz.

– Dlaczego?

– Bo z powodu gówna tu jestem. Wolałbym, aby ono się nie rozlało. Rozumiesz?

– Tak.

– Włodka już nie ma, ale my wciąż jesteśmy. I tym bardziej potrzebujemy twojego mózgu. Twojej głowy. Muszę wiedzieć, kto to robi. I dlaczego. Rozumiesz?

– Nie.

– Więc się zastanów. Ty albo ja możemy być następni.

– Co proponujesz?

Przez kolejne godziny, grzejąc się przy trzaskającym iskrami kominku, opracowują strategię działania.